Inw. [illegible]
1568 b

Zofia Urbanowska

KLASZTOR NAJSW. SERCA JEZUSOWEGO
w Grabowie, p. Pyrw k/Warszawy

Wszechmocni

Tom II

Zb. S.
K-1623
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Koninie
Zb. S. 004-1623
821.162.1-3
Zgrom. Zak. Najśw. Serca Jezusowego (Sacré-Coeur) w Warszawie
1568 b

XVI.

O samej północy mieszkańcy Kozłowa zbudzeni zostali ze snu odgłosem dzwonów bijących na trwogę, - we wschodniej stronie miasta widać było ogromną łunę, której odblask jaskrawo padał na dachy, na ściany domów. Jednocześnie prawie, z głosem dzwonów odezwały się sygnały straży ogniowej. Ze wszystkich ulic zaczęli biec pojedyńczo, po kilku, ochotnicy, w szarych bluzach i czarnych skórzanych kaskach do dużej szopy drewnianej po narzędzia ratunkowe. Wkrótce potem zatętniły po bruku sikawki. Paliła się mydlarnia. Duża ilość nagromadzonego tłuszczu podsycała płomienie, które rozszerzały się coraz dalej i dalej, grożąc sąsiednim domostwom i całej dzielnicy, zamieszkałej przeważnie przez ludność uboższą. Trudno było wymyślić materiał palniejszy: całe kręgi łoju, całe stosy świec, całe paki bawełny na knoty przygotowanej, płonęły jakby jedna wielka pochodnia. Ogień syczał, trzaskał, a płomienne języki poczęły już lizać parkan sąsiedni od oficyny. Należało przede wszystkim przerwać kontakt z innymi budynkami, pożar umiejscowić, i zapobiec szerzeniu się klęski.

XVI.

O samej północy mieszkańcy Kozłowa zbudzeni zostali ze snu odgłosem dzwonów bijących na trwogę, - we wschodniej stronie miasta widać było ogromną łunę, której odblask jaskrawo padał na dachy, na ściany domów. Jednocześnie prawie, z głosem dzwonów odezwały się sygnały straży ogniowej. Ze wszystkich ulic zaczęli biec pojedyńczo, po kilku, ochotnicy, w szarych bluzach i czarnych skórzanych kaskach do dużej szopy drewnianej po narzędzia ratunkowe. Wkrótce potem zatętniły po bruku sikawki. Paliła się mydlarnia. Duża ilość nagromadzonego tłuszczu podsycała płomienie, które rozszerzały się coraz dalej i dalej, grożąc sąsiednim domostwom i całej dzielnicy, zamieszkałej przeważnie przez ludność uboższą. Trudno było wymyślić materiał palniejszy: całe kręgi łoju, całe stosy świec, całe paki bawełny na knoty przygotowanej, płonęły jakby jedna wielka pochodnia. Ogień syczał, trzaskał, a płomienne języki poczęły już lizać parkan sąsiedni od oficyny. Należało przede wszystkim przerwać kontakt z innymi budynkami, pożar umiejscowić, i zapobiec szerzeniu się klęski.

Burmistrz zaspany, w mundurze, na prędce narzuconym na ubranie nocne, niezapietym, oraz naczelnik straży ziemskiej Bielak, wraz z strażnikami, znajdowali sie obok, nie brakło też władzów, których liczba zwiększała sie z każdą chwilą i utrudniała przystęp do palącej się fabryki. Ale ratunek szedł niesporo, nie było komendanta. Bunge tego właśnie wieczoru wyjechał na wesele siostrzenicy i nie zawiadomił o wyjeździe komitetu, jak było obowiązkiem jego. Pytano o niego, wołano, a tym czasem, nieład był w ratowaniu, pozbawionym sprężystego kierownictwa. Naczelnik młodej, niedoświadczonej straży, przerażony rozmiarami niszczącego żywiołu, wydawał rozkazy sprzeczne, które paraliżowały akcję. Strażacy biegali tu i tam, nie żałując trudu i poświęcenia. Ale na jednym punkcie nie udało się jeszcze opanować groźnej sytuacji. Woda była w dużej odległości. Coraz bardziej napierający tłum stojący bezczynnie, wydający raz po raz okrzyki trwogi.

Burmistrz zaspany, w mundurze, na prędce narzuconym na ubranie nocne, niezapiętym, oraz naczelnik straży ziemskiej Bielak, wraz z strażnikami, znajdowali się obok, nie brakło też widzów, których liczba zwiększała się z każdą chwilą i utrudniała przystęp do palącej się fabryki. Ale ratunek szedł niesporo, nie było komendanta. Bunge tego właśnie wieczoru wyjechał na wesele siostrzenicy i nie zawiadomił o wyjeździe komitetu, jak było obowiązkiem jego. Pytano o niego, wołano, a tym czasem, nieład był w ratowaniu, pozbawionym sprężystego kierownictwa. Naczelnik młodej, niedoświadczonej straży, przerażony rozmiarami niszczącego żywiołu, wydawał rozkazy sprzeczne, które paraliżowały akcję. Strażacy biegali tu i tam, nie żałując trudu i poświęcenia. Ale na jednym punkcie nie udało się jeszcze opanować groźnej sytuacji. Woda była w dużej odległości. Coraz bardziej napierający tłum stojący bezczynnie, wydający raz po raz okrzyki trwogi.

i wydający raz po raz okrzyki trwogi. Wiedziano już, że Bunge wyjechał i tu i ówdzie dawały się słyszeć groźne przekleństwa i złorzeczenia.

Na uwagę doktora Jacentego, — który się także znalazł przy ogniu — zwróconą do Bielaka, dlaczego pozwala stać ludziom bezużytecznie, zamiast kazać wodę nosić, tenże ofuknął doktora niechętnie, że niepotrzebnie się w to miesza, bo on tu jest od tego, żeby o wszystkiem myśleć.

Nagle w tem mrowisku zrobił się szmer i powiał duch porządku. Zjawił się ktoś, co w jednej chwili zrozumiawszy położenie, nadał siłom ratunkowym energiczniejszy kierunek. Sikawki zwróciły strumienie wody w sam środek ognia, atakując go jednocześnie, z trzech stron. Parkany pękały pod uderzeniami toporów, a z bezczynnie stojącej ludności urządzono pocztę, aż do samej rzeki, w skutek czego kubły, napełnione wodą i podawane z rąk do rąk bezustannie zasilały sikawki. Z jednej strony budynku ogień zaczynał już nieco przygasać i tylko snopy iskier, wybuchające raz po raz, dawały poznać, że walka z niszczącym żywiołem jeszcze nie skończona. Naczelnik straży ziemskiej i burmistrz byli najpewniejsi, że to Bunge powrócił.

— Zjawił się w samą porę — rzekł burmistrz, ziewając na całe gardło i zapinając mundur pod szyją, bo wiał jakiś prąd chłodniejszy — nieobecność jego dzisiaj na stanowisku, byłaby wodą na młyn tego...

Bielak, interesujący się wszystkiem, co się dokoła niego działo, i nie obcy ważniejszym sprawom miejskim, choć rzadko się do nich mieszał, milczał chwilę, jakby słuchając czegoś, i rzekł:

— Nie zdaje mi się, żeby to była komenda niemiecka: uważaj pan tylko. Czy pan słyszysz?

W tej chwili płomień, przytłumiony już na prawem skrzydle fabryki, wybuchł nanowo, a w powietrzu zabrzmiał donośny grzmiący rozkaz:

— Topornicy na prawo, rozebrać tę ścianę. Wody na dach, więcej wody!

Obaj dygnitarze poznali teraz po głosie komendanta i patrzyli na siebie w milczeniu.

— Ten młodzieniec zanadto sobie pozwala — przemówił Bielak gniewnie — powinien był wiedzieć, że ja tu jestem zwierzchnią władzą i że do mnie należy przyjść po rozkazy. Chodźmy bliżej, trzeba mu przytrzeć rogów.

I zaczęli się przeciskać przez tłum. Nieopodal, oświecony krwawą łuną ognia, stał Jerzy z wyciągniętą ręką w kierunku szopy, będącej składem wyrobionego już towaru, a zaczynającej się właśnie także palić.

— Panie Wilczek — przemówił ostro Bielak — jak pan śmiesz obejmować samowolnie komendę straży ogniowej, kiedy ja tu jestem? Coś pan za jeden? Każę pana aresztować!

Jerzy spojrzał na mówiącego przelotnie i rzekł spokojnie:

— Dobrze, jestem do pańskiego rozporządzenia, ale po pożarze.

Nagle jeden i drugi drgnął, krzyk straszliwy, nieludzki prawie, krzyk ścinający krew lodem, rozdarł powietrze.

— Ktoś tam został — rzekł burmistrz i pobladł.

— To matka Hofera — zawołał ktoś — pewnie głucha matka Hofera!

— Stara spała sobie i nie wiedziała o niczem, pewnie dym ją obudził.

— Trzeba ją ratować.

— Aha — kto wie, gdzie ona jest!

Jakiś gruby, tęgi, siwy już mężczyzna z krótką szyją zaczął rozpychać tłum, wołając głosem ochrypłym od trwogi.

— Gdzie jest moja matka? Czy nie widział kto mojej matki? Ja myślałem, że ona jest uratowana, a jej niema nigdzie. Ona spała na górze, tu, z tej strony. Ludzie, na miłość boską ratujcie ją! Ja zapłacę, ja dobrze zapłacę temu, co ją wyniesie. Ludzie, jeżeli macie Boga w sercu, śpieszcie się! Ach Jezus, Jezus, ona się spali!

I biegał od jednych do drugich z płaczem, bezradny, bezprzytomny, potykając się i zataczając, chwytając za ręce, szarpiąc za poły, błagając, żeby ratowano jego matkę. Ale nikt się nie ruszył: całe piętro było już w płomieniach — a ogniste języki lizały ściany. Iść tam, byłoby narazić się na śmierć niechybną i daremną, bo krzyk nie powtórzył się. Matka Hofera stała się już pewnie pastwą ognia.

Wtem tłum poruszył się gwałtownie, jakby na falach wzburzonych zakołysał się okręt. To Jerzy Wilczek zawołał o mokre liny i opasawszy się niemi, znikł we drzwiach płonącego budynku.

— Waryat! — szepnął ponuro burmistrz.

— On stamtąd nie wróci — odezwał się naczelnik — będą dwie ofiary, zamiast jednej...

Nastąpiła cisza, pełna niewypowiedzianej grozy i oczekiwania. Zdawało się, że tysiączny ten tłum oddychać przestał: wszystkie oczy zwrócone były na okna pierwszego piętra. Ktoś zawołał, że się schody palą. Zaczęto szeptać: Zgubieni, zgubieni! i dał się słyszeć płacz. Naczelnik straży ziemskiej rozkazał zwrócić kierunek wszystkich sikawek w punkt, wskazywany przez Hofera, ale nie zdołano jeszcze wykonać tego rozkazu, gdy w jednem z okien ukazały się dwie postacie, Jerzy ze starą kobietą na ręku. Tłum wydał okrzyk radości, zaczęto wołać: drabiny, drabiny!

— Zuch! — szepnął burmistrz, poruszony do głębi.

Bielak nic nie odpowiedział; nie spuszczał on oczu z dwojga ludzi, stojących w oknie. Nocna bielizna nie zakrywała chudych i wyschłych piersi kobiety; siwe włosy rozwiane były, a na twarzy malował się przestrach śmiertelny. Wodziła obłąkanym wzrokiem po tłumach, podczas, gdy Jerzy opasawszy ją liną, zaczął przez okno spuszczać powoli na dół. Gdy dosięgła po-

łowy wysokości, strażacy, czekający na drabinie odwiązali ją i znieśli na ziemię. Teraz na Jerzego przyszła kolej myśleć o ratowaniu własnego życia, a czas już był wielki, bo płomienie przebiegały mu nad głową. Iskry padały na niego.

— Włosy, włosy! — zaczęto wołać z dołu.

Przesunął ręką po swej bujnej czuprynie i, nie tracąc ani na chwilę przytomności, wciągnął linę napowrót, poczem przymocował jeden jej koniec do framugi okna i zaczął się spuszczać.

— Istny dyabeł ten chłopak! — szepnął burmistrz.

— Zadziwiająca przytomność umysłu i niesłychanie zimna krew — powiedział Bielak.

Jerzy już, już dosięgnąć miał nogami podstawionej drabiny, gdy lina napół przepalona zerwała się i on spadł całym ciężarem na ziemię. Jednocześnie posłyszano huk wielki i trzask. To dach fabryki zawalił się.

Z piersi tłumu wyrwał się jeden krzyk.

— Aaaa!

* * *

Gdy po długiej nieprzytomności Jerzy podniósł ociężałe powieki, oczy jego spotkały się z drugiemi oczyma, w których malowała się taka trwoga bezmierna i boleść, że zamknął je natychmiast jak olśniony, a po twarzy jego przemknęło coś na kształt zdziwienia. Widocznie wyraz, jaki w tamtych oczach nagle zobaczył, przedstawił mu się jako wielki znak zapytania.

Na bladem jego czole widać było usilną pracę myśli zaledwie świadomość odzyskującej, bo aż kilka kropli potu na nie wystąpiło — a brwi ściągnięte okazywały, z jakiem wytężeniem skupiał wszystkie władze, usiłując nawiązać zerwaną nić pamięci. Ale snać siły jego nie mogły jeszcze podołać temu zadaniu, bo w rysach odbiło się nagłe zniechęcenie i wróciły do poprzedniej nieruchomości.

Widocznie jednak ów znak zapytania niepokoił go ciągle, bo po chwili otworzył oczy znowu, ale nie zobaczył już twarzy, którą wprzód widział nad sobą pochyloną. Gdy się nad tem zastanawiał, spostrzegł, że łóżko jego osłonięte jest kotarą z białego muślinu, i odkrycie to napełniło go wielkiem zdziwieniem. Powoli, w umyśle chorego zaczęły majaczyć wspomnienia ubiegłej nocy; pożar, tłum ludu, jakaś stara kobieta, lina uwiązana do framugi okna — ale były to fakta oderwane z trudnością układające, się w całość. Pamiętał, że lina się zerwała i on spadł; ale potem już nie wiedział, co się z nim stało.

Wodząc oczyma po otaczających go przedmiotach, coraz nowe czynił odkrycia: Tu leżał rzucony jakby w pośpiechu na poręcz krzesła biały batystowy kaftanik, delikatną oszyty falbanką; tam na stoliku książka otwarta, a na dywanie para małych pantofelków obok rozbitej czarki kryształowej i kilku róż rozsypanych, zwiędłych już do połowy. Długo patrzył na te

pantofelki dziecinne — nagle, jak żywa, stanęła przed jego oczyma chwila, w której szukał na piasku cmentarnym śladów nóżek, co je nosiły. Cała rozmowa wśród grobów stanęła mu w pamięci, i krwawy zachód słońca, i drobne różowe kwiatki wrzosów, których tam tak wiele... i długie cienie, padające od krzyżów.

Przypuszczenie, a raczej pewność, że po tem wszystkiem, co między nimi zaszło, on znajduje się tu w jej pokoju; że odepchnięty i pogardzony, korzysta jednak z jej gościnności, wstrząsnęła nim jak iskra elektryczna i wywołała słaby rumieniec na bladą twarz. Chciał się zerwać i wyjść stąd coprędzej, ale zaledwie się poruszył, uczuł straszny ból w głowie i lewej ręce; pociemniało mu w oczach i upadł napowrót na poduszki.

Wtedy dowiedział się, że nie jest sam w pokoju; jakaś dobroczynna ręka przesunęła mu po czole i ustach chusteczkę, zmaczaną w zimnej wodzie, i odgarnęła włosy krwią zlepione, które przy tym ruchu gwałtownym opadły mu na czoło. Dotknięcie tej ręki było delikatne jak lekki powiew wiatru, a łagodne jak pieszczota: Jerzy dziwił się, że się to stało tak prędko i dobrze, bez żadnego szelestu. Widocznie ona była tu ciągle, siedziała przy nim, gdy myślał, że odeszła. Spojrzał. Jadwisia stała znów nachylona nad nim tak blizko, tak blizko, że czuł jej lekki oddech na swojej twarzy.

— Czy lepiej ci teraz? — spytała, widząc, że patrzy na nią przytomnie.

Jerzy zaczął pilnie słuchać: w głosie jej uderzył go jakiś szczególny, niebywały dawniej dźwięk, jakby jakaś struna, nieporuszona dotąd, odezwała się nagle. Nie odpowiedział, pragnąc, aby ponowiła pytanie.

— Czy lepiej ci? — powtórzyła niespokojnie.

— Lepiej — odrzekł, dziwiąc się ciągle, i, przypomniawszy sobie, gdzie się znajduje, rzekł słabym głosem:

— Przepraszam cię, kuzynko, za moją tu obecność... ale jesteś zapewne sama przekonaną, że niema w tem mej winy.

Teraz dowiedział się, że w pokoju było więcej osób: usłyszał poruszenie w głowach łóżka i stanęli przy nim pani Wilczkowa i doktor Jacenty. Ten ostatni położył palec na ustach, uśmiechając się dobrotliwie, a stryjenka przemówiła głosem, nabrzmiałym miłością:

— Jerzy, dziecko moje, nie wolno ci rozmawiać. Zamknij oczy i śpij, jeśli możesz. Dzięki Bogu, jesteś już na dobrej drodze.

Pocałowała go w czoło i uścisnęła w milczeniu dłoń doktora, a w oczach jej błyszczały łzy.

— Lada dzień wstanie — odrzekł doktor — ten chłopak ma w sobie dużą odporność. Choroba musiałaby z nim długo walczyć, zanimby go zmogła. Ale teraz szanowna pani musi koniecznie iść się położyć, bo i ja zrobię to samo.

Jerzy w tej chwili nic nie potrzebuje prócz spokoju, a przytem zostaje pod dobrą opieką. Dobranoc, kochany doktorze filozofii.

Gdy wyszli oboje, Jerzy zawołał z cicha:

— Kuzynko!

— Jestem — rzekła, zbliżając się do łóżka — czego chcesz?

— Bądź łaskawą powiedzieć mi, dlaczego jestem tutaj, a nie w moim własnym pokoju na górze?

— Ja sama cię tutaj umieściłam.

— Ty? — powtórzył, otwierając oczy szeroko.

— Tak. Przyniesiono cię bezprzytomnego, pokaleczonego... a na wązkich, niewygodnych schodach, prowadzących na górę, niepodobna zachowaćpotrzebnej ostrożności — powiedziała prawie nieśmiało.

— Jesteś nazbyt dobra — rzekł sucho i przymknął oczy. Pomilczawszy chwilę, zapytał: — Czy jestem ranny?

— Tak, masz lewą rękę zwichniętą i ranę w głowie. Oprócz tego jesteś okropnie poparzony.

To ostatnie było mu dobrze wiadomem; w miarę, jak coraz bardziej odzyskiwał przytomność, ból dawał mu się dotkliwie uczuwać, ale znosił go cierpliwie.

— I ty, kuzynko, czuwałaś tu ciągle nademną?

— Tak.

— A więc przepraszam cię za wszystko. Wiem, że nie jestem tutaj pożądanym gościem... Zawołaj Gertrudy! myślę, że z jej pomocą potrafię wstać i iść do siebie.

I poruszył się, chcąc się podnieść.

— Jerzy! — zawołała błagalnie — na miłość Boską, na wszystko, co ci jest drogiem, proszę cię nie ruszaj się, bo możesz zerwać bandaże.

— Nie mam nic drogiego! — rzekł z goryczą, choć poczuł w tej chwili wyrzut sumienia, pomyślawszy o stryjence.

Odwróciła głowę, żeby ukryć łzy, a jemu przyszła szalona chęć spojrzeć jej w oczy i zawołał prawie rozkazująco:

— Daj mi pić!

Uniosła ostrożnie jego głowę i przyłożyła do ust szklankę z wodą, lekko zaprawioną winem. Pił powoli, patrząc na nią badawczo i zobaczył krople wilgoci na rzęsach, oczy podkrążone i błyszczące gorączkowo i drżenie ust. Widział, że była głęboko wzruszona i byłby oddał w tej chwili życie za możność zajrzenia do głębi jej duszy. Widział, że go nie kocha, bo sama mu to powiedziała; cóż więc znaczy ta boleść i ten szczególny dźwięk w jej głosie, co ten zagadkowy wyraz w oczach, który go najprzód uderzył? Miała na sobie biały ranny szlafroczek, podnoszący jeszcze przeźroczystość jej cery, delikatność rysów i bogactwo warkoczy, puszczonych swobodnie na plecy. Przeważał w niej dzisiaj jakiś wdzięk miękki, nieokreślony, wyłącznie niewieści.

Ta, co mu czytywała bohaterskie pieśni i zagrzewała do czynu, zniknęła — była tylko kobieta.

Jerzy patrzył, trzymając ciągle przy ustach próżną już szklankę. Różowe brzaski poranku, wpadające przez okno potokiem barw ciepłych i promiennych, czyniły ją jeszcze piękniejszą, jeszcze więcej pociągającą.

— Czy jeszcze? — spytała zmieszana trochę przenikliwością tego wzroku.

— Jeszcze — odpowiedział, a gdy mu podała znowu, odepchnął szklankę prawie z gniewem i rzekł szorstko:

— Nie chcę już, odejdź! Zostaw mnie samego...

Żeby chorego nie rozdrażniać, spełniła jego życzenie i usiadła na krześle, stojącem tuż za drzwiami, a łzy długo powstrzymywane popłynęły teraz swobodnie. On zaś, patrząc za odchodzącą, myślał z goryczą, że gdyby coś ważył w jej życiu nie usłuchałaby go tak skwapliwie.

Jadwisia płakała gorzko: Bóg tylko jeden wiedział, jak był jej drogim ten, co leżał za temi drzwiami, i jak ciężkie godziny przeżyła tej nocy. Doktor Jacenty zapewnił ją wprawdzie, że rany prędko się pogoją i żadnych złych następstw nie będzie, chybaby przyłączyła się gorączka mózgowa, gwałtownem spowodowana wstrząśnieniem — ale i tego nie przypuszczał, ze względu na silny i zdrowy organizm młodzieńca. Słowa to były pocieszające, ale któż nie wie, że życie urządza ludziom niespodzianki, wtedy zwłaszcza, kiedy się tego najmniej spodziewają! Dopóki

widziała go nieprzytomnym, nie rachowała nic na słowa doktora; serce zamierało jej w piersi — tylko obawa o niego podtrzymywała sztucznie siły dziewczęcia; teraz, gdy on odzyskał przytomność, czuła się zupełnie wyczerpaną. A jaki on był dla niej niesprawiedliwy, jak szorstko ją wypędził z pokoju! Widocznie widok jej nie uspokaja, ale kaleczy.

Im mniej będzie mu się pokazywała na oczy, tem lepiej, ale kto mu tak starannie rany opatrzy, jak ona? Kto uniesie głowę zranioną tak ostrożnie, żeby nie czuł nawet, że się ją porusza? Kto będzie krzątał się około niego tak cicho, żeby nie słyszał nawet szelestu i mógł spać spokojnie? Gertruda? Rące Gertrudy zaszorstkie i zbyt niezręczne; chód tak ciężki, że gdy stąpa, umarłegoby obudziła; a przytem poczciwa kobieta tak sapie, tak okropnie sapie, zwłaszcza, gdy jest zmartwiona, że najzdrowszemu człowiekowi zakłócić może spokój, a cóż dopiero choremu! Babka? ach ta biedna babka, taka znękana, tak słaba, czyż można od niej wymagać, żeby czuwała przy Jerzym? Gdy zbudzona w nocy krzątaniem się domowych wstała i ujrzała go leżącego bez życia, stanęła jak skamieniała. Tak niegdyś przyniesiono jej męża; tak byłaby ujrzała niesionego syna, gdyby jej wydano jego zwłoki. Widok, jaki miała przed sobą, budził w jej duszy wszystkie bolesne wspomnienia... Uspokojona zapewnieniem doktora, położyła się niedawno. Czyż można tę słabą ko-

bietę, którą na ziemi wątła zaledwie nić życia trzymała, używać do posług około chorego? Ani sposób. Musi Jerzy znosić obecność niedawno jeszcze namiętnie kochanej, a dziś obojętnej... gdzie tam obojętnej, bo nienawistnej sobie prawie istoty. Ach! gdyby mogła stać się niewidzialną!

Tu nowe łzy trysnęły z pod jej powiek.

A jednak, czyż mogła postąpić inaczej, niż postąpiła? Nie. I teraz, gdy się pyta o to własnego sumienia, sumienie odpowiada jej, że postąpiła dobrze. Nie powinna wiązać swego życia z jego życiem, bo on mógłby żałować potem, że się stała przeszkodą dla spełnienia jego ambitnych zamiarów. Z czasem Jerzy będzie jej za to wdzięczny... Gdyby go tu w Kozłowie zatrzymywała jaka inna, potężniejsza siła, to co innego — ale tak!... Uczyniła dobrze i niepotrzebnie nawet zastanawia się nad tem. Zresztą Jerzy jej już nie kochał. nie mógł nawet znieść jej widoku. Tak łatwo przyszło mu się jej wyrzec!

Łkanie podniosło jej pierś.

A ile goryczy było w jego słowach, gdy mówił, że nie ma »nic drogiego«...! Przypomnienie tych słów, a zwłaszcza intonacya, z jaką były wymówione, zbudziły w niej gorące pragnienie popatrzenia na niego.

Cicho otworzyła drzwi. Jerzy spał, oddychając równo i swobodnie. Podeszła bez szelestu do łóżka i długo wpatrywała się w te rysy, tak dla niej drogie.

— A jednak — myślała — gdy usłyszał odemnie, że go nie kocham, tak gwałtowna bo-

leść odmalowała się na jego twarzy, że potrzebowałam wszystkich sił moich, żeby nie uledz słabości. O Jerzy, Jerzy! nazbyt mi jesteś drogim, abym chciała ci być kulą u nogi... Kochał, a teraz nienawidzi...! Ha, może to tylko duma zraniona cierpiała, nie serce.

Jerzy nie przeczuwał nawet, kto przy nim stoi. Oddychał równo, miarowo, ale sen jego nie musiał być spokojny, bo brwi ściągały się gniewnie, usta chwilami poruszały, lub osiadał na nich wyraz wyniosłej pogardy. Położyła mu zlekka rękę na czole, i nie obudził się, tylko rysy jego pod wpływem tego łagodnego dotknięcia przybrały spokojniejszy wyraz.

Jadwisia patrzyła na śpiącego i przed oczyma duszy widziała obraz pożaru, o którym szczegółowo opowiedział jej naoczny świadek, doktor Jacenty. Widziała tego, ktory tu leżał w tej chwili uśpiony, jak z odwagą, dochodzącą do zuchwalstwa, uratował życie starej kobiety. Był to prawdziwy Wilczek i czynem swoim dziś dowiódł, że »jabłko niedaleko pada od jabłoni«. I pomyśleć, że życie jego wisiało na włosku, podczas, gdy ona tu spała spokojnie, nie domyślając się niczego! Było to jak sen jakiś okropny.

Patrzyła i coraz silniejsze wzruszenie ogarniało całą jej istotą. Wtem chory poruszył się i Jadwisia cofnęła się od łóżka, nie chcąc, żeby ją zobaczył.

* * *

Jerzy stał się bohaterem dnia; w całem mieście mówiono tylko o nim. Papiery Bungego za to i jego widok utrzymania się na stanowisku bardzo spadły.

Dotąd przeważnie rzemieślnicy i ubożsi mieszczanie byli za Jerzym, a od dnia pożaru stawał po jego stronie właściciel spalonej fabryki, Hofer, jeden z najbogatszych obywateli, a ten mógł innych pociągnąć za sobą. Stronnicy Bungego, a należała do nich cała parafia kościoła ewangelickiego i ewangelicko-reformowanego, z dwoma pastorami na czele, chodzili po mieście powarzeni — przeciwnicy zaś domagali się, aby Bunge zapłacił karę za to, że, wyjeżdżając z miasta, nie zawiadomił o tem kogo należy. Kara ta, podług paragrafu 4-go ustawy, wynosić powinna od kopiejek piętnastu do pięćdziesięciu — przeciwko czemu Bunge energicznie protestował; nie chodziło mu bynajmniej o sumę, wskazaną paragrafem, ale o doniosłość moralną kary, której chciał uniknąć. Przewodniczący instytucyi, wykraczający przeciwko samej ustawie, traci moralnie prawo przewodniczenia tej instytucyi — to też komitet, w składzie którego znajdował się naczelnik straży ziemskiej i burmistrz, acz niezbyt przychylni Bungemu, nie zatwierdzili kary, żeby tym aktem kandydatury Wilczka nie poprzeć.

Drzwi domu pani Wilczkowej nie zamykały się prawie, tak bezustannie dowiadywano się o zdrowie Jerzego. Wzrastająca popularność

młodzieńca nie bardzo się podobała wyższym figurom. Naczelnik powiatu, zawsze głęboki polityk, przysłał adjunkta z zapytaniem o zdrowie chorego i powinszowaniem — o czem dowiedziawszy się burmistrz, zazdrośny zawsze o swoje stanowisko ojca i głównego opiekuna miasta, postanowił sam go odwiedzić. Ale przypomniawszy sobie rolę, jaką niedawno w domu Wilczków odegrał, zawrócił od bramy.

Chory tymczasem szybko przychodził do zdrowia: rany się pogoiły, ręka wyprostowała, tylko blizna na lewym policzku znaczyła się jeszcze krasą czerwoną. Jak tylko doktor wstać mu pozwolił, spędzał całe godziny pod werandą od strony dziedzińca, z książką w ręku, i tam też dnia jednego odwiedził go baron Stern.

— Nie przychodzę do pana jako Rosyanin do Polaka — rzekł wchodząc — ale jako do człowieka. Narodowość moją zostawiłem u drzwi tego domu, żeby przypadkiem pańskiej nie dotknąć. Nie będziemy mówili o »złotym moście«. kiedy pan nie chcesz, ale możemy mówić o ogólno-ludzkich potrzebach i ideałach. Czy dobrze?

— Z całego serca, panie baronie — odrzekł Jerzy, uścisnąwszy lekko rękę gościa — siadaj pan, proszę.

— Przedewszystkiem przyszedłem panu powiedzieć, że pańska odwaga zrobiła pana bożyszczem ludności, o czem pan wiesz zapewne. Za chwilę przyjdzie tu deputacya straży ogniowej, z prośbą, abyś pan pozwolił wybrać się na na-

czelnika, na wyborach, mających odbyć się za tydzień. Dowiedziałem się o tem prywatnie, a przypuszczając odmowę pańską, ze względu na trudności miejscowe bardzo delikatnej natury, postanowiłem uprzedzić deputacyę i oświadczyć panu, że trudności te potrafię usunąć i sparaliżować; bo oprócz tego, że jestem prezesem komitetu straży ogniowej, mam także stosunki i wpływy, których użyję na pańską korzyść. Będę szczęśliwy, jeżeli pan nie odrzucisz mojej pomocy i pozwolisz być sobie użytecznym. Uwielbiam odwagę, a pan niejednokrotnie już dałeś jej dowody. Dałbyś jej dowód największy, gdybyś pozostał w Kozłowie, pomimo, że chcą się pana stąd pozbyć.

Jerzy uśmiechnął się smutnie. Dawno on już postanowił, co ma czynić.

— Ale nie będę pana namawiał do niczego — mówił baron dalej — bo sam najlepiej wiesz, co masz uczynić. Nie chcę narzucać panu mojej przyjaźni, ale proszę, żebyś pan liczył na mnie. Moje nazwisko, mój mundur, budziły w panu nieufność... ale nie jestem człowiekiem złej woli, panie Jerzy, czego dowodem jest choćby to, że cieszę się sympatyą pańskich ziomków. Wiedzą oni, że jakiekolwiekbądź są moje przekonania polityczne, szczerze pragnę dobra tego pięknego kraju. Jakże, czy wierzysz mi pan?

— Wierzę panu, panie baronie — odrzekł młodzieniec zamyślony — słowa pańskie mają cechę szczerości...

— Proszę panicza — odezwała się Gertruda wchodząc — przyszli panowie ze straży ogniowej i chcą z paniczem mówić.

— Proś ich tutaj — odpowiedział młodzieniec i powstał.

Deputacya, złożona z sześciu osób, wręczyła mu dyplom honorowego członka i wyraziła prośbę o pozwolenie stawienia jego kandydatury na wyborach. Jerzy dyplom przyjął, podziękowawszy serdecznie za uczyniony mu tym aktem zaszczyt, i chciał odpowiedzieć na prośbę, gdy Getruda wprowadziła woźnego z magistratu, który domagał się natychmiastowego widzenia z młodym panem, utrzymując, że ma pilny interes.

Wchodząc, sługa policyjny spojrzał podejrzliwie na barona, porachował oczyma strażaków i, składając nizki ukłon, przemówił:

— Pan sekretarz policyi odsyła paszport wielmożnego pana, bo słyszał, że wielmożny pan ma w tych dniach wyjechać zagranicę, dla poratowania zdrowia. Pan prezydent tutaj napisał, że nie zachodzi żadna przeszkoda do wyjazdu.

To powiedziawszy, skłonił się powtórnie i wydobył papier z bocznej kieszeni munduru. Baron uśmiechnął się lekko i spojrzał ciekawie na Jerzego. Młodzieńcowi zaiskrzyły się oczy. a ciemne łuki brwi drgnęły.

— Powiedz pan sekretarzowi policyi, żem mu nieskończenie wdzięczny, iż uprzedza moje życzenia — powiedział — ale zanadto się po-

BIBLIOTEKA PUBLICZNA Zb. 3. 004 1623 w Krakowie

śpieszył. Może zatrzymać mój paszport, bo ja nie mam zamiaru wyjeżdżać. Powiedz mu jeszcze, że największą przeszkodą do mego wyjazdu jest on sam i że dopóki on będzie w Kozłowie, ja nie opuszczę miasta. Możesz odejść.

Odwrócił się i spotkał oko w oko z Jadwisią, która, stojąc oparta o werandę, była świadkiem tej sceny. Ściągnął brwi gniewny, że go słyszała i że gotowa przypuścić, i uczynił to dla niej — ona zaś zbladła śmiertelnie i uczuła aż ból w sercu od przepełniającego je zbytku szczęścia. Pobiegła do babki i kryjąc głowę na jej kolanach, zawołała z płaczem:

— On zostaje! zostaje! odzyskaliśmy go! Szlachetność zwyciężyła egoizm.

XVII.

Nad wszelkie spodziewanie mieszkańców, władze nie czyniły żadnych przeszkód co do wyboru Wilczka, przeciwnie, zachowywały się prawie z bierną życzliwością. Jerzy się trochę temu dziwił, a baron, z którym teraz widywał się często, milczał i uśmiechał się.

Nadszedł nareszcie dzień wyborów: w wielkiej szopie drewnianej, przeznaczonej na skład narzędzi ogniowych i służącej czasem miastu do publicznych uroczystości, jak bale i sceniczne przedstawienia amatorskie, zebrali się dziś wszyscy członkowie straży ochotniczej kozłowskiej czynni i honorowi, i zajęli ławy pod ścianami. Trzy wielkie bramy szopy, umyślnie urządzone dla prędszego wytaczania sikawek, były teraz szeroko otwarte na trzy strony miasta; gromadki ciekawych mieszczan stały przy nich, wytoczone na ulicę z szopy sikawki i ustawione rzędem w dwóch szeregach wyglądały niby baterya armat Przy stole, na małem wzniesieniu z desek, urządzonem dla sceny, zasiadł komitet, złożony z sześciu członków i dotychczasowego na-

czelnika straży, Bungego. Ten siedział pomiędzy naczelnikiem straży ziemskiej a burmistrzem, którzy z obowiązku byli stałymi członkami komitetu, jak tego wymagała ustawa. Baron Stern, prezes straży ogniowej, rzadko bywający na posiedzeniach, dziś także siedział na swojem krześle prezydyalnem.

Bunge był chmurny, naczelnik zamyślony, a burmistrzowi, który sam jeden tylko wiedział, że cały ten wybór był komedyą, w której on grał główną rolę, chodziły po twarzy leciutkie, ironiczne uśmiechy, a oczy pobłyskiwały złośliwie. Była to poprostu krotochwila, mająca go ubawić. Niedawno jeszcze myślał, że wybory do skutku nie przyjdą, że się Jerzy nieprędko z ran wyliże; ale gdy młodzieniec wyzdrowiał, burmistrz uczuł pewien rodzaj podziwu dla twardej natury »tego chłopaka«.

Popatrzył po obecnych, a dojrzawszy siedzącego pod ścianą Jerzego Wilczka, odchrząknął i przemówił:

— Panowie! Stosując się do paragrafu 5-go ustawy, rozpoczynamy doroczne wybory na naczelnika straży ogniowej przez tajemne balotowanie. Ustępujący z tego stanowiska, obecny tu pan Rudolf Bunge, pełnił obowiązki naczelnika z pożytkiem dla miasta, dając niejednokrotne dowody obywatelskiej ofiarności i poświęcenia.

— Oho! — odezwało się kilka głosów.

— Proszę mi nie przerywać!... Ofiarności i poświęcenia, za które należy mu się wdzięcz-

ność. Wdzięczność tę okazalibyście mu najlepiej, wybierając go po raz drugi. Ale nie chcę wywierać na was nacisku ani jednem słowem: uchowaj Boże! Przedstawcie kandydatów. Kartki leżą na stole: bierzcie je i piszcie.

Rzucono się do stołu hurmem na to wezwanie i rozebrano kartki w mgnieniu oka. Burmistrz, usiadłszy po swej przemowie, przetarł starannie okulary, założył je na nos i, oparłszy ręce na brzuchu, patrzył na ten ruch wyborczy, uśmiechając się z pobłażaniem. Wzrok jego, przebiegłszy wszystkie twarze naiwnych wyborców, wędrował kolejno po wiązaniach dachowych, szybach okiennych, ścianach, aż znudzony powrócił znowu skąd był wyszedł, na twarze wyborców. Od Gonczarowa nauczył się czasem przymrużać oczy; choć między tymi dwoma dygnitarzami był ciągle milczący antagonizm, jednak dystynkcya naczelnika imponowała trochę burmistrzowi — naśladował więc w nim to, co mu się zdawało najłatwiejszem. I teraz oto, przymrużonemi lekko oczyma patrzył na członków straży, składających kartki w jego ręce, przyczem kąciki jego ust drgały tłumioną wesołością.

Komitet zabrał się do obliczenia głosów, a w miarę tej czynności na twarzy naczelnika straży ziemskiej malowało się niezadowolenie, a oblicze Bungego chmurniało. Burmistrz o mało nie parsknął w kułak, na widok powagi i sumienności, z jaką ci panowie spełniali swoją

czynność — a poczucie wyższości własnej nad tymi, którzy do tajemnicy nie byli przypuszczeni, wprawiało go w coraz świetniejszy humor.

Po obliczeniu kartek pokazało się, że Jerzy Wilczek wybrany został prawie jednogłośnie — i cały komitet jak jeden mąż powstał, winszując wybranemu, co też uczynili wszyscy wyborcy, ściskając Jerzemu ręce z niekłamaną serdecznością, a przyjaciel jego lat dziecinnych, ślusarz Franek, z wielkiej radości włożył mu swój własny kask strażacki na głowę.

Gdy komitet zasiadł napowrót, a burmistrz zaczął pisać protokół, Bunge poprosił prezydującego o głos, a otrzymawszy go, powstał i przemówił w te słowa:

— Doszło do mojej wiadomości, że panowie chcieliście mnie się pozbyć dlatego, że jestem Niemiec. Szkoda, żeście tak późno sobie o tem przypomnieli. Jakem kupił za własne pieniądze sikawkę i podarował ją miastu, to się ani jeden nie spytał, jakiej Bunge narodowości. Mówiono wtedy: »zacny pan Bunge«. Tak jest, panowie, nazywaliście mnie zacnym.

— Czybyś pan kupił tę sikawkę, gdybyś pan nie był posiadaczem domu drewnianego, panie Bunge? — wyrwał się ktoś z pytaniem.

— To nie należy do rzeczy. Proszę mi nie przerywać. Kiedyśmy zorganizowali straż ogniową, a nie było w mieście nikogo, ktoby panów nauczył odpowiednich ćwiczeń i obrotów, Bunge był wtedy »szanownym panem Bunge« — tak

jest panowie: nie tylko zacnym, ale i szanownym... A kiedy dał grubą składkę na narzędzia, nie mówiono inaczej jak »kochany pan Bunge«. Tak jest panowie: zacny, szanowny i kochany! Pozwolą panowie przypomnieć sobie, w jakim stanie znajdowały się narzędzia pożarne, gdy Bunge obejmował przewodnictwo nad wami. Prześwietny Magistrat posiadał trzy sikawki: z tych jedna miała koła i dyszel w dobrym stanie, ale ponieważ ciekło na nią z dachu i wierzch zupełnie zgnił, więc służyła za śmietnik. Druga miała wierzch i spód i wszystko w dobrym stanie, ale bok z niej wyleciał, więc okociła się w niej kotka pana prezydenta. Trzecia była w stanie najlepszym, bo nie brakło w niej nic, ale gdy się palił dom Arona i założono do niej konie, wszystka woda szparami wyciekła, bo się zupełnie rozeschła. Do tych trzech sikawek była jedna dziurawa kiszka.

Tłumiony śmiech niejednokrotnie przerywał wyliczanie inwentarza. Naczelnik straży ziemskiej słuchał zgorszony tą przemową, a burmistrzowi ruszyły się wąsy na wzmiankę o kotce.

— A teraz, patrzcie panowie! — mówił wskazując na sikawki i narzędzia, stojące na ulicy w bojowym szyku — mamy sześć sikawek we wzorowym utrzymanych porządku; mamy kubły, drabiny, beczki, topory i kiszki. Prześwietny magistrat sprawił z funduszów miejskich nową skrzynię do śmieci, a kotka pana prezydenta chodzi się gdzieindziej kocić.

— Kanalia! — pomyślał burmistrz — już się dowiedział, że się dziś okociła w moim pokoju. Te szwaby mają lepszą policyę, niż ja, jak Boga kocham!

— Gdy panowie mówicie o Niemcach, krzywicie się tak, jakby każdy z was co gorzkiego przełykał. A czy to Niemcy usuwają się od obowiązków gminnych? czy nie płacą podatków? Przeciwnie, w niejednem mieście porządek od nich dopiero się datuje, a chociaż na nich czasem narzekają koty, ludziom za to bywa lepiej. Piliście obrzydliwą lurę, dopóki Niemiec Bunge nie zaczął warzyć uczciwego trunku: macie teraz bawarskie, macie porter, macie marcowe, jałowcowe, owsiane i możecie pić, czego tylko dusza zapragnie, i to pić niedrogo. Dawniej, gdy kto chciał co dobrego wypić, musiał sprowadzać z miasta gubernialnego, a teraz każdy ma wygodę. Produkując towar na miejscu, oszczędziłem miastu kosztów przywozu, i czy może kto powiedzieć, że jestem złym obywatelem, chociaż mam paszport pruski? Czy Paćkalski, który sprzedawał lurę za drogie pieniądze, lepiej kochał waszą ojczyznę odemnie?

— Paćkalski bierze przynajmniej czysty chmiel do piwa — odezwał się ktoś z kąta — a pan bierzesz gencyanę!

— I wronie oko!

— I lukrecyę!

— Proszę się uciszyć! — zawołał głośno burmistrz, uderzając ręką w stół, rad w duszy, że się zabierało na krotochwilę.

— Czemuż nie kupujecie piwa u Paćkalskiego, tylko u mnie? — mówił Bunge dalej. — Idźcie do niego. Polacy są dziwnym narodem: złorzeczą nam, a lgną do nas. Gdybyście wy siedzieli na browarach, fabrykach i krzesłach radzieckich, mybyśmy tam zasiąść nie mogli; gdybyście sami nie sprzedawali nam swojej ziemi, nie moglibyśmy jej kupować. Trzymajcie mocno w garści to, co chcecie mieć, a jeżeli co wypuścicie, a my podniesiemy, nie narzekajcie na nas. Czyśmy wam kiedy cokolwiekbądź gwałtem wydzierali? czy się rzecz każda nie dzieje za dobrowolną z wami umową? Od waszych narzekań, że ziemię waszą wykupujemy, aż uszy bolą, a sprzedalibyście ją całą, żebyśmy tylko mieli dość pieniędzy, aby ją kupić. O jej!

Naczelnik straży ziemskiej od kilku chwil począł słuchać uważniej, ale burmistrz zaczął się wyraźnie niecierpliwić.

— Panie Bunge! odstępujesz pan od rzeczy.

— Zaraz skończę — odrzekł flegmatycznie Bunge.

Wyjąwszy z kieszeni czerwoną fularową chustkę z wydrukowanym na niej portretem Bismarka, otarł nią pot z czoła. Rubaszne oblicze żelaznego kanclerza, zawisnąwszy przez chwilę w powietrzu, zdawało się szydersko spoglądać po zgromadzonych.

— Nie chcecie mnie panowie, to nie! Owszem, bardzo rad z tego jestem. Przyjdziecie wy do mnie jeszcze, ale wtedy już ja nie zechcę!

Że zaś panowie krzywicie się na moją niemczyznę, więc może i niemieckie pieniądze będą wam wstrętne. Proszę o wykreślenie mnie z liczby członków. Mojemu następcy życzę powodzenia. Skończyłem.

To powiedziawszy, usiadł.

Obyczajem przyjętym było, aby nowy naczelnik miał do wyborców mowę. Dotąd Jerzy nie mógł tego zwyczaju dopełnić, bo mu Bunge swoją długą mową przeszkodził. Ale teraz wstał i poprosiwszy o głos, przemówił.

— Panie Bunge! Bez pańskiego przypomnienia wiedzieliśmy, żeś pan oddał miastu naszemu wielkie usługi, przez uorganizowanie straży ogniowej ochotniczej, jak również, żeś pan dał dowód ofiarności obywatelskiej, podarowawszy miastu sikawkę.

— Polacy mają dobrą pamięć: nie zapominają ani przysług, ani uraz. W swoim czasie miasto niezawodnie dziękowało panu za to, coś dla niego czynił, a dziś straż ogniowa, której pan przewodniczyłeś tak długo, dziękuje panu za wszystko raz jeszcze przez moje usta. Wybór nowego naczelnika nastąpił prawdopodobnie nie z tych powodów, jakich się pan domyślasz, ale z posłuszeństwa ustawie, wymagającej, aby co rok dokonywały się wybory nowe. Gdy od dziś za rok znajdziemy się tu znowu w tym samym celu, może z kolei ja znowu będę musiał panu ustąpić. Powiedziałeś nam pan kilka gorzkich prawd, które jednak potrzebują małego sprostowania. Nie musi być u nas tak bardzo źle, skoro

siedzimy w domu i mamy dosyć chleba dla siebie i pańskich rodaków, wypieranych niedostatkiem z ojczyzny. Z rady pańskiej, abyśmy trzymali mocno w garści to, co posiadać chcemy, będziemy korzystali, a może nawet z czasem odbierzemy i tamto, co nam zostało wydarte!

Tu mowę Jerzego przerwały gorące oklaski.

— Szelma!—mruknął burmistrz—język ma!

— Inne punkta mowy pomijam — mówił Jerzy dalej — bo nie uważam za właściwe, aby obcy mieszali się w nasze sprawy rodzinne. Wszystkich tu obecnych proszę, aby mi w mojem trudnem zadaniu pomagali; a panów reprezentantów władz, aby instytucyi naszej nie przeszkadzali rozwijać się swobodnie i nie odmawiali opieki i pomocy w razie potrzeby przy ćwiczeniach i pożarach.

Burmistrz głośno odchrząknął, a naczelnik straży ziemskiej lekko podniósł brwi, rzucił bystre spojrzenie na mówiącego i zaraz je na dół spuścił.

Mowa ta krótka, dosadna, wolna od wszelkich deklamacyj, sprawiła bardzo dobre na wszystkich wrażenie. Wedle paragrafu 5-go ustawy głosowano jeszcze na pomocnika naczelnika straży i wybór padł na Polaka, w miejsce Niemca, pełniącego dotąd te obowiązki, co ogólne wywołało zadowolenie.

Po dokonanych wyborach członkowie komitetu ruszyli się z miejsc swoich. Tłum strażaków wysypał się na ulicę, a na jego czele w towarzystwie brandmajstra i naczelników oddziałowych

szedł Jerzy w skórzanym kasku na głowie, z pod którego spływały mu bujne, jasne włosy. Młodzieniec przenosił wzrostem wszystkich swoich przyszłych podkomendnych. Burmistrz, mający słabość do atletów i dobrze zbudowanych, rzekł, wskazując go kwatermistrzowi, który się znalazł przypadkiem przy wyjściu:

— Patrz pan, jaki to piękny chłop z tego Wilczka! Co za ramiona! jaka pierś! Wygląda jak wódz rzymski na czele kohorty.

— Nie boimy się już dziś Rzymian — odrzekł zagadnięty, spoglądając zawistnem okiem na młodzieńca — ale Wilczek wygląda mi nie jak Rzymianin, lecz jak wódz powstańców. Obywatele, strzeżcie się, aby wasz nowy naczelnik, zamiast gasić ognie, nie wzniecił pożaru, który strawi was samych i wasze mienie i rozleje się na kraj cały.

Jerzy dosłyszał te słowa, bo odwrócił się i popatrzywszy na mówiącego ze wzgardą, rzekł tak głośno, żeby go wszyscy słyszeli:

— Jeżeli płomień, o jakim pan mówisz, wybuchnie, będzie to winą takich, jak pan działaczy. Wy to wzniecacie pożary ciągłem na iskry dmuchaniem!

Nazajutrz w kościele parafialnym odbyła się msza strażacka, zamówiona przez wszystkich członków, a po mszy nowy naczelnik zaprosił do siebie podkomendnych i ugościł ich hojnie, co, jedno z drugiem, bardzo się nie podobało ojcom miasta.

Warszawie

XVIII.

Krotochwila najniespodziewaniej przeobraziła się w tragedyę. Zamiast unieważnienia wyboru Wilczka i nakazania nowych wyborów, gubernator wybór zatwierdził. Nie uprzedził tego ciosu dla magistratu nawet zwykły tajny raport; widocznie sprawa rozstrzygnęła się na ten raz w sferze niedostępnej dla raportującego. We dwa dni dopiero raport spóźniony wyjaśnił, że stało się to za sprawą barona Sterna, mającego stosunek dawnej, osobistej znajomości z gubernatorem.

Fakt ten sprawił przygniatające wrażenie: naczelnik, żyjący dotąd w dość przyjaznych, choć niezbyt serdecznych stosunkach z baronem, poczuł nagle gwałtowną przeciwko niemu niechęć, bo zrozumiał, że znalazł się wpływ mogący jego wpływy paraliżować — i tak go to zirytowało, że przez cały dzień nie chciał przyjmować interesantów, tylko chodził niespokojny po swoim gabinecie. Kwatermistrz rozzłoszczony wyrzucał rajcom, że są malowani i że nie należało na żarty nawet dopuszczać do wyboru takiego człowieka jak Wilczek; a burmistrz,

drwiący sobie pozornie z takiego obrotu sprawy uczuł jednak tajemną obawę o spokój miasta, będący ideałem jego marzeń, o spokój, którego tak pożądał -- i złorzeczył »niepotrzebnemu wtykaniu nosa naczelnika w sprawy miejskie«, bo gdyby nie on i jego wyrafinowana polityka, nie przyszłoby do tego wszystkiego.

I co tu było robić? Jawnie działać przeciwko decyzyi gubernatora, niepodobna! Na wielkiej naradzie wszystkich interesowanych, postanowiono znieść w milczeniu ten cios, tylko osobę nowego naczelnika otoczyć pilną obserwacyą, a gdy najmniej choćby odstąpi od ustawy, wtedy już łatwo będzie można z nim sobie poradzić. Żeby zaś uśpić czujność obserwowanego, postanowiono udać zupełną obojętność.

Sposobność jednak nie nadarzała się jakoś. Nowy naczelnik pilnował się ściśle ustawy. Kwatermistrzowi tylko niepodobała się jego zbytnia gorliwość, a zwłaszcza jego przechadzki nocne. Ale żaden paragraf nie określał godzin, w których naczelnikom straży spacerować wolno, lub nie wolno. Prawodawca snać nie widział w tem nic groźnego dla państwa.

»Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie« — mówi stare polskie przysłowie. Pan kwatermistrz, choć Niemiec, znał to przysłowie i pocieszał się niem. W duchu nazywał on zawsze Jerzego psem wściekłym i z rozkoszą myślał o chwili, w której będzie mógł go uderzyć: nie wiedział ten mąż o drugiem polskiem przysłowiu, uzu-

pełniającem niejako pierwsze, a mianowicie, że »kij ma dwa końce« — bo gdyby je znał, nie szukałby może tego przysłowiowego kija tak skwapliwie.

Tak upłynął miesiąc, podczas którego Jerzy zapełniał sobie czas ćwiczeniami straży i pracą, dawno obmyśloną, nad dziełem o prawie międzynarodowem. Kwatermistrz, obserwujący pilnie dom przy ulicy Mokrej, widział go często przez okno, schyłonego nad papierem, z piórem w ręku, lub rozmawiającego z rzemieślnikami, przychodzącymi odwiedzić towarzysza dawnych dziecinnych zabaw. Gdyby to były odwiedziny gromadne, możnaby wystąpić przeciwko temu z paragrafem, wzbraniającym gromadnych zebrań bez pozwolenia policyi — ale ci głupcy przychodzili po dwóch, po trzech, czasami po jednemu, a kwatermistrz klął w duchu to ich nietowarzyskie usposobienie. Zauważył też wzrastającą przyjaźń Jerzego z baronem, co zaś najważniejsza, bystry wzrok jego dostrzegł, że choć róże wszystkich barw kwitły na wyścigi w ogrodzie pani Wilczkowej, jednakże róże na licach jej wnuczki bardzo zbladły. Ze zwykłą sobie przenikliwością odgadł, że w państwie miłości coś się zepsuło. Wieczorem, choć księżyc świecił, a powietrze, przejęte wonią kwiatów i napełnione ułudnymi szeptami i odgłosami natury, wzywało do spacerów, nie chodzili razem ręka w rękę, jak niegdyś, ale każde z osobna.

— Przeskrobał coś gagacik — myślał ze złośliwą radością — może jaka maleńka niewierność !..

Długo, nic więcej nad to nie udało mu się wyśledzić; aż jeden dzień był dla niego szczęśliwszy, bo, przechodząc koło okna, wysłuchał rozmowę Jerzego z doktorem Jacentym. Doktor opowiadał młodzieńcowi o sposobie, w jaki się niektóre części gospodarstwa miejskiego prowadzą, a więc o licytacyach na roboty miejskie, na które nigdy nie stawiają się licytanci, bo magistrat o nich publicznie nie ogłasza dlatego tylko, aby później »dla braku licytantów« komuś z protegowanych przedsiębiorców oddać je »sposobem administracyjnym«, wskutek czego przedsiębiorca grubo zarabia, dając najgorszy materyał i byle jaką robotę. Że zaś była właśnie na widoku gruntowna restauracya szkoły elementarnej, więc Jerzy powiedział, że postara się o to, żeby tym razem licytacya nie odbyła się w sekrecie i że on sam do niej stanie.

Wysłuchana rozmowa innego była rodzaju, niż kwatermistrz spodziewał się i pragnął; ale zawsze była to zdobycz nie do pogardzenia, dała mu bowiem sposobność ostrzeżenia burmistrza, co mu grozi.

Tak upłynęły dwa miesiące letnie: obie strony patrzyły na siebie wrogo, ale milcząco. Spoglądającemu zdala na te stosunki zdawaćby się mogło, że nastąpiło zawieszenie broni, a to było tylko obustronne czuwanie.

Raptem na horyzoncie pojawiła się mała, ale niepokojąca chmurka. Urzędnik stacyi telegraficznej powiedział w zaufaniu burmistrzowi, że pani Wilczkowa wyprawiła do jenerał-gubernatora do Warszawy depeszę — o co już zresztą mniejsza — oraz, że z Warszawy nadeszła także z biura jenerał-gubernatora do pani Wilczkowej depesza — co większe. Wiadomość ta sprawiła sensacyę: deputacya kwaternicza bowiem wyobraziła sobie, że zacna ta matrona pogodziła się już ze swoim losem, uznawszy bezużyteczność protestacyi. Mówiono o niej w mieście, że jest rozumna — a czyż mogła większego rozumu dowieść, jak uznając potęgę faktów dokonanych? Mówiono, że pobożna, a czemże lepiej dowieść mogła swej religijności, jeżeli nie poddając się woli Boga, »bez którego nikomu włos z głowy nie spadnie«. Wyobrażano sobie, że pogróżki Jerzego pozostaną tylko jałowemi pogróżkami, a tu naraz iskra elektryczna przeleciała po drucie w tę i ową stronę, i kto wie, czy nie sprowadzi błyskawic lub piorunów. Magistrat kozłowski wprawdzie zaopatrzony był w konduktory zabezpieczające go od piorunów, przetrwał niejedną burzę i stał niewzruszony jak skała; ale, szanując przysłowie: »strzeżonego Pan Bóg strzeże«, nie zaniedbywał nigdy żadnych środków obronnych, choćby najdrobniejszych.

Tajemnica telegramów powinna być równie szanowaną, jak tajemnica listów prywatnych. Nikt nie był gorętszym od burmistrza wielbicie-

lem tej zasady; ale gdzie idzie o dobro publiczne, skrupuły takie usuwają się na bok; muszą one ustąpić poświęceniu tak nawet wielkiemu, jak ofiara z własnych przekonań. Pojmował to dobrze burmistrz, gdy zażądał od urzędu telegraficznego kopii obydwóch depesz: dowiedziano się, że w pierwszej pani Wilczkowa prosiła o rezolucyę na prośbę, podaną przed kilku miesiącami, a w drugiej urzędnik pewien z biura jenerał-gubernatora, widocznie znajomy Wilczków, zawiadamiał panią Wilczkową prywatnie, że naczelnik kraju polecił wysłać pocztą, na ręce naczelnika powiatu w Kozłowie, piśmienną odpowiedź na jej depeszę, w której zawiadamiał ją, że skargę przesłał gubernatorowi dla załatwienia zgodnie z jej decyzyą. Ta druga depesza obniżyła temperaturę niepokoju członków deputacyi, bo choć nie znano nowego gubernatora, sprawa przeniesiona na grunt lokalny, stawała się mniej niebezpieczną.

Po tej małej przelotnej chmurce, upłynął znowu miesiąc ciszy i deputacya zaczęła już przypuszczać, że gubernator odłożył sprawę ad *calendas graecas*, gdy dnia jednego dowiedziano się, że młody Wilczek gdzieś wyjechał. Że zaś nie wziął ekstrapoczty, jak to już raz był uczynił, tylko furmankę prywatną, więc wszelkie śledztwo, w tej sprawie przedsięwzięte, było bezskutecznem. Ale nadszedł wkrótce z miasta gubernialnego tajny raport, a ten donosił, że Jerzy Wilczek przybył tam w sprawie wdowy Wilczko-

wej i miał u gubernatora posłuchanie, trwające przeszło godzinę. W przypisku była notatka, że polecenie jenerał-gubernatora załatwienia sprawy pani Wilczkowej leży od miesiąca na gubernatorskiem biurze i że jenerał gubernator własną ręką dopisał, iż po rozpatrzeniu dowodów przekonał się, że skarga jest słuszna. Gubernator przyjął Wilczka bardzo uprzejmie, wysłuchał, racyę przyznał i obiecał zająć się sam sprawą wdowy Wilczkowej. Słowem, okazał wielkie zainteresowanie i zarzucił młodzieńca pytaniami o położenie kraju i stosunki miejscowe; ale gdy się dowiedział, że tu idzie o wyrugowanie z kwatery hrabiego Redena, który miał wysokie w Petersburgu stosunki i którego gubernator znał osobiście, okazał pewne zakłopotanie, zamilkł i w końcu zbył go niejasnymi ogólnikami. Sekretarz prywatny gubernatora, siedzący w drugim pokoju, zdziwiony był niepomału, że ten młodzieniec, niezrażony bynajmniej nagłą zmianą tonu, prosił o śledztwo; ale jeszcze więcej zdziwiła go gotowość, z jaką gubernator na śledztwo przystał, kładąc tylko za warunek, że ono odbędzie się na koszt skarżącej.

Gdy zaś Wilczek warunek ten przyjął, gubernator widocznie nierad z takiego obrotu rzeczy, cofnął obietnicę, dając za powód, że nie chce pani Wilczkowej narażać na tak znaczne koszta, ale niezadługo będzie w Kozłowie, to sam tę sprawę rozstrzygnie.

W końcu raportu było kilka słów, malujących charakter nowego gubernatora, a miano-

wicie, że stara się o popularność, że przystęp do niego łatwy, że jest towarzyski i jedna sobie szlachtę polską.

Naczelnik, obecny przy czytaniu tego raportu, pogłaskał z zadowoleniem faworyty i wyraził zdanie, że nowy gubernator jest człowiekiem rozumnym i pojmuje doskonale położenie, bo roztropniej jest brać muchy na lep, niż je truć! Nie dodał zaś głośno, ale pomyślał sobie, że przy takim gubernatorze, on, wyznający te same zasady polityczne, może posunąć się znacznie wyżej w hierarchii urzędniczej, bo jest to widocznie człowiek, co się potrafi na nim poznać. Burmistrz też gładził brzuch z zadowoleniem, bo się spodziewał spokoju pod zwierzchnikiem, obiecującym rządy łagodne. Ławnicy nie myśleli ani tak, ani owak, bo jakkolwiek rządca prowincyi wyznawał przekonania polityczne, oni zawsze nie przestaną rozkładać podatków podług swego sposobu widzenia. Jeden tylko Kurtz nie mówił nic, chociaż myślał wiele. Przez te kilka miesięcy schudł, przymizerniał, a oczy mu wpadły i podkrążyły się sinemi obwódkami.

Jeden z rajców wniósł projekt odświeżenia i uporządkowania miasta na przyjazd gubernatora; naczelnik wniosek ten głośno poparł, ale poufnie szepnął do ucha burmistrzowi, że zdaniem jego niema w tem nic pilnego, bo gubernator nie będzie się tak bardzo śpieszył z objazdem powierzonej sobie prowincyi, mając ważniejsze sprawy na głowie. A gdy nareszcie objazd roz-

pocznie, to nie zacznie od Kozłowa, ale od innych bliższych miejscowości.

Ale zapisanem widać było w księdze przeznaczenia, że zachmurzony horyzont nie prędko się rozjaśni, bo w ślad za tajnym raportem nadszedł od gubernatora do deputacyi kwaterniczej rozkaz nadesłania natychmiastowych objaśnień co do spełnionego w domu Wilczkowej »gwałtu i innych nadużyć«. Gubernator nie pojmował, dlaczego tę panią wyrzucono z mieszkania, skoro wynajęła na kwaterę inne mieszkanie na mieście.

Wyrazy: »gwałt« i »nadużycia« niemile dotknęły panów członków deputacyi. Dawali już oni objaśnienia w tej sprawie poprzedniemu gubernatorowi, ale wówczas zapytanie przyszło w innej, łagodniejszej formie. Poczuli się więc dotknięci, ale nie zatrwożeni bynajmniej. Nie z takiemi oni trudnościami mieli już do czynienia i ze wszystkich wyszli zwycięsko. Miewali oni wreszcie jeden skuteczny sposób na tych, co się za przykładem Jerzego skarzyć chcieli na przeciążanie kwaterunkiem. Obiecywali, że im naznaczą pozorny tylko kwaterunek, za który rzeczywiste, nie pozorne bynajmniej otrzymają wynagrodzenie — ale kończyło się zawsze tylko na obietnicy, której spełnienia, gdy interesowany dopominał się, dawano mu do zrozumienia, że się dopomina rzeczy nieprawnych, więc milczał strwożony.

Był w Kozłowie właściciel domu i kupiec zarazem, Miller, o którym zadziwiająca, choć

prawdziwa, krążyła legenda. Deputacya kwaternicza tak dalece dała mu się we znaki, że postanowił za jakąbądź cenę zemścić się na niej: że zaś mieszczanin ten miał niemieckie nazwisko i był poddanym pruskim, więc, pojechawszy do Berlina po towary, trafił za pośrednictwem pewnego radcy ministeryalnego do samego Bismarka. Żelazny książę polecił sprawę Millera konsulowi pruskiemu w Warszawie — i na żądanie konsula wysłano z Warszawy do Kozłowa urzędnika na śledztwo. Miller zacierał ręce z radości, ale radość jego była przedwczesną; rezultat śledztwa był taki, że Miller dostał od swego konsula monitum i przykaz, aby nadal siedział cicho i z władzami krajowemi nie zadzierał.

Fakt ten, niesłychany w dziejach, powinien zostać zapisany w kronice świata na wieczną chwałę miasta Kozłowa. Wielkiemu Bismarkowi, w którego oczy patrzyła Europa ze drżeniem, niby pies wierny chociaż bity; jemu, przed którym, gdy udawał, że drzemie, narody chodziły na palcach z obawy, żeby go nie zbudzić — temu groźnemu potentatowi, magistrat kozłowski śmiał opór stawić. Nie domyślał się tego żelazny kanclerz, będący wówczas u szczytu władzy, że jest w Europie potęga, większa od jego potęgi; bo gdyby się dowiedział, straciłby niezawodnie ze zgryzoty swoje historyczne trzy włosy, jakie mu jeszcze pozostały!

Nie lada potęgą był magistrat kozłowski i nie lada, kto mógł go nastraszyć. Na rozkaz

burmistrza zredagowano odpowiedź, w której ośmielono się najpokorniej wytłómaczyć panu gubernatorowi, że w mieszkaniu, najętem w mieście przez panią Wilczkową, w żaden sposób nie można było pomieścić hrabiego Redena, bo ulica, przy której owo mieszkanie się znajduje, jest ciemna, wązka, a stąd wilgotna; oprócz tego pokoje są pozbawione pieców, a okna zrujnowane. Autorem odpowiedzi był kwatermistrz; burmistrz tylko słuchał, czynił swoje uwagi i akceptował. Ostatni argument, mówiący o wązkości ulicy, wydał mu się wielce krotochwilnym i parsknął śmiechem.

— Niech pana gęś kopnie! — zawołał — za taki koncept. Jeżeli rynek jest ulicą wązką i ciemną, gdzież będą ulice szerokie?

— Kto tam będzie te rzeczy sprawdzał! — odparł niecierpliwie Kurtz. — Wszystkie środki, które do celu prowadzą, są dobre i basta!

Naczelnik powiatu miał racyę, mówiąc, że gubernator ma ważniejsze sprawy na głowie, nad objazd prowincyi. Zajęty jednaniem szlachty polskiej — bo mu ktoś powiedział, że gdy szlachtę za sobą mieć będzie, to mieszczaństwo samo do niego przyjdzie — zapraszał się na polowania, dawał obiady, bywał na obradach Towarzystwa Kredytowego i zapisał się na członka wszystkich innych towarzystw. Sprawa wdowy Wilczkowej zdawała się być zupełnie pogrzebaną, tak przynajmniej przypuszczono w Kozłowie.

Jednego dnia, po rannej mustrze, pułkownik hrabia Reden zaproszony został na kawę

do naczelnika, jak to zresztą często bywało. Po kawie zagrał partyę szachów z panią naczelnikową, co także bywało bardzo często. Gonczarow, stojąc za krzesłem przyjaciela, śledził uważnie posunięcia na szachownicy: królowa właśnie dostała się do niewoli i król musiał upaść, co dało hrabiemu powód do żartobliwej uwagi, jakiemi to dzielnemi istotami są kobiety: one trzymają państwa, gdy wszedł służący i oznajmił naczelnikowi, że jakiś pan chce się z nim widzieć natychmiast. Gonczarow wyszedł niechętnie i w poczekalnym pokoju zastał młodego mężczyznę w płaszczu wojskowym, przechadzającego się wielkimi krokami. Zobaczywszy wchodzącego gospodarza, przybyły skłonił się i przemówił:

— Jestem Niestatkow, urzędnik do szczególnych poruczeń; przybyłem tu z polecenia gubernatora na śledztwo w sprawie wdowy Wilczkowej.

I podał mu papier.

Gonczarow rzucił okiem przelotnie na pismo i popatrzył w milczeniu na niespodziewanego gościa, który ani chciał siąść, ani płaszcza nie zdejmował, potem na drzwi salonu, za któremi siedział jego przyjaciel hrabia Reden, i odezwał się z najuprzejmiejszym, na jaki się mógł zdobyć, uśmiechem:

— Bardzo rad jestem i licz pan na moją pomoc w tej sprawie. Tymczasem proszę rozgościć się u mnie jak w domu; każę zaraz podać herbatę.

Przybyły zawahał się.

— Dziękuję panu naczelnikowi — rzekł stojąc ciągle — nie przybyłem w gościnę, tylko na śledztwo i nie powinienem tracić czasu. Może pan każe zaprowadzić mnie do burmistrza.

— I owszem łaskawy panie, sam z panem pójdę, ale to nic nie przeszkadza, abyśmy wprzód wypili po szklance herbaty. Gdzie pan stanąłeś?

— W hotelu niemieckim.

— W tej obrzydliwej dziurze! Na miłość Boską, to dobre dla polskich szlagonów, ale żaden Europejczyk tam jednej doby nie wytrzyma! Przenieś się pan do mnie. Miejsca chwała Bogu mam dosyć.

Sergijusz Niestatkow pomyślał sobie, że kto przyjeżdża na śledztwo osiąść powinien na terytoryum neutralnem i nie przyjmować gościnności u osób, pośrednio nawet do sprawy wchodzących. Ale wspomnienie odrapanych ścian numeru hotelowego, podejrzanej pościeli, wyszczerbionej miednicy fajansowej i obrzydliwej lury, jaką mu podano zamiast herbaty, takim go napełniło wstrętem, że gdy Gonczarow silniej nalegać zaczął, zgodził się u niego zamieszkać, tłómacząc sobie, że naczelnik powiatu jest tutaj stroną obojętną, że przeto mieszkając u niego pozostanie na terytoryum neutralnem. Rozebrał się, rozsiadł wygodnie w krześle, skórą zieloną wybitem, i, zapaliwszy wyborne cygaro, jakiem go poczęstował gospodarz, poddał się przyjemności wypoczynku, po kilkogodzinnej podróży na trzęsącej bryczce pocztowej.

Gonczarow tymczasem badał uważnie twarz swego gościa, młodą, inteligentną, zużytą trochę, na której błyski bystrości, przebiegłości nawet, mieszały się z jakąś dobroduszną niedbałością.

Podano samowar i panowie przepędzili przyjemną godzinę na rozmowie, w której gospodarz z przedziwnym taktem unikał wszelkiej wzmianki o sprawie Wilczków, czem do reszty skrupuły swego gościa usunął.

W ratuszu, gdzie już o przybyciu urzędnika do szczególnych poruczeń od godziny wiedziano, przyjęła go deputacya kwaternicza w komplecie i przedstawiła mu sprawę z licznymi komentarzami, rzucającymi na nią jaskrawe światło. Niestatkow słuchał milcząc, zadał kilkanaście pytań, brwi kilkakrotnie zsunął i wobec uniesień kwatermistrza i jego napadów na rodzinę Wilczków, siedział zimny i niewzruszony — snać miał już własne zdanie o sprawie, ale zachowywał je dla siebie. Badanie nie trwało długo, bo zegar na wieży ratuszowej wybił godzinę dwunastą i burmistrz, odzywający się dotąd bardzo mało, zaprosił urzędnika wraz z całą deputacyą do siebie na śniadanie. Niestatkowowi wstrętną była sama myśl jedzenia przy jednym stole z ludźmi, których przyjechał badać jak sędzia i na których może będzie zmuszony wydać wyrok potępiający; więc wręcz odmówił, chociaż godzina ta po czystej herbatce u naczelnika dała mu uczuć dość mocno dolegający głód.... Ale burmistrz zaczął go prosić i nalegać z tak dobroduszną serdecz-

nością, perswadując, że to go przecież do niczego nie obowiązuje i że przy jedzeniu będą mogli dalej mówić o sprawie; tak zapewniał, że będzie tylko skromna przekąska, za co z góry mocno przepraszał, że gdy go jeszcze poparł naczelnik, rad nie rad pozwolił się zaprowadzić, przyrzekając sobie w duchu, że oprócz kawałka chleba i kieliszka wódki, niczego więcej nie tknie. Przypomniało mu się też zlecenie gubernatora, aby postarał się sprawę »zgodnie załatwić« — a rzecz łatwa do zrozumienia, że przez większe zbliżenie, rezultat taki prędzej da się osięgnąć, niż przez uporczywe trzymanie się zdala.

Stół u burmistrza zastawiony był obficie i Niestatkow nie mógł nie zauważyć, że ta zastawa urządzoną była na jego intencyę, co go w niemałe wprawiło zakłopotanie. Podano wyborną starkę litewską, kawior, ryby wędzone i gdy urzędnik do szczególnych poruczeń chciał usta obetrzeć i wstać, sądząc, że śniadanie skończone, wniesiono gorący bulion z pasztecikami, potem potrawę z kurcząt, następnie polędwicę z garniturem i zająca. Dalej jeszcze były sery ostre, owoce i obfitość różnych smakowitych przystawek, co wszystko powiększało zakłopotanie Niestatkowa, żałującego niejednokrotnie, że przyjął zaproszenie. Dla ukrycia tego zakłopotania, jadł energicznie i z apetytem — bo też przyznać trzeba, że burmistrz niepospolitym był znawcą gastronomii i mistrzem w układaniu menu.

Miewał on tak genialne pomysły, tak oryginalne kombinacye, polegające na umiejętnym do-

borze kontrastów, że żałować przychodziło, iż tak znakomity smak kryje się na partykularzu. Niepospolity znawca win, po każdej potrawie inne kazał dawać gatunki, przestrzegając porządku z prawdziwem namaszczeniem. Dolewano gościowi obficie; że zaś dla dobrych patryotów obowiązek zawsze stoi na pierwszem miejscu, więc mówiono w dalszym ciągu o sprawie, rozcierając wszystkie jej motywa, a śniadanie ciągnęło się 3 godziny.

Sprawdziło się tu słynne przysłowie łacińskie: *in vino veritas*; bo pod czarodziejskiem działaniem tego szlachetnego trunku, niejeden szczegół przedstawił się Niestatkowowi z innej strony. Przy Sauternie, który podano zaraz po bulionie, widział w postępowaniu deputacyi wielkie ciemne punkta; przy reńskiem punkta te zaczęły z lekka blednąć; węgierskie zmieniało je w wątpliwości wiele dające do myślenia — a szampan podany po lodach, rozjaśnił mu w głowie zupełnie. Wiedział już, że źródłem wszystkich czynów deputacyi nie co innego było, tylko najczystszy patryotyzm i że użytecznej tej korporacyi, jak ewangelicznej jawnogrzesznicy, »wiele można było przebaczyć, bo wiele kochała«. Gdy wniesiono czarną kawę i likiery, Niestatkow wyrzucał sobie, że przyjechał z góry źle uprzedzony dla tych dobrych ludzi — i dziwił się sam sobie, jak mógł zapomnieć, że gdzie spór zachodzi między Rosyanami a Polakami, tam zawsze tych ostatnich cechuje tradycyjna niechęć, uprzedzenie i zła wola.

Że jednak był sumiennym urzędnikiem, więc nie mógł i nie chciał wydać ostatecznego zdania przed wysłuchaniem strony skarżącej, na której koszt odbywał śledztwo, i zbadaniem jej zarzutów. Zapaliwszy cygaro, zapytał Gonczarowa, jak sądzi, czy należy Jerzego Wilczka wezwać do ratusza, czy też iść do niego. Burmistrz był za wezwaniem; ale naczelnik, narzucający mu zawsze swoją wolę i ciekawy niesłychanie przypatrzeć się zblizka pięknej pannie, dla której fiksował kwatermistrz, zadecydował, żeby iść do domu pani Wilczkowej. Kwatermistrz poparł ten zamiar.

— Lepiej jest zejść niespodzianie zwierza w jego legowisku i przerazić, zanim będzie miał czas uzbroić się w zwykłe swoje wykręty — zadecydował.

Zapanowało chwilowe milczenie. Kłęby dymu zasłoniły twarze biesiadników, z których każdy prawie zastanawiał się nad ważnem przedsięwzięciem, do jakiego miano przystąpić i ani jeden nie pragnął przyśpieszyć tej chwili. Służalski znajdujący się dziś w liczbie członków deputacyi na umyślne wezwanie, posępny był, wylękniony, a wino, którego wypił parę kieliszków, uczyniło go jeszcze posępniejszym. Że wszystkich uczestników śniadania jeden tylko Hand był trzeźwy zupełnie i umysł miał swobodny; wina nie pijał, ani nie jadał innego mięsa, jak koszerne.

Nareszcie Niestatkow spojrzał na zegarek i pierwszy wstał od stołu. Całe zgromadzenie w komplecie ruszyło w kierunku ulicy Mokrej.

XIX.

Rodzina Wilczków zgromadzona była przy stole, gdy u drzwi wchodowych dało się słyszeć gwałtowne szarpnięcie dzwonka. Gertruda pobiegła otworzyć, a ujrzawszy przybyłych, przestraszyła się i chciała natychmiast wycofać, żeby państwa uprzedzić. Ale kwatermistrz tego właśnie sobie nie życzył: usunął ją na bok i, wskazując drogę całemu towarzystwu, jako najwięcej obznajomiony z miejscowością, otworzył drzwi do jadalnego pokoju.

Z niemałem zdumieniem obiadujący ujrzeli przekraczających te drzwi pięciu członków deputacyi kwaterniczej, burmistrza i wreszcie naczelnika powiatu z Niestatkowem. Kobiety nie ruszyły się z miejsca, Jerzy wstał. Czuł on, że to na niego zrobiono obławę; osaczono go jak zwierza w kniei, że tym niespodzianym czynem chciano go doprowadzić do jakiego nierozważnego kroku, któryby go uczynił nieszkodliwym, i zrozumiał, że powinien być bardzo powściągliwym.

Wszyscy skłonili się głęboko przed panią Wilczkową, która mierząc ich wzrokiem zdziwionym, spytała wyniośle:

— Co znaczy ta napaść panowie? Czy przychodzicie wyrzucić mnie z tego schronienia, jakie mi jeszcze pozostało?

Przyjęcie niezbyt zachęcające — pomyślał naczelnik, nie mogący oderwać oczu od panny Jadwigi, i szepnął do burmistrza: prześliczna!

Burmistrz pochylił głowę na bok, uśmiechając się filuternie, jakby chciał powiedzieć:

— A co, czy nie mówiłem? Wiedziałem ja, że ona będzie w pańskim guście.

Członkowie deputacyi stracili jakoś nabyty przy śniadaniu kontenans i, spoglądając jedni na drugich, nie wiedzieli co z sobą zrobić; poważna i surowa twarz gospodyni imponowała im i przejmowała jakąś niewytłómaczoną obawą. Ale urzędnik do poszczególnych poruczeń wysunął się naprzód i, kłaniając się nizko, przemówił:

— Czcigodna pani! zostałem tu przysłany przez gubernatora na śledztwo w sprawie państwa. Jestem Sergijusz Niestatkow.

Pani Wilczkowa popatrzyła przez chwilę na młodzieńczą twarz urzędnika do szczególnych poruczeń, na jego błyszczące oczy i rumieńce, co go niewiadomo czego zmieszało, odgadła, co te rumieńce wywołało, i spytała z ironią.

— Odkądże to urzędnik, przyjeżdżający na śledztwo, rozpoczyna czynność od porozumienia się z obwinionymi? Odkądże to wysłuchanie motywów skargi i zbadanie jej powodów zostawia się na sam koniec śledztwa? Jeżeli pana przysła-

no tutaj nie dla wyrządzenia mi sprawiedliwości, ale dla dopełnienia czczej formy tylko, to wracaj pan, skąd przyjechałeś! Domagam się sumiennego i bezstronnego badania: chcę, żeby samowola i gwałt były ukarane!

— A to zawzięta baba! mruknął burmistrz, który te słowa wziął do siebie. — Ona chce, żebym ja był ukarany za to, że ona się nie może rozpościerać w salonach, jak dawniej. Czekaj, zapłacisz mi za to, ty stara wilczyco!

Niestatkow, wytrzeźwiony trochę temi słowy, namyślał się, co ma powiedzieć, i już otworzył usta, gdy przerwał mu kwatermistrz, mający daleko słabszą głowę i zostający jeszcze pod wpływem szlachetnego trunku.

— Ponieważ nas tu siedzieć nie proszą — odezwał się z niebywałą nawet u niego czelnością — więc musimy się sami rozgościć! Czcigodna pani Wilczkowa niezbyt grzecznie przyjmuje cesarskich urzędników...

Odsunął krzesło z hałasem i powalił się na nie całym ciężarem.

Jerzy zakipiał gniewem: chciał pochwycić zuchwalca za kark i wyrzucić go za drzwi, ale pohamował się ze względu na konsekwencye tego czynu. Postąpił więc tylko ku niemu i rzekł szyderczo:

— Za pozwoleniem pana, panie Kurtz! Nie godzi się panu siedzieć, skoro pański zwierzchnik stoi. Ubliżasz pan panu prezydentowi i jego randze i wykraczasz przeciwko subordynacyi służbowej.

Kwatermistrz spojrzał na mówiącego osłupiałym wzrokiem i wstał mimowolnie, a Jerzy odsunął od niego krzesło. Burmistrz, rozweselony tą krotochwilą, parsknął śmiechem.

— Co to za przebiegła szelma! — pomyślał i odezwał się rubasznie:

— Co prawda, to prawda, że gospodyni tego domu nie przyjmuje nas zbyt uprzejmie. Choćbyśmy chcieli usiąść, to dalibóg niema na czem, bo jest tylko jedno próżne krzesło. Tradycya polskiej gościnności wygasła tu widać.

Jerzy chciał odpowiedzieć, ale pani Wilczkowa powstrzymała go ruchem ręki. Na twarz jej wybiegł ciemny rumieniec.

— Panowie nie jesteście moimi gośćmi — odrzekła dumnie — i nie będziecie nimi nigdy! Przychodzicie tu, albo żeby się gwałtu dopuszczać, albo naigrawać się z mojej niedoli. Dziś naszliście mnie cichaczem i gromadnie, tak jak się nachodzi zbrodniarza, o którego obawiać się trzeba, że uciecze... Tacy ludzie jak wy, przestępowali już nieraz te progi, ale nigdy nie uważaliśmy ich za gości, bo gość jest błogosławieństwem domu. Wchodzili nieproszeni i wychodzili, kiedy im się podobało ; nikt im oporu nie stawiał, bo była przy nich siła, a przyjście ich znosiło się jak dopust Boży. Czyńcie panowie jak oni. Nie przyszliście tu z dobrą wolą, więc nie jesteście witani dobrem słowem. W waszych twarzach czytam chęć dalszego prześladowania mnie, a nie widzę ani odrobiny ludzkości.

Przyszliście tu w dziewięciu na nas troje, siła więc jest przy was. Jesteście tu panami! możecie się rozgościć i gospodarować jak wam się podoba. Oto są klucze! Ale gdy wy jesteście gospodarzami, ja waszym gościem być nie chcę. Chodźmy moja wnuczko!

Wstała i wsparłszy się na ramieniu dziewczęcia, opuściła pokój z głową, dumnie podniesioną. Wszechmocni rozstąpili się przed nią. Plac boju pozostał wprawdzie przy nich, ale nie wywyglądali na zwycięzców. Jerzy został sam wobec wrogów; blady i gniewny stał, patrząc na drzwi, któremi wyszły kobiety. Jadwisia, odchodząc, rzuciła mu błagalne spojrzenie, którego znaczenie zrozumiał, spojrzenie, nakładające mu pęta na usta i hamulec na jego wrodzoną gwałtowność. Burmistrz spoglądał na młodzieńca z niepokojem: jak Napoleon, nie lubił on ludzi bladych i instynktownie ich się obawiał.

— A to usłyszeliśmy kazanie! — przemówił nareszcie naczelnik. — Słowo honoru daję, że nie spotkało mnie nic podobnego jak żyję! Ale można pani Wilczkowej wszystko wybaczyć za tak piękną wnuczkę. Rad jestem, żem tu przyszedł. Na honor, cudowna! Co za płeć, jaki wdzięk nieporównany, a jakie oczy! Myślałem, że nas wszystkich niemi spali, albo w proch zetrze. Trzeba koniecznie tę perłę wydobyć z muszli, bo inaczej będzie stracona dla świata. Jutro namówię moją żonę, żeby jej złożyła wizytę.

Burmistrz spojrzał na niego z politowaniem.

— Jak Boga kocham! — pomyślał — on gotów tak sfiksować jak Kurtz, dla spódniczki. Dwóch fiksatów w Kozłowie, dopiero to będzie krotochwila!

Jerzy, do którego uszu doszły pochwały naczelnika, zbladł jeszcze bardziej, nurtowany wściekłym gniewem, ale udawał, że nie słyszy. Zrobiono na niego zasadzkę i wiedział, że gra z jego strony musi być bardzo ostrożną, jeśli nie chce przegrać.

— Panie Wilczek! — zwrócił się do niego Niestatkow — ponieważ czcigodna pańska krewna oddaliła się, pan niezawodnie zechcesz zastąpić ją przy śledztwie, bo podobno obdarzyła pana zupełnem pełnomocnictwem. Ufam, że pan jesteś wolny od uprzedzeń, jakiemi ona jest przejętą i dopomożesz mi łaskawie w mojej czynności. Pragnę obejrzeć mieszkanie, któreś pan przed przybyciem hrabiego Redena do Kozłowa wynajął dla niego w mieście. Bądź pan łaskaw nas tam zaprowadzić!

— Bardzo chętnie — odrzekł Jerzy, biorąc kapelusz — proszę pana!

Wszystkich to uderzyło, że Jerzy nie powiedział: proszę panów, tylko »proszę pana« jakby ich uważał za nieobecnych.

— Głupiec — mruknął pod nosem burmistrz.

Höhne i Frytz myśleli sobie, że Jerzy nie wie, jak potężnych ludzi lekceważy w tej chwili; Służalski milczał strwożony; Hand milczał także i rzucał oczyma na strony; Lebich cieszył się, że

teraz znajdzie sposobność odpłacenia Jerzemu za owe bułki, a kwatermistrz uśmiechał się złośliwie. Jeden tylko Gonczarow był zamyślony, a piękna twarzyczka wnuczki pani Wilczkowej stała mu ciągle przed oczyma.

Szli w milczeniu gromadą: Jerzy naprzód, a Niestatkow obok niego; reszta towarzystwa za nimi, rozmawiając szeptem. Gdy weszli w rynek Niestatkow zatrzymał się i rzekł:

— Sprawozdanie deputacyi, przesłane gubernatorwi, mówi: »ulica ciemna i wązka«, to chyba nie tu.

— Tutaj właśnie — odrzekł Jerzy, wskazując narożną kamienicę z dwoma balkonami. — W sprawozdaniu nie to się znajdowało, co rzeczywiście miało miejsce, ale to, co się podobało tym panom napisać.

Niestatkow odwrócił się do postępujących za nim członków deputacyi i posłał im spojrzenie pełne wyrzutu, że go postawili w tak drażliwej pozycyi. W tej chwili zaczął żałować, że przyjął śniadanie. Kwatermistrz, domyśliwszy się, o co chodzi, przybliżył się i jął mu tłómaczyć, że to była mała pomyłka.

— Musimy więc ten punkt sprawozdania uważać za nieistniejący — powiedział chłodno urzędnik do szczególnych poruczeń.

U drzwi wskazanego domu przyłączył się do ich grona kapitan Birberg, wezwany przez Gonczarowa jako deputat ze strony wojskowej, oraz kilku strażników, bez których się mogło o-

bejść spokojnie, ale którzy sprowadzeni zostali w celu oddziałania na wrażliwość Jerzego — celu zupełnie chybionym. Weszli na schody, które okazały się, jak na Kozłów, nad podziw szerokie i wygodne. Stróż, przywołany przez Jerzego, poprzedzał ich z pękiem kluczy.

— A więc te pokoje są niezamieszkałe? — zapytał Niestatkow.

— Jakże mogą być zamieszkałe, skoro zostały przezemnie najęte na pół roku i zapłacone z góry — odrzekł Jerzy — proszę pana dalej.

Niestatkow zmarszczył brwi z niezadowoleniem. Nie przypuszczał nawet, że mu zgotowano takie trudności. Ale kwatermistrz czuwał nad nim, jak anioł stróż nad słabem, niedoświadczonem dzieckiem i pośpieszył z uwagą:

— Cóż z tego, że te pokoje zostały najęte i zapłacone z góry, kiedy niepodobna w nich mieszkać — a ośmielony milczeniem Jerzego, dodał: To jest ruina. Zaraz się pan o tem przekonasz.

— Dlaczego on nic nie gada? — myślał Hand, patrząc na młodego Wilczka niespokojnie — dlaczego on się nie kłóci i nie wymyśla?

Stróż przekręcił klucz w zamku i, otworzywszy drzwi, cofnął się do sieni. Woń kurzu i stęchlizny, jaka bywa zwykle w pokojach nie zamieszkałych i długo nieprzewietrzanych, uderzyła wchodzących.

— Wilgoć: — odezwał się Niestatkow, badając swoim delikatnym nosem tę woń subtelną.

— Sprawozdanie mówi, że mieszkanie jest wilgotne i uważam, że zarzut jest zupełnie słuszny.

Cały skład deputacyi spojrzał tryumfująco na Jerzego, ale on, jakby tego nie słyszał zbliżył się do okna i otworzył je na oścież. Ożywczy prąd świeżego powietrza rozszedł się po pokoju; słońce, nie mogące się wprzód przedrzeć przez zamglone szyby, wpadło teraz przez okno i rozweseliło wszystkie kąty. Był to duży kwadratowy przedpokój z poprzybijanemi do ścian wieszadłami.

— Dlaczego on nie gada? — zadawał sobie ciągle pytanie Hand, spoglądając z ukosa i coraz niespokojniej na Jerzego i jego zadziwiającą obojętność.

— No, to nie pokój! — rzekł Niestatkow, przesunąwszy oczyma po wieszadłach. — Idźmy dalej.

Dalej był niewielki gabinet o jednym oknie; obicia tam były popękane, a u dołu podarte w małe strzępki. Niestatkow obrzucił je pogardliwym wzrokiem.

— To także nie pokój i zaledwie na postój żołnierza służbowego przydać się może — odezwał się kapitan Birberg, a Niestatkow skinął potakująco głową i pchnął drzwi następujące, za któremi był wielki narożny salon o trzech oknach i z dwoma balkonami. Tu przystanął i rzekł: — No, to może jest pokój!

Patrzył w milczeniu po ścianach i dotknąwszy jednej ręką, powiedział, jakby badając:

— Wilgoć!

Obicie w tem miejscu było mocno zniszczone, jakby poczerniałe. Jerzy zbliżył się, oddarł kawałek odstającego w tem miejscu papieru i ukazał się pod spodem inny papier, którego jasny błękit najlepszym był dowodem, że nie uległ wilgoci.

— Dlaczego on nie gada? — myślał Hand coraz niespokojniejszy i zaczął obgryzać paznokcie, co było u niego zawsze objawem niezwykłego stanu.

Za salonem był pokój duży, ciemno-czerwony, o jednem oknie. Gałęzie kasztanów, sięgające pierwszego piętra, rzucały nieco cienia na to okno. Niestatkow skrzywił się.

— Czy to ma być pokój? — zapytał.

— A co? czy chlew? — zapytał naodwrót Jerzy, którego cierpliwość wyczerpała się nareszcie. — Przepisy administracyjne dla Królestwa Polskiego, określające powinności gminne, stanowią, że: za pokój w kwaterze uważa się izba mieszkalna z piecem, mająca obszerności w podłodze 64 łokci kwadratowych«. Wydelegowany na śledztwo w sprawie kwaterunkowej, musiałeś pan niewątpliwie obznajomić się z tymi przepisami. Jeżeli zaś pamięć pana zawodzi, to przypominam panu, że znajdują się one w części czwartej, w anneksie do nr. 13, w taryfie kwater dla wojska pod literą b.

Niestatkow zamilkł.

— Przypuśćmy, że to jest pokój — odrzekł po chwili namysłu — ale w jakim stanie! Ściany odrapane, podłogi brudne, całe to mieszkanie...

— Jeszcześ pan całego nie obejrzał — przerwał mu Jerzy są jeszcze dwa pokoje.

— Takie same jak te — odezwał się prędko kwatermistrz.

— Zupełnie takie same — potwierdził burmistrz.

Hand odetchnął. Fakt że Jerzy zaczął nareszcie gadać, sprawił mu pewną ulgę.

Całe to mieszkanie zatem — mówił dalej Niestatkow — choć wystarczające pod względem obszerności, niemożliwe jest w tej chwili dla oficera tak wysokiej rangi. jak hrabia Reden. Potrzebowałoby wprzód całkowitego odświeżenia.

Konkluzya ta nie w smak poszła kwatermistrzowi, bo gdzie jest mowa o odświeżeniu, tam prosta logika wskazuje, że po odświeżeniu mogło być zamieszkałem, odezwał się więc tonem stanowczym:

— Okna są obluzowane i niedochodzą! — a burmistrz dodał:

— Wszystkie piece dymią!

— Kiedyżto panowie kazaliście w nich palić dla przekonania się o tem?.. — zapytał szyderczo Jerzy.

— Lokatorowie, którzy zajmowali poprzednio to mieszkanie, tak utrzymywali — powiedział burmistrz — a to są ludzie wiarogodni.

— Skoro pan prezydent utrzymuje, że są wiarogodni, możemy ich tu wezwać na świadków — odezwał się Jerzy.

Niestatkow machnął ręką.

– Niema potrzeby nikogo fatygować — rzekł. — Jeżeli piece dymią, możnaby je przestawić. Gorszem jest to, że okna są obluzowane, jak mówi pan kwatermistrz.

Jerzy prosił Niestatkowa, aby to sprawdził i otworzył okno. Pan urzędnik do szczególnych poruczeń zaledwie spojrzał na nie, ale wiedział już, co ma myśleć, bo na twarzy jego odbiło się wielkie zafrasowanie. Kwatermistrz jednak, czuwający nad nim ciągle jak anioł, pośpieszył go objaśnić, że paczą się zawsze od deszczu.

— Panie Wilczek — przemówił z pewną nieśmiałością Niestatkow, zwracając się do Jerzego, w którego oczach pobłyskiwały iskry, choć twarz była spokojna jak marmur — nie ulega wątpliwości, że mieszkanie to jest obecnie zrujnowane. Żeby się stało mieszkalnem, potrzebowałoby wprzód gruntownej restauracyi. Panowie ci nie mogli pomieścić hrabiego Redena w takiej ruderze. Skarga pańska przeto na deputacyę kwaterniczą była niesłuszną. Radzę panu ją odwołać...

— Nie cofam nigdy moich postanowień — odparł Jerzy. — Zresztą, jak panu wiadomo, działam tu nie we własnem imieniu, ale w imieniu mojej krewnej, wdowy Wilczkowej. Słyszałeś pan sam, co powiedziała: »Gwałt i samowola muszą być ukarane«.

Członkowie deputacyi kwaterniczej wymienili spojrzenia.

— Ależ pan sam widzisz, panie Wilczek, że te pokoje są niemieszkalne — zaczął Niestatkow z widocznem znużeniem.

— Zapytaj pan tych panów, czy nie ofiarowałem im restauracyi mieszkania, takiej, jaką sami uznają za właściwą — odparł Jerzy. — Niech powiedzą, czemu nie chcieli go nawet oglądać?

Niestatkow spojrzał pytająco po obecnych.

— Nie było na to czasu — odezwał się Gonczarow —, pan Wilczek zdecydował się w sam dzień przybycia pułku, a pułkownik nie mógł przecie tymczasem mieszkać pod gołem niebem. Na gruntowną restauracyę takiej rudery nawet dwóch tygodni byłoby mało.

— Co do tego, możemy się odwołać do sądu rzeczoznawców — odpowiedział Jerzy, patrząc na Niestatkowa, który bardzo spochmurniał. — Podejmuję się to mieszkanie w ciągu 3 dni zupełnie odświeżyć i wyrestaurować, jeżeli panowie przeniesiecie do niego kwaterę pułkownika.

— To się na nic nie zda! — zawołał kwatermistrz, spostrzegłszy wahanie i namysł na twarzy Niestatkowa. — Dowódca pułku nie jest pierwszym lepszym łapserdakiem, żeby go można jak piłkę przerzucać z miejsca na miejsce, dla zadowolenia czyjejś fantazyi.

— Pułkownik nie jest kaleką, niemogącym przyjść z jednego mieszkania do drugiego — zauważył spokojnie Jerzy — ale silnym, zdro-

wym mężczyzną, trzymającym się dzielnie na koniu. Czyście go się panowie o to pytali?...

Nie było odpowiedzi.

— A więc — rzekł Jerzy do Niestatkowa: — bądź pan łaskaw napisać w protokole śledztwa, żeś stwierdził osobiście upór i złą wolę deputacyi kwaterniczej, bo niepodobna, żebyś pan tego nie widział. Pożałowania godne miasto, zmuszone żyć pod takiem uciskiem!

Hand aż zatarł ręce z radości, że Jerzy się rozgadał.

— Pożałowania godne miasto, w którem żyje taki burzyciel jak pan — wybuchnął kwatermistrz. — Póki pana nie było, panował w Kozłowie święty spokój, pomiędzy zaś miastem a ratuszem istniał prawie patryarchalny stosunek.

Jerzy roześmiał się, a kwatermistrz mówił dalej:

— Pan w czyste i niewinne serca mieszkańców posiałeś ziarno niezgody; pan dyskredytujesz władzę wobec nich; pan podniecasz w nich ducha oporu i gotujesz w przyszłości bunt. Gdyby w Królestwie było dziesięciu takich jak pan, w przeciągu kilku miesięcy mielibyśmy w kraju rewolucyę!

— Jużem panu mówił, że tacy właśnie jak pan działacze, przygotowują rewolucye — odrzekł zimno Jerzy — bo nic tak obficie nie rodzi pragnień społecznych przewrotów, jak niesprawiedliwości i gwałty. Żaden deszcz, padający na

rolę, nie pobudza tak szybko ziarna do kiełkowania, jak łzy uciśnionych... ziarna buntu... Ale jeżeli panowie wiecie o tem, że ja buntuję mieszkańców, czemu patrzycie na to tak bezczynnie? Dlaczego nie każecie mnie uwięzić!.. Czemu nie powołacie na świadków przeciwko mnie tych wszystkich, których buntowałem?... Dalej każcie mnie związać! w waszem ręku jest władza i siła, a ja stoję między wami bezbronny i sam jeden!

Mówiąc to, patrzył na swych przeciwników śmiało, wyzywająco i wzgardliwie. Na wszystkich niemal twarzach czytał, że to, o czem mówił, byłoby spełnieniem ich gorących a tajemnych życzeń.

— Milczycie panowie?... Aha... bo wiecie, że wasze zarzuty są gołosłowne i kłamliwe!

— Pan jesteś donosicielem! — krzyknął Lebich.

Jerzy zmienił się w mgnieniu oka: oczy błysnęły mu jak u dzikiego zwierza, usta zbladły ręce rozplotły się i zacisnęły. Postąpił kilka kroków naprzeciw Lebichowi cofającemu się z przerażeniem, a krwawa chmura zasłoniła mu oczy. Krwi pragnął...

Złośliwa radość odmalowała się na twarzach rajców. Nareszcie! człowiek ten żelazny i nieugięty, straci panowanie nad sobą i popełni głupstwo, za które włożyć mu będzie można kajdanki i uczynić nieszkodliwym na zawsze. Ale przed oczyma Jerzego przysłoniętemi krwawą mgłą, przesunęła się blada twarzyczka dziewczęca, z

błagalnym w oczach wyrazem. Opuścił ręce, przetarł oczy i rzekł ze spokojem, który dreszczem przejął obecnych.

— Panu Lebichowi mógłbym wcisnąć napowrót do gardła słowa, któremi na mnie szczeka, ale nie chcę! Za oszczerstwo przed sąd go zapozywam, a panów tu wszystkich obecnych biorę na świadków, przedewszystkiem zaś pana naczelnika.

Na twarzach członków deputacyi kwaterniczej odbiło się rozczarowanie, że tak piękna sposobność minęła; naczelnik zaś, biegły dyplomata, zawołał z udanem zdziwieniem.

— Co! pan Lebich wyrządził panu obelgę? Ja nic nie słyszałem. Czy panowie słyszeliście co?...

Głuche milczenie było odpowiedzią na te słowa. Pytanie to, nawet tym ludziom wydało się bezczelnem.

— Jakże! słyszeliście co?... — pytał natarczywie Gonczarow.

— Nie, nie słyszeliśmy — odpowiedzieli.

— Ah! pogłuchliście nagle wszyscy i straciliście pamięć — przemówił Jerzy szyderczo. — Mniejsza o to, przypomnicie to sobie panowie w sądzie.

Wielkie zmartwienie odmalowało się na twarzy burmistrza. Człowiek ten, spokój miłujacy, widocznie skazany był na to, żeby się zawsze czegoś lękać.

— Co on mówi o sądzie?—szepnął do naczelnika. — Czy on nas wszystkich będzie do

sądu pozywał za takie głupstwo i mnie też, mnie, burmistrza?... Dyabli nadali tę sprawę! Niepotrzebnie go drażniliście, jak Boga kocham!

— Czy pan czasem nie chce na pojedynek wyzwać pana Lebicha?.. — zapytał kwatermistrz drwiąco.

— Na pojedynek? nie — odrzekł Jerzy z pogardą. — Zwalałbym rękę, gdybym się dotknął człowieka, który biedny lud, ciężko pracujący na chleb, oszukuje na wadze. Z takimi rozprawiają się sądy.

— Ciężko mi pan odpowiesz za oszczerstwo! — krzyknął wściekły Lebich. — Jak pan śmiesz mnie złodziejem robić bez dowodów!

— Bez dowodów? żartujesz pan chyba! ważyliśmy przecież pańskie bułki na wadze miejskiej w ratuszu i spisali protokół wobec świadków. Ja sam go podpisałem. Nie pojmuję tylko pana prezydenta, wielce wówczas zgorszonego pańskiem postępowaniem, że nie odesłał dotąd tego protokołu do sądu. Należało świadków nie wzywać, panie prezydencie, a potem z nich sobie nie żartować, bo jeszcze złośliwi ludzie gotowi powiedzieć, że panu zależy na umorzeniu tej sprawy.

Burmistrz poczerwieniał tak mocno, że miejscami barwa jego twarzy przeszła aż w fioletową, a głośne, ciężkie sapanie świadczyło o jego wzburzeniu. Lebich stał blady i gniewny, naczelnik trochę zdziwiony, deputaci szeptali po cichu. Nikt nie śmiał zaprzeczyć Jerzemu, musiał więc

chyba mówić prawdę! Takie przekonanie powstało w umyśle Niestatkowa, zmieszanego, niezadowolonego, niepewnego co czynić i uczuwającego coraz więcej wstrętu do roli, jaką grał tutaj.

Jerzy przerwał milczenie.

— Pan kwatermistrz powiada, że ja buntuję mieszczan i że bezemnie panował tu między miastem a ratuszem patryarchalny stosunek, a ja dowiodę, że nie tylko pani Wilczkowa, ale wszyscy mieszczanie, posiadający domy, narzekają na ucisk deputacyi; a gdy się dowiedzieli, że ma być śledztwo w tej sprawie, przychodzili do mnie prosząc, aby ich zawiadomić o przybyciu urzędnika śledczego do Kozłowa, aby i oni mogli ze skargami swemi wystąpić. Czas już byłoby raz położyć tamę temu uciskowi i samowolnej gospodarce deputacyi, gospodarce, prowadzonej ze szkodą skarbu.

— Nie mam upoważnienia do przyjmowania skarg innych mieszkańców — przemówił Niestatkow, pomijając milczeniem ostatni zarzut Jerzego.

— Pan Wilczek występuje w imieniu miasta całego— odezwał się naczelnik. który sam jeden tylko był tak swobodny między wszystkimi jakby to była zwykła salonowa rozmowa. Niezaradność burmistrza budziła w nim wzgardliwe politowanie. — Wobec znaczenia tego aktu, jak również ważności zarzutów, stawionych przez niego w tej chwili deputacyi, że działa ze szkodą skarbu, widzę, że trzeba posłać po sekretarza, dla spisania protokołu.

— Pan naczelnik się myli — odparł Jerzy, zrozumiawszy w lot dyplomatyczną grę Gonczarowa — nie występuję w imieniu miasta, bo nikt mię do tego nie upoważnił, tylko w imieniu mojej krewnej, pani Wilczkowej.

— Powiedziałeś pan, że występujesz w imieniu miasta — powtórzył z naciskiem naczelnik. — Panowie! czy pan Wilczek nie mówił, że występuje w imieniu miasta?

— Tak, tak, mówił to — odpowiedzieli deputaci ze zgodnością greckiego chóru. Jeden tylko Służalski nic nie mówił. Blady, wylękniony, czujący głęboko niesprawiedliwość, jaką wyrządzono Wilczkowi, a nie mający odwagi stanąć w jego obronie, myślał tylko o tem, jakby się stąd wydostać.

Jerzy spojrzał z pogardą na tę całą czcigodną korporacyę i zwrócił się do Niestatkowa.

— Panie! — przemówił — przyjechałeś pan tu dla wyświetlenia prawdy. Odzywam się do pana, już nie jako do urzędnika, ale jako do człowieka. Odwołuję się do pańskiego sumienia i honoru, żebyś pan powiedział, czy ja to mówiłem?...

Niestatkow patrzył w ziemię, a po twarzy jego przechodziły płomienie. W duszy niezupełnie jeszcze zepsutej, toczyła się widocznie walka, i kto wie, czy dobre nie byłoby zwyciężyło; ale Gonczarow, widząc jego wahanie, zbliżył się do niego i szepnął:

— Jakto? pan nie słyszałeś?...

— Tak, mówiłeś to pan... — wyrzekł niewyraźnie.

— Panie — odrzekł na to Jerzy — nie przynosisz pan zaszczytu mundurowi, który nosisz. Widzę — dodał zwracając się do wszystkich — że moja obecność jest tu zbyteczną. Róbcie sobie, panowie, co chcecie!

Podczas gdy się toczyła ta rozmowa, przyniesiono z sąsiedniego mieszkania stolik i krzesło, papier, pióro i atrament, a przybyły sekretarz, poinformowany przez naczelnika co ma pisać, usiadłszy przy stoliku zaczął skrzypieć piórem po papierze. O stół oparci stali: naczelnik, burmistrz i kwatermistrz. Gdy Jerzy oświadczył, że się oddala, naczelnik zawołał:

— O! co to, to nie! nie wyjdziesz pan stąd, dopóki nie podpiszesz protokołu.

— Tak, tak, nie puścimy pana — rzekł burmistrz, zastępując mu drogę.

— Czy ja jestem aresztowany panowie? — zapytał Jerzy.

— Ale broń Boże! jesteś pan zupełnie swobodny!

— Więc jeżeli jestem swobodny, to odchodzę.

— Panie Wilczek — odezwał się Niestatkow — dlaczego pan się tak zaraz unosisz? Jeżeli tak będzie dalej, to sprawa ani na krok nie postąpi. Ja pana proszę, bardzo proszę, abyś pan był łaskaw zostać.

— I podpisać protokół — wtrącił burmistrz.

— Doprawdy? spytał Jerzy ironicznie — a kto mnie przymusi?

Zapytanie to wprawiło wszystkich w zdumienie. Jerzy ubawiony wrażeniem, jakie sprawił, mówił dalej.

— No, no! zobaczmy ten protokół.

Członkowie deputacyi spojrzeli na siebie z niedowierzaniem; tajemne ich a gorące pragnienia, miały się spełnić prędzej. niż się spodziewali.

Naczelnik podał mu papier.

— Podpiszesz pan? zawołał kwatermistrz, a oczy błysnęły mu dziką radością.

Jerzy przebiegł papier szybko oczyma.

— Podpiszę — odpowiedział — ale dodam wprzód od siebie uwagę, że wszystko coście panowie tu popisali, jest fałszem.

Wszyscy świadkowie tej sceny osłupieli i nastąpiła chwila ciszy. Nareszcie dyplomata Gonczarow rzekł:

— Dobrze, ale uwagę tę zamieścisz pan na oddzielnym papierze.

Burmistrz spojrzał na mówiącego z uwielbieniem.

— Oto co się zowie mieć główkę nie od kształtu! pomyślał.

— Nie, tylko na tym samym papierze — odpowiedział Jerzy.

— No, to się nie zgadzamy.

— Jak się panom podoba!

Po długich ceregielach zgodzono się jeszcze na warunek Jerzego, w nadziei, że nie ośmieli się napisać tego, co zapowiedział. Podano mu

KLASZTOR NAJSW. SERCA JEZUSOWEGO
Grabowiec, p. Pyrzyce

pióro. Jerzy usiadł i zaczął pisać, ale zaledwie nakreślił kilka wierszy, naczelnik zaglądający mu w papier przez ramię, odebrał protokół i przedarł go na dwie połowy, mówiąc:

— Tak nie może zostać! trzeba protokół przepisać raz jeszcze.

Jerzy wstał, a sekretarz usiadł na jego miejscu i zaczął nanowo skrzypieć piórem po papierze. W nowej redakcyi protokołu wypuszczono, za wskazówką naczelnika, ustęp dotyczący występowania w »imieniu miasta«, poczem podano go Jerzemu.

Młodzieniec przeczytawszy, uśmiechnął się i oświadczył gotowość podpisania, ale ten uśmiech właśnie zaniepokoił jego przeciwników. Dyplomata naczelnik odebrał mu papier z rąk, mówiąc, że w tem nie ma nic pilnego, i że można to dojutra odłożyć.

Jerzy roześmiał się i rzekł:

— Zrozumieliście panowie nakoniec, że nie jestem rybą, którą łatwo w sieć złowić. Protokół ten szkodziłby więcej wam, niż mnie.. Jestem doktorem prawa moi panowie?

Ukłonił się i szedł ku drzwiom, ale Niestatkow zastąpił mu drogę powtórnie.

— Panie Wilczek — odezwał się — zrobiłeś pan tu publicznie deputacyi jeden zarzut bardzo ciężki, którego dotąd żadnym nie poparłeś dowodem. Powiedziałeś pan, że ona działa ze szkodą skarbu. Ten zarzut musisz pan cofnąć!

— Nie — odrzekł Jerzy, zakładając znowu ręce na piersiach — nie cofnę. Zapytaj się pan

tych panów, dlaczego naznaczając pozorne kwaterunki w domach niektórych przyjaznych sobie mieszczan, mieszczą je następnie w budynkach rządowych, jak magazyn solny i gmachy poklasztorne, i gdzie podziewają za to likwidowane pieniądze? Zapytaj ich pan, czemu dla jednego i tego samego oficera, naznaczają po dwie kwatery naraz, i gdzie się podziewają pieniądze tych naiwnych, co w nieświadomości żyjąc i ponosząc ciężar kwaterunkowy, nie wiedzą nawet, że im się za to należy wynagrodzenie? Zapytaj ich pan, gdzie idą pieniądze za fikcyjne, nie istniejące nigdy kwatery, zapisane jednakże w kontroli, oraz dlaczego zapisywano postoje po 18 koni tam, gdzie jedna krowa nawet niepotrafiłaby się zmieścić? Ale to są same drobiazgi.

Niechaj ci panowie powiedzą, dlaczego jednemu z obecnych tu członków deputacyi, likwidowano za kwatery w sześciu domach, oznaczonych numerami: drugim, szóstym, dziesiątym, dwudziestym, trzydziestym, setnym, skoro on rzeczywiście jeden dom tylko posiada, pod numerem dziewięćdziesiątym, w którym żadna kwatera się nie mieści? Numer 2 stanowi własność rządową, szósty należy do młynarza, dziesiąty nie istnieje, dwudziesty jest własnością pana Służalskiego, a gdzie się mieszczą trzydziesty i setny, nie wiadomo. Nie jestże to ze szkodą skarbu? O! ciekawe, bardzo ciekawe są te roczniki działalności deputacyi. Obdarza w nich ona ubogich

ludzi majątkami, bez ich wiedzy nawet, niby dobroczynna wróżka. Jest jeden poczciwy mieszczanin, nie domyślający się wcale, że go zrobiono właścicielem aż trzech domów, gdy on posiada istotnie tylko jeden, ale na wsi. Zdarza się, że jeden dom miewa po trzech wyłącznych właścicieli... Takie to nadużycia oblekają się w formę prawną. Zapytaj się pan tych panów, gdzie się podziały pieniądze za te kwatery? Panowie członkowie deputacyi kwaterniczej, czemu milczycie? Czemu się nie bronicie? Dlaczego żaden z was nie zaprzeczy moim słowom? Może chcecie, żebym moje oskarżenie poparł dowodami? Dobrze, uczynię to! a teraz żegnam was panowie. Wiecie gdzie mieszkam; gdybyście potrzebowali odemnie jakich wyjaśnień, znajdziecie mnie w każdej chwili.

Nie było odpowiedzi na te słowa. Słuchacze byli bledzi, jak trupy, nie wyłączając Niestatkowa. Jeden tylko naczelnik, który pierwszy raz dzisiaj dowiedział się o wielu rzeczach, spokojny był, zimny i nieodgadniony, jak każdy wielki dyplomata.

Kapitan Birberg przez cały czas, z wyjątkiem jednego odezwania się na początku, zachowywał się, jak posąg komandatora w Don Juanie, był niemym, milczącym świadkiem, i ani ust nie otworzył.

Wśród grobowego milczenia Jerzy opuścił salę. Szereg żywych trupów rozstąpił się przed nim machinalnie.

XX.

Wyszedłszy na ulicę, młody Wilczek odetchnął głęboko: nareszcie wydostał się z tej ciężkiej, duszącej atmosfery, gdzie stoczył zwycięską walkę. Wulkaniczna jego natura pragnęła walk, a nie lubiła spokoju; walka była jego żywiołem. Ale czyż w takich to utarczkach mają się zużyć jego siły? on marzył o jakichś walkach olbrzymich, legendowych, w którychby duch jego rósł i potężniał, a nie o nizkich, podziemnych knowaniach, wycieńczających siły ciągłą potrzebą czujności.

Paść od uderzenia lwa, to rozumiał — ale śmierć od ukąszenia żmii, przejmowała go wstrętem. A jednak, ileż to żmij ukrytych będzie śledzić teraz jego kroki, czyhając, gdzieby żądło zapuścić...! Jeżeli dotąd był nienawistny tym ludziom, to teraz, gdy ich tak zdemaskował, bez wątpienia poprzysięgli mu zgubę.

Jerzy szedł zwolna znużony i niechętny. Gdy w przeciwniku, z którym się walczy, można coś uczcić, natenczas zwycięstwo jest rozkoszą — ale deptać, i tylko deptać, to wiedzie ducha do skarlenia. Są jednak położenia, w których nawet

tych wyższych duchowych rozkoszy wyrzec się trzeba, poprzestając na tem, co życie codzienne niesie. Bywa to wtedy, gdy się wybrało dobrowolnie obowiązek, ze świadomością, że w nim będą piołuny, i żółć, i ocet. Daje i to pewne rozkosze; ale trzeba natur silnych, charakterów niezłomnych, duchów wysokich, żeby zasmakować w gorzkiej słodyczy tego napoju. Jerzy nie dosięgnął jeszcze tej wyżyny, ale szedł ku niej. Przewroty psychiczne nie dokonywają się tak łatwo i tak prędko.

Szedł i dumał, a wszystkie jego członki, cała jego istota moralna i fizyczna odczuwała niewypowiedziane znużenie. To ciągłe wstrzymywanie się od wybuchu, ta ciągła baczność i czuwanie nad każdem słowem z ust wychodzącem, wyczerpały go.

Zachodzące słońce złociło szczyty i ściany domów.

Młodzieniec posępnym wzrokiem patrzył na to miasto, w którem miało upłynąć jego życie — życie bezbarwne, szare, drobiazgowe, a ciężkie i nieozjaśnione żadnym promykiem nadziei, życie, bez udziału w obfitych darach młodości... I serce jego wezbrało tęsknotą za szczęściem, do którego przecież ma prawo każda ludzka istota... Zdawało mu się, że już wyrzekł się wszystkich osobistych pragnień nazawsze, a oto one wstawały nanowo, jak iskry budzące się z popiołów.

Gdy tak szedł zamyślony, zdając się liczyć kamienie bruku, cień ludzkiej postaci, jaki się tam nagle zarysował, wstrząsnął go, jak iskra elektryczna; podniósł głowę i ujrzał idącą szybko ku niemu Jadwisię.

— Ach! jesteś nareszcie! — przemówiła, odetchnąwszy z uczuciem nieopisanej ulgi. — Tak długo nie wracałeś, że zaczęłam niepokoić się o ciebie, i postanowiłam iść dowiedzieć się, co się z tobą stało.

Patrzył na nią zdumiony, niewierzący własnym uszom. Ona niespokojna o niego? niespokojna do tego stopnia, że nie mogąc się doczekać jego powrotu, biegła naprzeciw niemu! Co to znaczy? Skąd taka łaska?..

— Myślałam... to jest... obawiałam się, żeby ci ludzie nie zrobili ci co złego — tłómaczyła się, zmieszana badawczością jego wzroku.

— I cóżbyś mi pomogła, biedne dziecko, gdyby tak było? — odezwał się wzruszony jej troskliwością.

— Co?... nie wiem — odrzekła z prostotą— ale czuję, że zrobiłabym wszystko, co byłoby w mej mocy, żeby cię uratować. Bógby mnie natchnął.

Serce mu uderzyło szaloną radością, gdy to mówiła — to serce tak długo zmartwiałe i wyziębłe. Miałżeby ją kochać jeszcze? Gdy tak stała przed nim z twarzyczką od szybkiego biegu zarumienioną i włosami wysuwającymi się cokolwiek bezładnie z pod okrągłego kapelusza sło

mianego, gdy patrzyła na niego swemi wymownemi oczyma, w których były jeszcze ślady troski i niepokoju, wydała mu się tak piękna, jak nigdy. Miał gwałtowną ochotę pochwycić ją w objęcia, przycisnąć do piersi i nie puścić już więcej. Ale jeżeli to omyłka? Jeżeli ta troskliwość, ten niepokój i gotowość, wypływały tylko z braterskiego dla niego uczucia? Ona, tak dobra dla wszystkich!... Czy Jerzy Wilczek miałby powtórnie poniżyć się do tego stopnia, żeby miłość swą narzucić kobiecie, która go odtrąciła? Ach, scena na cmentarzu zbyt żywo stała mu jeszcze w pamięci... Nie wyciągnął więc do niej ramion i nie wymówił ani jednego słowa, z tych, które rozsadzały mu piersi i cisnęły się na usta: tylko, dotknąwszy zlekka ustami jej rąk zlodowaciałych od hamowanego wzruszenia, powiedział z braterską serdecznością, od której jednakże wiało chłodem:

— Dziękuję ci, kuzynko, za twoją dla mnie dobroć...

— O! niema za co — odrzekła z pośpiechem, powstrzymując nerwowe drżenie, jakie ją nagle ogarnęło — to rzecz tak prosta. Jesteśmy przecież krewni.

Jerzemu uderzyła krew do głowy i obudził się w nim nagle jakiś głuchy gniew, najprzód na siebie, potem na nią.

— To prawda—odrzekł jeszcze chłodniej — nie pomyślałem o tem w tej chwili. Powinienem był pamiętać, że ród Wilczków odznaczał się

zawsze rodzinną solidarnością, a tyś prawdziwa Wilczkówna, choć inne nosisz nazwisko.

Nie odpowiedziała mu nic, i szli dalej kilka minut w milczeniu, a potem on z pozornym spokojem opowiadać jej zaczął przebieg śledztwa. Tak był opowiadaniem swojem zajęty, że nie spostrzegł nawet, iż jego towarzyszka wbrew swemu zwyczajowi, nie zadała mu ani jednego pytania i że twarz jej była coraz bledsza.

Gdy wróciwszy do domu Jadzia znalazła się sama w pokoju, wybuchnęła cichym, ale gwałtownym płaczem.

— Gdyby mnie kochał — wyszeptała — byłby mnie zrozumiał niezawodnie; miłość jest jasnowidzącą!

On zaś w tej samej chwili cisnął swój kapelusz z gniewem na ziemię, mówiąc:

— Nie kocha mnie! a ja, jak jaki głupiec.. o mało po raz drugi nie cisnąłem jej serca pod nogi.

Rzucił się na krzesło i siedział długo nieruchomy. Czuł, że powinien zejść na dół i zdać sprawę stryjence, ale czuł także, że w tej chwili nie mógłby znieść widoku tej dziewczyny.

Po jakimś czasie, ciężkie, powolne stąpania na schodach słyszeć się dały; to Gertruda przyszła wezwać go na herbatę. Odpowiedział coś niezrozumiałego i zszedł machinalnie ze schodów, ale nie zatrzymał się koło drzwi stołowego pokoju, tylko wyszedł na ulicę.

Oświetlone okno jadalni miało jednakże dla

niego jakiś urok, bo przystanął i patrzył. Pani Wilczkowa siedziała w krześle z poręczami, a głębokie bruzdy na jej czole zdawały się być jeszcze głębsze. Patrzyła na drzwi, któremi miał wejść jej synowiec, i czekała. Jadzia krzątała się koło stołu, zastawionego przyborami do wieczerzy, a wszystkie jej ruchy zdradzały jakąś nienaturalną, gorączkową czynność. Babka coś do niej przemówiła, a ona, zamiast odpowiedzieć, popochyliła się jej do ręki i złożyła na niej pocałunek. Przy tem pochyleniu łabędzia jej szyjka błysnęła białością marmuru, a kształt jej niewinny, dziecięcy niemal, miał w sobie coś rozbrajającego. Pani Wilczkowa nachyliła się także i pocałowała wnuczkę w głowę, a Jerzy odwrócił się.

I uczynił to w samą porę — przed nim bowiem stał woźny z biura powiatu i, trzymając czapkę w ręku, podał mu jakiś papier. Jerzy podszedł pod latarnię uliczną i przy jej blado migocącem świetle odczytał pośpiesznie skreślony list naczelnika, wzywający go zaraz na rozmowę w wiadomej sprawie.

Młodzieniec gniewnie zmiął kartkę w ręku i powiedziawszy czekającemu na odpowiedź, że przyjdzie, wrócił do okna, przy którem stał niedawno, i powiedziawszy przez nie paniom, gdzie wychodzi i po co, puścił się na przechadzkę po ulicach, żeby odzyskać straconą równowagę.

W godzinę potem wprowadzono go do tego samego prywatnego gabinetu naczelnika, gdzie

tenże zrana przyjmował urzędnika do poszczególnych poruczeń. Lampa, stojąca na biurku i przysłonięta zielonym abażurem, rzucała skąpe światło na pokój, zawieszony obrazami, i na staroświeckie gotyckie meble, pokryte ciemno zielono skórą, wyciskaną w deseń. Były one pozostałością z dawnych, świetniejszych czasów miasta, gdy pokoje te zamieszkiwał referendarz, pełniący obowiązki naczelnika powiatu.

Gonczarow siedział przy biurku, twarzą zwrócony do Niestatkowa, zagłębionego w krześle z poręczami, po prawej stronie biurka. Obaj wiedli przyciszoną rozmowę, która urwała się natychmiast, gdy zameldowano Jerzego. Przyjęcie było lodowate, panowie mieli miny chmurne i nasrożone. Gonczarow wskazał przybyłemu krzesło i poprawiwszy się na swojem siedzeniu, czekał, aż tenże odezwie się pierwszy, z zapytaniem, po co został wezwany.

Ale Jerzy milczał. Oczy jego chodziły zdziwione po ścianach, gdzie pomiędzy Katkowem i Gribojedowym, wisiał Poniatowski, skaczący w Elsterę. Obraz ten, stanowiący także część inwentarza, pozostałego po referendarzu, wisiał tu na przynętę dla szlachty, zwykle w tym gabinecie przyjmowanej, którą pan naczelnik lubił zapewniać o swej życzliwości dla plemienia polskiego, gdy ją przekonywał o potrzebie utonięcia w morzu słowiańskiem i wielkości idei panslawistycznej.

Wielki dyplomata, nie mogąc się doczekać

spodziewanego pytania, poprawił się na krześle i zaczął tonem karcącym, jakim się mówi do niesfornego chłopaka, który, zbroiwszy coś i odsiedziawszy za to godzinę w kozie, miał czas żałować za swe przewinienie i przejąć się skruchą.

— Spodziewam się, że pan namyśliłeś się nareszcie odwołać swoją skargę.

— Odwołać? — powtórzył zdziwiony — podobna myśl nie postała w mojej głowie ani na chwilę!

Gonczarow i Niestatkow zamienili spojrzenia.

— Miałeś pan już sposobność przekonać się, że to nie doprowadzi do niczego — mówił naczelnik, oglądając swoje paznokcie. — Pan Niestatkow obejrzał wynajęte przez pana mieszkanie i uznał je za zbyt zrujnowane, aby je można oddać pułkownikowi.

— Ofiarowałem się doprowadzić je do dobrego stanu.

— Nie mamy czasu na to czekać; pan Niestatkow odjeżdża jutro z raportem, że pańska skarga była niezasadną.

— Wątpię, żeby pan Niestatkow odważył się swoją opinię o tej sprawie wyrażać sprzecznie z opinią naczelnika kraju, który, jak mi to jest wiadomo, uznał skargę za słuszność.

Gonczarow i Niestatkow spojrzeli na siebie.

— Bardzo pan nierozsądnie czynisz — mówił dalej ostro naczelnik — występując prze-

ciwko takiemu człowiekowi, jak hrabia Reden. Pan nie masz pojęcia, jak się narażasz. Hrabia ma wysokie stosunki i jeżeli zechce, może pana zgubić.

Jerzego oczy spoczywały w tej chwili na szeregu stojących na biurku flakoników; wyczytawszy na jednym, który był bladoróżowym płynem napełniony, napis: »Beauté des ongles« uśmiechnął się mimowoli.

— Pan się śmiejesz! — zawołał rozdrażniony do żywego naczelnik — chyba pan dzisiejszego położenia kraju wcale nie rozumiesz i nie wiesz, że policya ma czujne oko na wszystkie anarchiczne żywioły. Dla tych, co idą na wspak życzeniom władzy, dla podejrzanych, jest Sybir!

Gonczarow patrzył uważnie na winowajcę, chcąc się nasycić wrażeniem, jakie te słowa wzbudzić były powinny, a nie dostrzegłszy nic, mówił dalej z większem jeszcze niż dotąd rozdrażnieniem.

— Hrabia, jeżeli zechce, może tam pana wysłać. Dowiedział się, że pan wniosłeś przeciwko niemu skargę i jest rozgniewany. Powinieneś go pan przeprosić, jak również i deputacyę kwaterniczą, którą pan ciężko obraziłeś!

Jerzy wstał!

— Czy panowie wezwaliście mnie po to tylko, aby mi to powiedzieć — zapytał.

— Tak jest — odrzekł naczelnik. — Wezwaliśmy pana w interesie własnego bezpieczeństwa pańskiego.

— A więc oświadczam, że skargi nie cofnę i przepraszać nikogo nie będę. Deputacyi nie obraziłem, bo obrazić można tylko tych, co mają poczucie honoru, a korporacya ta nie ma najmniejszego pojęcia o znaczeniu tego wyrazu. Nie obraziłem zatem tych panów, ale rzuciłem im w twarz nadużycia, jakich się dopuszczają i które udowodnię przy śledztwie sądowem. Przeciwko deputacyi wniosłem moją skargę, a nie przeciwko hrabiemu, którego uważam za zupełnie obojętnego w tej sprawie; bierze bowiem taką kwaterę, jaką mu dają. Co zaś do widma Sybiru, jakiem mi grozi pan naczelnik, to wcale mnie ono nie straszy. Co innego jest postępować wbrew życzeniom władzy, a co innego sprzeciwiać się życzeniom osobistym urzędników, nie zawsze idących zgodnie z tendencyami rządu. Nie ja tu stoję w poprzek życzeniom władzy, ale panowie, działając wbrew objawionej decyzyi naczelnika kraju. Przykro mi niezmiernie, że panowie narażacie się na translokacyę w kraj tak daleki.

Niestatkow wypuścił z ust gęsty kłąb dymu, który go całego osłonił, a naczelnik cisnął na stół pilniczek, którym się bawił i rzekł z plamami na twarzy.

— Nie można z panem dojść do końca! Zobaczysz pan, że będziesz żałował gorzko swego uporu. Proszę podpisać protokół.

— Właśnie chciałem o to prosić — odrzekł Jerzy spokojnie.

Zbliżył się do biurka, odczytał uważnie papier, w którym wyszczególniono, jakiego rodzaju zarzuty Wilczek rzucił w twarz deputacyi, i zamieściwszy w przypisku uwagę, że wszystkie te zarzuty podejmuje się poprzeć dowodami, położy u dołu swoje nazwisko i opuścił gabinet, wobec głuchego milczenia obu panów.

Niestatkow długo się nie położył tego wieczora. Chodził i chodził po swoim pokoju, rozmyślając nad niefortunnym rezultatem swojej misyi. Gubernator polecił mu wyraźnie, żeby postarał się sprawę «zgodnie załatwić« — a on musiał odjeżdżać z niczem, i nadto wiózł z sobą protokół, będący zawiązkiem drugiej, bardzo niemiłej sprawy, która, jeżeli się dostanie do sądu, może się stać skandaliczną i głośną w całem państwie.

Choć przy wieczerzy pani naczelnikowa bardzo się nim zajmowała uprzejmie, choć wygrał z nią partyę szachów, stracił humor tak bardzo, że chwilami nie wiedział nawet, co do niego mówiono.

Młody był, nie bogaty, żądny wywyższenia a od zręcznego spełnienia delikatnej misyi, z jaką go przysłano, zależał może jego awans... Rozważył wszystkie drażliwe punkta sprawy, wszystkie okoliczności, i wpadł na myśl spróbowania jeszcze jednego środka.

Nazajutrz Jerzy jeszcze się ubierał, gdyi przyszedł z hotelu niemieckiego służący i oznajmił mu, że jakiś pan, będący jego szkol-

nym kolegą, przyjechał w nocy i prosi, żeby go pan Wilczek odwiedził. Przeprasza, że sam przyjść nie może, ale po nocy niewyspanej leży jeszcze w łóżku, bo głowa go boli.

Jerzy zdziwił się trochę, że kolega nie dał służącemu swojej karty wizytowej, ale nie zastanawiał się nad tem długo. Zapytał o numer i kazał powiedzieć, że przyjdzie.

— Kto to może być? — myślał, gdy sługa odszedł, i nagle w czoło się uderzył. — Że mi też to odrazu nie przyszło do głowy — zawołał — to Edward! nikt inny tylko Edward. Pisał przecież do mnie wkrótce po mojem do Kozłowa przybyciu, bo ma w tych stronach stryja, po którym spodziewa się kiedyś odziedziczyć majątek. Mieliśmy jechać razem do Paryża. Biedny chłopak, ani przeczuwa, jaki go spotka zawód: pojedzie sam!

Edward był najbliższym przyjacielem i najmilszym kolegą uniwersyteckim Jerzego. Serdeczny, otwarty, wylewny, stanowił kontrast z zamkniętą w sobie, dumną i chłodną na pozór, choć w istocie gwałtowną naturą Jerzego, i może dlatego właśnie tak przylgnęli do siebie, że jeden dopełniał drugiego. Jerzego pociągała wesołość i ujmująca słodycz Edwarda, a Edward nie taił swego uwielbienia dla rozumu i prawdziwie męskiego charakteru kolegi.

Wspomnienie tego chłopca przywiodło Jerzemu na pamięć owo życie uniwersyteckie, z którem się rozstał tak niedawno, a od którego

już lata całe zdawały się go oddzielać — to życie swobodne i bez troski, pełne zapału i nieograniczonej wiary we własne siły, a czasem naiwnych marzeń, o jakiemś wyjątkowem w ludzkości posłannictwie. Przypomniały mu się uczty koleżeńskie, skromne pod względem jadła i napoju, ale obfite i wytworne pod względem dań duchowych. Zrobiło mu się jakoś lekko na duszy, zdawało mu się, że odmłodniał, i, ubierając się spiesznie, zaśpiewał hulaszczą studencką piosnkę, będącą wybornem odbiciem tego życia!

„O! jakiż ze mnie wielki kiep!
Wszystko przeputałem,
Cała fortuna wzięła w łeb,
Goły, jak biez zostałem.

Cóż poczne, wezmęż stary kord,
Pójdęż zabijać wśród dzikich hord?
Na koniec świata zajdę,
Tam może rewanż znajdę.

Fortuny mojej taki stan,
Że choćbym i meble sprzedał,
Za kurzawę z gołych ścian
Żydby mi i grosza nie dał.

Cóż poczne, wezmęż stary kord,
Pójdęż zabijać wśród dzikich hord?
Na koniec świata zajdę,
Tam może rewanż znajdę!

Mróz mi już dokucza srodze,
Śnieg się na ulicach bieli,
A ja bez płaszcza chodzę,
Bo mi go żydzi wzięli!

Cóż poczne, wezmęż stary kord,
Pójdęż zabijać wśród dzikich hord?
Na koniec świata zajdę,
Tam może rewanż znajdę!"

Wypił duszkiem prawie herbatę, którą mu Gertruda przyniosła, bo na wspólne śniadanie było jeszcze zawcześnie — i, idąc do hotelu, układał sobie przez drogę, że zatrzyma Edwarda na kilka dni w mieście, że zrobią razem parę polowań, i że, kto wie? może zachęci przyjaciela także do osiedlenia się na prowincyi.

— A gdybyśmy też razem założyli jaką fabrykę — snuł dalej swoje projekta Jerzy — mieć takiego druha przy sobie, kogoś, kto nas rozumie, o ileż byłoby lżej żyć tutaj!

I prawie pewny urzeczywistnienia tego marzenia, biegł na schody, przeskakując po kilka stopni naraz i nucąc:

„Kufel mojem a, b, c,
Innych książek znać nie chcę!"

— No, Edwardzie! gdzie jesteś — zawołał, wpadając do numeru z chłopięcą wesołością, i zatrzymał się. — Co to jest? niema nikogo!

Z głębokiej framugi okna, wyszedł młody człowiek, w którym nic nie przypominało Ed-

warda, a najmniej mundur. Był to Niestatkow, zdumiony niesłychanie młodzieńczą wesołością Wilczka, z której najlepiej widać było, że ten człowiek nie bał się żadnych pogróżek.

— Przepraszam pana najmocniej — przemówił cokolwiek zmieszany — żem pana tutaj fatygował, podając się za pańskiego kolegę, ale obawiałem się, że pan inaczej przyjść — nie zechcesz...

Jerzy zakipiał gniewem.

— Jak pan śmiesz stroić sobie ze mnie żarty! — zawołał. — Jeżeli pan masz do mnie interes, należało przyjść do mego mieszkania. Figiel pański jest w bardzo lichym gatunku i nie przystoi człowiekowi dojrzałemu i urzędnikowi. U siebie przyjmuję interesentów. Żegnam pana.

Odwrócił się i, nie ukłoniwszy, szedł ku drzwiom.

— Ależ panie Wilczek, zatrzymaj się pan chwilę! — prosił, biegnąc za nim Niestatkow — przepraszam pana bardzo, masz pan słuszność, mówiąc, że powinienem był przyjść do pana. Ale ja chciałem oszczędzić przykrości szanownej krewnej pana, pani Wilczkowej, która wczoraj nie była nam rada, jak pan sam byłeś tego świadkiem. Jeżeli pan wolisz, chętnie pójdę za panem, ale zdaje mi się, że roztropniej będzie tutaj pozostać.

Jerzy zawahał się. Niestatkow miał słuszność, mówiąc, że to stryjence nie zrobi przyjemności. Zawrócił się od drzwi i czekał. Niestatkow podał mu krzesło.

— Bądź pan łaskaw usiąść... proszę pana, bardzo proszę. Może pan pozwoli papierosika?

— Dziękuję panu, palę tylko swoje — odrzekł Jerzy, nie siadając, czem zmusił swego gospodarza do pozostania także w stojącej postawie.

— Chciałem koniecznie przed wyjazdem pomówić z panem sam na sam...

— Należało od tego zacząć — odrzekł lakonicznie Jerzy.

— Zapewne — potwierdził Niestatkow — nie zrażony lakonizmem gościa i zdziwiony coraz bardziej tem, że Jerzy traktował go trochę z góry, nie obawiając się żadnych następstw swej śmiałości. — Zapewne, ale tak jakoś nie udało się. Otóż widzisz pan, kochany panie Wilczek...

— Pomińmy te tytuły — przerwał niecierpliwie Jerzy — i przystąpmy od razu do rzeczy.

— Harda sztuka! — pomyślał Niestatkow, przygryzając usta.

— Widzisz pan — rzekł, pomijając tym razem tytuł »kochany» — chciałem z panem pomówić jak przyjaciel...

— Mów pan jak urzędnik, to wystarczy.

— Nie, ja panu radzę jak przyjaciel, żebyś pan nie wyzywał wszystkich piekieł do walki i nie zadzierał z władzami, bo to do niczego pana nie doprowadzi i może się źle skończyć.

— Skończyłeś pan?

— Nie jeszcze. I żebyś pan odstąpił od skargi. Szkoda pańskich zdolności i pańskich

kwalifikacyj naukowych marnować w Kozłowie. Hrabia Reden ma wysokie stosunki i rozległe wpływy. Mógłby panu dopomódz do uzyskania korzystnej posady, co mogłoby być zarazem dla pana początkiem świetnej karyery!

Jerzy milczał.

— Należałoby tylko zbliżyć się do hrabiego i przeprosić go za całą tę historyę, niepotrzebnie tak rozgłoszoną. Gonczarowa też powinienbyś pan przeprosić za nazbyt ostre i śmiałe słowa, jakie pan powiedziałeś mu wczoraj wieczorem, zwracając przeciwko niemu groźbę deportacyi. On jest bardzo obrażony na pana, a to przyjaciel Redena!

Jerzego zaswędziła okropnie prawa ręka i żeby nie uledz pokusie uśmierzenia tego uczucia niemiłego, schował ją do kieszeni.

— Jakże, czy posłuchasz pan dobrej rady?

— Panie — przemówił Jerzy hamując swój gniew — przysłano tu pana na śledztwo, a nie dla dawania rad komukolwiek, ani obiecywania protekcyi!

— Racz pan uwolnić mnie od obojga, bo wiem, co mam czynić. Czy to już wszytko, co pan miałeś mi do powiedzenia?

— Wszystko — odrzekł czerwony i zmieszany Niestatkow. — Więc pan ani na krok od swoich żądań nie ustąpisz?

— Nie ustąpię.

— I chcesz pan koniecznie, żeby hrabia Reden przeniósł się do Hamera?

— Nie! Chcę, żeby się wyprowadził z domu Wilczków i żeby dom ten, stosownie do przepisów, pozostał na lat cztery zwolniony od kwatery: gdzie się zaś hrabia wyprowadzi, to mi jest wszystko jedno. Mogliście panowe brać to mieszkanie, pókim je dawał, teraz cofam je. Panu hrabiemu będzie daleko wygodniej w domach którego z członków deputacyi, nie ponoszących wcale tego ciężaru.

— Dlaczegoż więc pan pokazywałeś mi to mieszkanie? — zapytał osłupiały Niestatkow.

— Żebyś pan się przekonał, jak niesłusznie niem pogardzono.

— Ależ pan je wczoraj jeszcze ofiarowałeś!

— Ale pan odrzuciłeś. Dziś, gdy pan może chciałbyś, ja nie chcę! Pora ustępstw minęła. Teraz chcę zupełnego zwolnienia od kwatery i ukarania deputacyi za bezprawne wyrzucenie z mieszkania mojej krewnej.

To powiedziawszy, odwrócił się i wyszedł, a Niestatkow, patrząc za nim osłupiały, szepnął:

Waryat!

XXI.

Jeden dzień jeszcze Niestatkow zabawił w Kozłowie, jakby wyczekując, czy Jerzy się namyśli, ale nie doczekał się niczego. Natomiast wielu mieszczan kołatało do jego drzwi, ale nie chciał nikogo przyjąć, domyślając się, że przychodzą ze skargami, do przyjmowania których, jak utrzymywał, nie miał pełnomocnictwa. Trzeciego dnia odjechał z niczem, a jedynym owocem całej jego niefortunnej misyi był protokół, który gubernator odesłał Gonczarowowi, z poleceniem zażądania od Wilczka dowodów, jakich obiecał dostarczyć przeciwko deputacyi, o jej nadużyciach oraz, aby on sam, to jest Gonczarow i naczelnik straży ziemskiej, wspólnie z deputacyą rozpatrzyli, o ile są prawdziwe i przedstawili jemu, to jest gubernatorowi, swoją opinię. System cofania rzeki do źródła znowu tu znalazł zastosowanie. Naczelnik straży ziemskiej, Bielak, doręczył to wezwanie Jerzemu.

Tak się skończyło to sławne śledztwo, które zostało wyznaczone dla załagodzenia sprawy, a wywołało inną sprawę większą, donioślejszą, grożącą publicznym skandalem. Chociaż tego, co

Jerzy wyrzucał deputacyi wobec urzędnika śledczego, nikt, prócz interesowanych nie słyszał, jednakże wiedziało o tem całe miasto, bo Kozłów miał pewną osobliwość, z której słynął tak, jak Toruń słynie z pierników, Gdańsk z wódki, Warszawa z trzewików, a Kraków z pięknych dziewcząt. Osobliwością tą była jakaś cudowna akustyczność. Wszystkie ściany miały tam uszy, przeto największy sekret stawał się natychmiast publiczną własnością. Poczciwi mieszczanie tak zawsze trwożliwi i ostrożni w postępowaniu, że gdy który miał katar i musiał dużo kichać, to się bardzo miarkował w tem kichaniu, obawiając się, czy to czasem nie obrazi uszu pana naczelnika straży ziemskiej, albo pana naczelnika żandarmów nie mogli się wydziwić, że Jerzy nosił jeszcze głowę na karku i z równie dobrą miną, jak wprzód, chodził po mieście. Sfery, na które się wszyscy mający katar oglądali, niemniej się temu dziwiły jak mieszczanie a kwatermistrz i cała deputacya, bez wątpienia, z radością byliby zdjęli Jerzemu z karku tę hardą głowę, gdyby tak, jak w wiekach średnich, istniały jeszcze doraźne egzekucye. Niestety, słup kamienny, stojący na środku rynku z dwoma wśrubowanemi weń żelaznemi kółkami, pozostał jedyną pamiątką po owych błogich czasach, jak również popsute narzędzia tortur, rdzewiejące w lochu ratuszowym.

Jednego dnia odwiedził Jerzego Neiman i rzekł zaraz od progu :

Przychodzę znowu prosić pana o radę, panie Wilczek: odebraliśmy odpowiedź z dyecezyi w sprawie wiadomego legatu. Jego Ekscelencya biskup odpowiada, że ta sprawa nie dotyczy władz duchownych, i kazał nam zwrócić się z tem do władz cywilnych. Co teraz robić?

Podajcie skargę do gubernatora — odpowiedział młodzieniec.

Burmistrz, który o skardze się dowiedział, chodził kilka dni niespokojny, przemyśliwając nad sposobem wydobycia się z matni, w jaką popadł. Oddałby on z ochotą te pieniądze, gdyby je miał, ale wydał już dawno... tak jakoś same wyszły. Myślał więc, myślał i myślał, jakby dozór kościelny nieszkodliwym dla siebie uczynić i wybrał się w odwiedziny do nauczyciela szkoły elementarnej.

Nauczyciel, człowiek niezły, ale tchórz i pijaczyna, wielce się niespodzianą wizytą ojca miasta zdziwił i przestraszył; a gdy ten ojciec z ojcowską prawdziwie powagą i surowością powiedział mu, że doszło do wiadomości władzy, iż on, nauczyciel, nie dość gorliwie stara się o rozwój języka urzędowego w szkole i patrzy przez szpary na to, że dzieci członków dozoru kościelnego nie chcą się do nauki tegoż języka przykładać, niewątpliwie z poduszczenia rodziców i nie składa o tem raportu władzy, choć powinien — nauczycielowi, który tego dnia miał już głowę trochę zalaną, zaczęło serce ze strachu

dygotać. Wyobraził sobie, że lada dzień przeniesiony zostanie w stan spoczynku i tegoż dnia jeszcze wysłał raport pod adresem naczelnika dyrekcyi naukowej w mieście gubernialnem. A choć nie przypominał sobie, aby dzieci, o których mówił burmistrz, uczyły się gorzej od innych jednakże, chcąc wszelkiego podejrzenia uniknąć, że nie umiał uczniów swoich dość gorącą miłością do rzeczonego języka napoić, złożył całą winę, w myśl słów burmistrza, na rodziców. Nazajutrz, wstawszy z głową trzeźwą, czuł pewien wstyd i żal, ale już stało się!

Najbardziej kłuło w oczy rajców i dygnitarzy miejskich, gdy Jerzy jechał na czele straży ogniowej, na pięknym, siwym koniu, a rycerska jego postawa zwracała uwagę przechodniów, witających go zawsze życzliwie. Kozłowianie byli dumni ze swego naczelnika, a najwięcej z tego, że sobie nie daje w kaszę dmuchać. Było to prawie nie do uwierzenia, że człowiek ten nie bał się nikogo, jego zaś obawiali się nawet ci, co mieli nad nim władzę. Niech kto tylko z obcych przyjechał do Kozłowa, myślano zaraz, że to w sprawie pani Wilczkowej. Strach ma duże oczy.

Jerzy tymczasem rósł w siłę moralną, powagę i znaczenie w mieście rodzinnem. Dawniej miał za sobą tylko lud prosty i klasę rzemieślniczą; teraz inteligencya zaczęła mu objawiać życzliwość, choć nie bez pewnej obawy i oglądania się na wszystkie strony. Dwaj aptekarze, inży-

nier, poczthalter, zaczęli podzielać przekonania młodzieńca i odzywać się, że należałoby wziąć udział w zarządzie miasta i na przyszłych wyborach do rady miejskiej postawić swoje kandydatury, dla wyrugowania Niemców. I doktor Jacenty, zapowiadający od początku, że do niczego mieszać się nie będzie. rzucał czasami tu i ówdzie w uszy poczciwych mieszczan słowa. które potem kiełkowały w duszach. Ale, żeby postawić kandydatury, należało najprzód zażądać wyborów, a z tem się nikt głośno nie odezwał. Mówiło się tak tylko, aby mówić. Zleniwiałe długą bezczynnością umysły nie mogły się zdobyć na energiczniejszy czyn jakiś; potrzebowałyby one jeszcze niejednego wstrząśnienia dla przebudzenia się z letargu.

W domu Wilczków tymczasem zaszedł fakt niezwykły i niespodziewany: pani naczelnikowa złożyła wizytę pani Wilczkowej. Mąż przestrzegał ją, żeby nie posyłała naprzód swojej karty wizytowej, i temu też zawdzięczała, że zastała panią Wilczkowę w otoczeniu rodziny. Weszła promieniejąca, uśmiechnięta, szeleszcząca jedwabiami i, uścisnąwszy zdumioną gospodynię za obie ręce. rzekła, siadając przy niej :

— Wy się nie spodziewali mnie tutaj widzieć, ale ja bardzo pragnęła was poznać, to i przyszła pierwsza. My od trzech lat w jednem mieście mieszkali i nie znali się. Czy to ładnie ? A ?

Przechyliła figlarnie na bok główkę, bujnymi włosami obciążoną, jakby czekając odpowiedzi, ale odpowiedzi nie było. Pani Wilczkowa, z której twarzy nie zniknął jeszcze wyraz zdumienia, blada była i surowa; wnuczka jej blada także, patrzyła na babkę z niepokojem, a wargi jej drżały. Jerzy stał milczący, z brwią ściągniętą. Pani naczelnikowa spojrzała kolejno po wszystkich i figlarna wesołość, z jaką przemawiała dotąd, ustąpiła miejsca zdumieniu.

Ach Boże mój! zawołała co wam? Nie bójcie się mnie, ja przyjaciółka Polaków. Marya Gonczarowa nic złego wam zrobić nie chce, powierzcie mi! Ja przyszła was na raut zaprosić.

— Ja do nikogo nie chodzę; ja chcę bal wyprawić, to mój mąż każe urzędnikom, żeby przyszli z żonami i przyjdą, ale do was sama przyszła. Ja słyszała wiele o was i wiem, że wy nieszczęśliwi. Baron Stern mi wszystko opowiedział. Ależ nie można wiecznie cierpieć, trzeba czasem i rozerwać się! Mój mąż mówił mi, że macie piękną wnuczkę, a ja widzę, że powiedział prawdę. Trzeba, żeby się panienka zabawiła. Za tydzień będzie u mnie proszona herbata, jednem słowem raut, bo to imieniny cesarzowej: po herbacie młodzież potańczy. Przyjdziecie? Droga, miła, kochana pani, pozwólcie wnuczce zabawić się!...

Mówiąc to, ściskała gorąco ręce pani Wilczkowej. W głosie, w postawie, w tonie mówiącej,

była jakaś serdeczna prostota i szczerość. Wyglądała na kobietę niegłęboką, ale dobrą, ulegającą wrażeniom chwili i działającą bez wielkiego namysłu. Widać było, że szczegóły sprawy Wilczków i rola, jaką jej mąż odegrał, były jej prawie obce. Wiedziała coś, ale bardzo mało. Nie pojmowała położenia, nie rozumiała wielu rzeczy i idąc tu, działała w dobrej wierze. Czynić ją współwinną, byłoby rzeczą niesprawiedliwą i bezużyteczną.

— Nie bywam na rautach — odrzekła sucho pani Wilczkowa — jestem już na to zastara i noszę żałobę...

— Ale wnuczka wasza, panna Jadwiga! Młodemu trzeba zabawy, jak słońca i powietrza, a kiedyż lepsza pora bawić się i weselić, jeżeli nie teraz? A! życie zwarzy z czasem ten śliczny kwiatek, niechże użyje póki rośnie i kwitnie w całym blasku. Poco ma więdnąć przedwcześnie w zamkięciu?

— Kwiat ten wyrósł z ziemi, przesiąkniętej łzami i krwią — odrzekła pani Wilczkowa — w atmosferze balowej dusznoby mu było i nieswojsko. Mroźne powiewy i wichry miotały nim nieraz, mimo to wyrósł prosto i szlachetnie. Hodując go, hartowałam jak mogłam, przygotowany jest więc na wszystkie zmiany klimatu i wszystkie niespodzianki, jakie życie w naszym kraju gotuje kobietom. Wielki nasz poeta Mickiewicz był zarazem wielkim pedagogiem: zostawił on wiersz do matek, w którym uczy je, jak mają

chować synów. my zaś wychowujemy córki tak samo. Kwiaty, rosnące na grobach, większą mają trwałość, niż wypielęgnowane w ogrodzie.

Pani naczelnikowa zamyśliła się bardzo.

— Dziwnym jesteście narodem — rzekła po chwili — słuchając was i patrząc na was, robi się na duszy tak, jakby ją przygniatał jakiś kamień. U nas w Rosyi inaczej, weselej, inne życie, inni ludzie. Gdyby odemnie zależało, jabym dziś jeszcze stąd wyjechała. Kraj piękny, ale posępny, jak cmentarz. Ludzie chodzą milczący, smutni, niedostępni... Jabym tak żyć nie mogła; ale wam, wam co daje siłę, że w takim kraju żyjecie jednak?

— Wiara w to, czego naucza nas Skład Apostolski — odrzekła pani Wilczkowa — wierzymy: »w grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny«.

Pani naczelnikowa, jak wszystkie kobiety wrażliwe, była trochę zabobonną. Słowa te, znane jej bardzo dobrze, ale powtórzone teraz uroczyście, przejęły ją dziwnym dreszczem. Wydało jej się, że na całym tym wielkim cmentarzu widzi otwierające się groby i wychodzących z nich ludzi. Pociągnęła nerwowym ruchem w górę swój miękki francuski szal; otulając się nim, spojrzała po obecnych i teraz dopiero spostrzegła, że ani wnuczka pani Wilczkowej, ani jej synowiec, nie wzięli udziału w rozmowie. Chcąc dobre zostawić wrażenie po sobie, zwróciła się

uprzejmie do Jadzi i wskazując na Jerzego spytała:

— To podobno wasz narzeczony, czy można powinszować?

— Nie pani — odrzekło dziewczę z lekkim rumieńcem — to mój krewny.

— Krewny może być narzeczonym — zauważyła z uśmiechem i zwracając się do Jerzego dodała: — wiem, żeś pan zuch co się zowie, a ja mam słabość do zuchów. Byłoby mi bardzo miło, gdybyś pan chciał przyjść do mnie na raut. Ja was widziała na próbie straży ogniowej i podziwiała waszą zręczność; musisz pan dobrze tańczyć.

Jerzy ukłonił się.

— Wdzięcznym niezmiernie pani naczelnikowej za łaskawe dla mnie względy — przemówił z lekką ironią — ale nie mogę przyjąć zaproszenia, bo wiem, że pan naczelnik nie byłby rad takiemu, jak ja tancerzowi. Mieliśmy już niejedno vis-a-vis z sobą i radził mi właśnie, żebym na zawsze wyrzekł się tej rozrywki.

Pani naczelnikowa wpatrzyła się ciekawie w oczy tego człowieka, o którym słyszała tyle sprzecznych rzeczy od barona i od męża, że sama nie wiedziała, któremu z nich wierzyć. Wydał jej się interesującym, oryginalnym, pięknym nawet, a gniewne połyski jego oczu bawiły ją. Czuła ona, że w jego słowach jest aluzya, a choć ją niezupełnie zrozumiała, pojęła kobiecą domyślnością, że najlepiej będzie pominąć ją milczeniem.

Zwróciła się znowu do pani Wilczkowej i uścisnąwszy ją serdecznie za obie ręce, rzekła pieszczotliwie:

— Tak więc, mam z niczem odejść? Jacyż wy niedobrzy, że mi tak odejść pozwalacie! a ja was bardzo polubiła i radabym coś dla was zrobić. Czyż nie lepiej nam łączyć się i żyć w zgodzie, niż dąsać się jedni na drugich? A? Wiem, kwatermistrz prześladuje was; ja tego człowieka cierpieć nie mogę! Bo ten biedny, kochany hrabia, który tutaj mieszka, nic nie winien, doprawdy. Wie pani, on przed rokiem stracił żonę, którą szalenie kochał!... Nie mogłabym ja co dla was zrobić? Mówcie! Ja wam życzliwa przyjaciółka. Przyrzeczcie mi, że się do mnie udacie w razie potrzeby; czy dobrze? Gubernator przyjeżdża wkrótce.

Pani Wilczkowa milczała.

— Czy dobrze? — powtórzyła — odpowiedzcie mi, przyjdziecie?

— Nie pani — odrzekła poważnie zapytana — będziemy sobie radzić sami.

Pani naczelnikowa patrzyła długo w oczy staruszki i nagle, jakby jakieś jasnowidzenie dopomogło jej zrozumieć wyraz tych oczu i usłyszaną odpowiedź, bo lica jej lekko drgnęły. Puściła jej ręce i nie pytała już o nic więcej. Szybko zapięła rękawiczkę i pożegnawszy wszystkich milczącym ukłonem, wyszła, odprowadzona przez Jerzego do sieni.

Gdy wróciła do domu, w oczach jej błyszczały łzy, których źródło dla niej samej było niezrozumiałe. Idąc do domu Wilczków, spełniała tylko wolę męża i nasuwało jej się przypuszczenie, że ci ludzie będą chcieli wyzyskać jej stosunek z pułkownikiem, a przypuszczenie to napełniało ją pewnem niezadowoleniem; tymczasem natrafiła na ludzi dumnych, którzy nietylko, że nie prosili o nic, ale nawet odrzucili pomoc, jaką im sama ofiarowała.

Miała wrażliwe serce i grając tego wieczora w szachy z hrabią, zamyślała się często i przegrała partyę.

7

XXII.

Sławetny Kozłów miał nareszcie dostąpić zaszczytu przyjmowania gubernatora, objeżdżającego z kolei miasta i osady powierzonej sobie prowincyi. Doniósł o tem urzędowy telegram szczęśliwym mieszkańcom, a na tydzień przedtem magistrat otrzymał wiadomość prywatną i zarządził odpowiednie przygotowania. Czyszczono na gwałt ulice, naprawiano bruki w miejscach, gdzie były największe wyboje, przemalowywano stare odwieczne szyldy na sposób urzędowy, krzątano się, biegano, słowem, przewracano wszystko do góry nogami, byle przed nowym dostojnikiem korzystnie się pokazać.

Wszystko przybrało cechę odświętną. Najwięcej przygotowań było u pani naczelnikowej: myto okna, trzepano meble, zakładano nowe firanki, zaciągano świeżo podłogi, a że policyanci wezwani zostali do froterowania, obracania rożnów i innych tym podobnych ważnych administracyjnych czynności, więc gdy się o tem dowiedzieli miejscowi złodzieje, w te pędy okradli, i to w biały dzień, jednego poczciwego mieszczanina z pieniędzy, piekarza z bułek, a rzeźnika

z mięsa. Miasto Kozłów bowiem, jako niegorsze od innych miast Królestwa, miało także swoich rzezimieszków. Ci, dzięki pani naczelnikowej, zaopatrzywszy się na czas jakiś w zapasy żywności, błogosławili w duchu Jego Prewoshoditielstwo pana gubernatora, prosząc Boga, aby jak najczęściej powtarzał swoje objazdy.

Nadszedł nareszcie ów dzień oczekiwany. Urzędnicy, żandarmi, straż ziemska, wszystko od rana przywdziało galowe mundury; gdy zaś z przedostatniej stacyi telegraficznej przyszła depesza do naczelnika, że wysoki gość się zbliża, przedstawiciele wszystkich władz urzędowych zebrali się w dolnej sali gmachu powiatowego, przed którym dnia tego o świcie wkopano kilka jodeł, przywiezionych z lasu i urządzono coś na kształt bramy tryumfalnej.

Nareszcie zabrzmiał w oddali odgłos trąbki pocztowej, koła zatętniły po bruku i powóz wiozący dygnitarza, z czeredą biegnących za nim uliczników, zatrzymał się przed powiatem, gdzie w progu z odkrytą głową stał Gonczarow.

Pan z panów, kniaź Czertyszew, choć wielki dostojeństwem i rozległością nadanej sobie władzy, wzrostu był zaledwie średniego, ale tęgi, pleczysty. Choć nie mógł patrzeć na nikogo tak z góry, jak do tego jego stanowisko dawało prawo, imponował za to siłą swojej budowy i mógł, jak drugi Atlas, nie jedną prowincyę, ale wszystkie dźwigać na sobie. Wyrażenie »szeroka

natura« rzadko gdzie mogło być trafniej i liberalniej zastosowane, niż tutaj.

Wydostawszy się nie bez trudu z karety, dygnitarz podał rękę Gonczarowowi, a ten wprowadził go do sali, gdzie przedstawiał kolejno urzędników.

Książę powitał łaskawie zgromadzonych, ale burmistrzowi nie podał ręki, a na pana sekretarza policyjnego, Kurtza, alias kwatermistrza, nawet spojrzeć nie raczył. Baronowi Sternowi za to serdecznie dłoń uścisnął, poczem na prośbę Gonczarowa udał się do jego prywatnego mieszkania na górę, gdzie pani naczelnikowa, strojna w błękitne jedwabie i koronki, czekała z obiadem.

Burmistrz zdziwiony i zmartwiony tą jawną niełaską, gubił się w domysłach, co mogło być onej powodem; ale, że irytować się długo nie lubił, bo to szkodziło zdrowiu i odbierało apetyt, więc wytłómaczył sobie, że gubernator nie jest tak popularny, jak to o nim głoszono. Kwatermistrz zupełnie innego był zdania. Wyróżnienie, okazane baronowi Sternowi, przyjacielowi Jerzego, było wskazówką, że sprawa Wilczków szła w górę. Jak wicher, zrywający się niespodzianie, budzi w naturze niepokój, zwiastujący burzę, tak po mieście szedł postrach, budząc nieokreślone trwogi i niepokoje w członkach deputacyi kwaterniczej i sławetnych rajcach miejskich. Fritz, Höhne i Lebich, którzy chcieli iść witać gubernatora w imieniu miasta, jak witali niegdyś puł-

kownika, uznali za bezpieczniejsze zrzec się tego zaszczytu i pochowali wydobyte już fraki.

Obiad u pani naczelnikowej przeciągnął się do zmroku; muzyka pułkowa przygrywała na rynku, a gromady uliczników, zachęcane do okrzyków, od czasu do czasu odzywały się z głośnem a przeciągłem »hurra!« Po obiedzie dostojny gość udał się z wizytą do pułkownika, odprowadzony tamże przez straż ogniową, którą dowodzić musiał Jerzy. Nie lubił on wszelkich tego rodzaju popisów, ale usunięcie się jego od tego zaszczytu byłoby uważane za afront, uczyniony dostojnemu gościowi. Z zapalonemi pochodniami i przy dźwiękach muzyki, był to pochód prawdziwie tryumfalny, a malowniczość jego miasto zawdzięczało naczelnikowi powiatu, z którego inicyatywy wyszła ta demonstracya.

Przyjazd gubernatora był dla Kozłowa faktem niezwykłym, ale to, co Kozłów zobaczył nazajutrz, było jeszcze niezwyklejsze. Pani Wilczkowa, która od śmierci męża nie opuszczała progu swego domu, tylko w niedzielę dla rannej mszy w kościele, szła teraz wsparta na ramieniu wnuczki do kwatery gubernatora. Ludzie zatrzymywali się na ulicy zdziwieni i odkrywali głowy przed tą siwą kobietą w żałobie, czczoną przez całe miasto. Niektórzy zastępowali jej drogę, witali, przyłączali się do niej i gdy stanęła nareszcie przed mieszkaniem dostojnika, znajdującem się w rynku nieopodal urzędu powiatowego, orszak towarzyszący jej był niemniej liczny od te-

go, jaki wczoraj towarzyszył gubernatorowi. Świadczyło to wymownie, jak Wilczkowie byli w mieście popularni.

— Patrzcie! patrzcie! — mówili mieszczanie, pokazując ją sobie — stara Wilczkowa idzie gubernatora o coś prosić.

— Prosić? — powtórzył doktor Jacenty, który te słowa posłyszał — mylicie się, Wilczkowie prosić nie umieją; ród to szlachetny i dumny. Ona idzie domagać się tego, co jej się z prawa należy.

Pospieszył powitać starą przyjaciółkę i podawszy jej ramię, dotrzymywał jej już ciągle towarzystwa. Tym, co byli ciekawi celu jej wycieczki, pani Wilczkowa powiedziała z prostotą:

— Wrogi moje utrzymują, że mój synowiec z własnej tylko ochoty wszczął z nimi walkę, podczas, gdy ja sama zgadzam się z uległością na wszystko. Dziś się przekonają, że jest inaczej, że on i ja stanowimy jedno.

Doktor nie robił żadnych uwag pani Wilczkowej o tym jej kroku, ale na poczciwem jego obliczu odmalowała się ciężka troska. Naczelnik straży ziemskiej, Bielak, znajdujący się właśnie wtedy na ulicy i domyślający się, że ta wizyta nie będzie przyjemną gubernatorowi, przystąpił do pani Wilczkowej z oznakami wielkiego uszanowania i radził, żeby raczej usiadła przed gmachem urzędu powiatowego, bo gubernator tam przyjdzie, a tu na nią wieje od rzeki i jest wilgoć; ale ona podziękowała mu za troskliwość i

powiedziała, że czterdzieści lat mieszka nad rzeką i przyzwyczaiła się do wilgoci. Z okien urzędu powiatowego widziała to pani naczelnikowa i wysłała lokaja do Bielaka z zapytaniem, o co to idzie.

Książę Czertyszew wstawał dosyć wcześnie i o jedenastej rano przyjmował już gości. Najprzód odwiedził go baron Stern, potem przyszedł hrabia Reden, a za Redenem Gonczarow. Nakryto do śniadania, a lokaj, niosący tacę z kawą, oświadczył, że pani Wilczkowa prosi o audyencyę. Hrabia i Gonczarow spojrzeli po sobie zdziwieni i zaskoczeni niespodzianie tą wiadomością, a po czole dygnitarza przeszła chmura.

— Powiedz, żem jeszcze nie wstał — odrzekł gubernator służącemu i jął zapraszać swoich gości, aby wzięli filiżanki.

Rozmowa toczyła się dalej po francusku o rzeczach potocznych, ale urywała się co chwila. Wszyscy myśleli o niemiłej sprawie i innej jeszcze przykrzejszej, do której tamta dawała początek.

Po chwili gubernator zadzwonił.

— Czy ta pani odeszła? — zapytał wchodzącego sługi.

— Nie, jaśnie panie. Powiedziała, że zaczeka aż jaśnie pan wstanie.

— Gdzież ona jest?

— Siedzi przed domem na ławce pod kasztanem, z młodą panną, co z nią razem przyszła.

Na wzmiankę o młodej pannie, Gonczarow się ożywił. Książę dał znak służącemu, że może odejść i zapalił w milczeniu cygaro Reden pił kawę, milcząc także — nareszcie Gonczarow pierwszy odważył się przemówić, wyrażając nadzieję, że sprawa się pomyślnie wyjaśni. Książę zmarszczył brwi i pomilczawszy jeszcze chwilę — rzekł:

— Byliście bardzo niezręczni, moi panowie, żeście dopuścili, aby rzeczy zaszły tak daleko. Nie mówię tego do pana, kochany hrabio, bo pan stoisz po za tą całą sprawą. — Jakto! jeden człowiek ośmiela się lżyć całą deputacyę i grozić jej, a deputacya ta nie znajduje ani słowa na swoją obronę? A więc to jest zgraja łotrów, których trzeba wywieszać!

Słowa te nie wymówione, ale wyrzucone zostały z piersi z wybuchem gniewu. Małe, siwe oczki księcia Czertyszewa iskrzyły się, policzki pałały: był to dowód, że chociaż, już doszedł sześćdziesiątki, miał w żyłach krew, a nie wodę. Odsunął, a raczej odepchnął od siebie filiżankę z resztką niedopitej kawy i wstawszy z krzesła, zaczął wzburzony przechadzać się po pokoju. Wielki dyplomata zrozumiał, że niedyplomatycznie postąpił, poruszając ten przedmiot. Sprawa Wilczków, była to iskra prochu, mogąca magistrat kozłowski wysadzić w powietrze, a kto wie, czy jaki odłam muru, padający z tej twierdzy, nie trafi przypadkiem i w pana naczelnika powiatu. Serce zaczęło mu w piersi uderzać nie

spokojnie i chcąc poprawić sytuacyę, popełnił drugą niezręczność, odezwał się, że groźby Wilczka skończą się prawdopodobnie na niczem, bo niepodobna, aby dowiódł deputacyi tego, o co ją oskarzał. Książę spojrzał na mówiącego z taką lekceważącą ironią, że choć był upał na dworze, zmroził mu dalsze wyrazy na ustach.

W tej niefortunnej chwili wszedł do pokoju burmistrz, wyświeżony, uśmiechnięty i jeszcze grubszy, niż zwykle w galowym mundurze, zapiętym na wszystkie guziki. Gubernator zmierzył go lodowatym wzrokiem, od którego wchodzącemu oddech zamarł w piersi.

— Dobrze pan gospodarujesz w mieście — przemówił ostro — młokos, mający jeszcze mleko pod nosem, daje policzek deputacyi, do której należą urzędnicy, deputacyi, w której pan przewodniczysz, a wy nie próbujecie się nawet bronić, tylko czekacie, aż każe wam drugi nadstawić? Podli tchórze! pięknych ma rząd przedstawicieli, ani słowa!

Burmistrz zaczął drzeć jak liść osiny; przy wzmiance o przewodnictwie, posłał spojrzenie, pełne żałosnego wyrzutu, w stronę naczelnika, ale ten prędko spuścił oczy.

— Czy pan wiesz, co pozostaje urzędnikowi, którego publicznie znieważono? — mówił dalej gubernator — wiesz pan?

Burmistrz domyślił się natychmiast, że to mowa o dymisyi, ale udał, że tego nie zrozumiał.

— Wasze Prewoshoditielstwo — wyjąknął — to... to... potwarz. Wilczek nas... nas... niesłusznie oczernił...

— Milczeć! — krzyknął gubernator, przygniatając go wzrokiem do ziemi — winni jesteście, skoro ośmielają się was policzkować. Jeżeli się nie oczyścicie z zarzutów, pójdziecie wszyscy w Sybir. Możesz to pan innym powiedzieć.

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Burmistrz stał wylękniony, nie próbując się nawet bronić, a twarz jego pokryła się kredową bladością; Reden obojętnie palił cygaro, puszczając misterne kółka dymu; Gonczarow siedział nieruchomy, rachując bezmyślnie frendzle u serwety.

Służący przyszedł sprzątnąć ze stołu i spojrzawszy z pewnem wahaniem na swojego pana, odezwał się:

— Pani Wilczkowa ciągle jeszcze siedzi przed domem. Czy mam ją wpuścić?

Gubernator tupnął nogą.

— Powiedz, żem nieubrany! — ofuknął.

— Mówiłem, jaśnie panie, ale powiedziała, że zaczeka aż się jaśnie pan ubierze.

Burmistrzowi zrobiło się bardzo niemiło koło serca. Idąc tu krótszą drogą przez dziedziniec, nie wiedział nic o pani Wilczkowej.

— Czego chce ta stara Wilczyca? — zapytywał siebie z niepokojem, mierząc oczyma odległość, dzielącą go od drzwi. — Dyabli ją tu przynieśli i jeszcze w takiej chwili... Boże miłosierny, daj mi się stąd wydostać!

— Więc jestem w mojem własnem mieszkaniu oblężony? — zawołał z gniewem gubernator — i to oblężony przez baby! Powiedzieć tym paniom, że napróżno czekają. Nie przyjmę ich.

Spojrzał na zegarek: dochodziła godzina dwunasta, pora, w której go pani naczelnikowa oczekiwała ze śniadaniem, ale jak tu wydostać się z domu, którego drzwi strzegą kobiety?

— Może wyjdziemy tylnemi drzwiami — odezwał się naczelnik, odgadłszy myśli swego zwierzchnika; ale gubernator nie słyszał tej propozycyi. Stał on w tem samem oknie, przez które widać było siedzącą na ławce panią Wilczkowę, a obok niej piękną jej wnuczkę. Obie panie otoczone były prawdziwym tłumem życzliwych i znajomych. Gubernator popatrzył przez chwilę i odwróciwszy się do swoich gości, zapytał marszcząc brwi.

— Co znaczy to zbiegowisko?

Gonczarow uśmiechnął się złośliwie.

— To są przyjaciele pani Wilczkowej — odpowiedział — ludzie ci mają za sobą całe miasto i wywierają wpływ potężny.

W tej chwili wszedł służący i podał księciu na tacy blado-różowy woniejący liścik. Gonczarow, mający doskonały wzrok, poznał na kopercie nie bez zdziwienia, pismo swojej żony.

Pani naczelnikowa w nader ujmujących wyrazach prosiła Jego Prewoshoditielstwo, aby »zrobił to dla niej« i nie pozwolił długo na audyencyę czekać na ulicy pani Wilczkowej, ze

względu na jej wiek sędziwy i słabe zdrowie. Gubernator nie lubił niczego odmawiać pięknym kobietom, więc przeczytawszy liścik, rzucił służącemu rozkaz:

— Prosić panią Wilczkową!

Burmistrz, pragnący za jaką bądź cenę uniknąć tego spotkania w obecności gubernatora, skorzystał z tej chwili, żeby się ulotnić, a Reden i Gonczarow przeszli z cygarami do przyległego pokoju, będącego zarazem salonem i poczekalnią, gdzie znajdowały się już obie panie.

Pierwszy to raz po dwudziestu latach pani Wilczkowa spotkała się oko w oko z hrabią Redenem, bo choć mieszkał w jej domu, nie widywała go wcale, chyba przez okno zdaleka. Nie spodziewając się zastać go tutaj, staruszka zbladła gwałtownie, a twarz jej skrzywił spazm bolesny.

Jadwisia wspierająca jej kroki, poczuła, że babka drży całem ciałem.

Panowie skłonili się głęboko, a hrabia z pewną ciekawością podniósł oczy na swoją gospodynię, o której tyle słyszał — i nagle drgnął lekko stary żołnierz. Pani Wilczkowa utkwiła w nim na chwilę wzrok pełen tak strasznego cierpienia, że go wprawił w zdumienie.

Drzwi gabinetu gubernatora zamknęły się za niemi i Gonczarow zaczął się unosić nad wdziękami panny Jadwigi, nie znajdując dość słów na ich określenie, ale hrabia nic nie słyszał. Stał zamyślony, szukając w swoich wspo-

mnieniach, kiedy i w jakich okolicznościach widział już raz tę postać wysoką i szlachetną, tę twarz wyrazistą, wstrząsaną wybuchami gwałtownej, rozdzierającej boleści, tylko że wtedy była młodszą, piękniejszą... I przypomniał sobie, że to było tu, w tym samym pokoju, zajmowanym niegdyś przez niego na kwaterę. Z mgły jego wspomnień wynurzyła się postać młodzieńca, którego on kazał stawić przed sądem wojennym, młodzieńca, podobnego uderzająco do tej kobiety. Nazywał się... Ach! to był jej syn! Że też to mu dawniej na myśl nie przyszło. Zapomniał zupełnie o tym przykrym wypadku, jak również o nazwisku skazanego. Więc to była matka tego chłopca, a on mieszkał w domu kobiety, której syna kazał rozstrzelać... Przypomniał sobie teraz wszystkie szczegóły sprawy. Młodzieniec schwytany został z papierami: dowody jego winy były tak oczywiste, że nic nie mogło go uratować; z papierów bowiem, choć w nich pominięto jego nazwisko, okazało się, że był tym właśnie, którego szukano. Przypomniał sobie, że tu, w tym samym pokoju, ta kobieta błagała go ze łkaniem o wydanie zwłok jedynaka, a on jej musiał odmówić, bo wzbraniały tego przepisy.

Rzucił niedopalone cygaro i sięgnął po czapkę; a gdy Gonczarow, obserwujący go od kilku minut, przypomniał mu, że mieli czekać na księcia, żeby razem iść na śniadanie — odpowiedział, że pójdzie uprzedzić panią naczelnikowę o tem, co zaszło i wyszedł.

W gabinecie gubernatora tymczasem toczyła się żywa rozmowa. Książę obrzucił wchodzące kobiety niechętnem spojrzeniem i zatrzymując wzrok na pani Wilczkowej, zapytał szorstko w języku urzędowym:

— Czego pani żądasz?

— Sprawiedliwości! — brzmiała spokojna odpowiedź po francusku.

Dygnitarz zamierzał krótko rozprawić się z temi interesantkami i nie prosił ich nawet siedzieć, ale szlachetna postawa obydwóch, godność pani Wilczkowej, niezwykła piękność jej wnuczki nawet na nim uczyniły wrażenie.

— Jakiej sprawiedliwości pani chcesz jeszcze? — odparł niecierpliwie. — Miałem dla was najlepsze zamiary, ale sparaliżowaliście je sami. Przysłałem wam urzędnika na śledztwo, a choć śledztwo wykazało, że nie mieliście słuszności i on mimo to starał się sprawę polubownie załatwić, odrzuciliście wszelkie proponowane przez niego układy! Oprócz tego, synowiec wasz znieważył publicznie deputacyę kwaterniczą. Jesteście niewdzięczni i uparci. Uprzykrzyliście się już wszystkim swojemi skargami.

Książę wyrzucił te słowa z piersi z rozdrażnieniem, nielicującem wcale z jego wysokiem dostojeństwem. Mówiąc, stał oparty o biurko, z rękami założonemi w tył. Siwe jego najeżone brwi, iskrzące szare oczy i wązkie zaciśnięte wargi, wszystko tchnęło powstrzymywanym gniewem.

— Panie gubernatorze — przemówiła pani Wilczkowa głosem, który dowodził, że gniew ten nie przerażał jej wcale — urzędnik, przysłany na śledztwo, zaczął swoją czynność od porozumienia się z mymi wrogami i od początku do końca działał przeciwko mnie. Raport jego o mieszkaniu, którego nawet w całości obejrzeć nie raczył, był fałszywy. Przyniosłam z sobą świadectwa rzeczoznawców: oto są. Niech pan gubernator będzie łaskaw je rozpatrzyć.

— Nic rozpatrywać nie będę — odparł dostojnik wyniośle. — Pytanie, czy te świadectwa nie są także fałszywe. Słyszałem, że Wilczkowie mają potężny wpływ w mieście i robią, co chcą! Zatrzymaj pani swoje papiery, nie chcę ich widzieć!

To powiedziawszy, odwrócił się.

Pani Wilczkowa patrzyła przez chwilę w milczeniu na szerokie plecy dostojnika, na jego bogato złotem haftowany kołnierz i złote guziki munduru, odbijające od czarnego sukna. Szeroka jego natura przedstawiała się tu w całej okazałości. Atakować go z tej strony było rzeczą niepodobną i bezużyteczną. Należało oddalić się.

— Przyjazd pana gubernatora do naszego miasta — rzekła, panując nad swojem wzburzeniem — poprzedziła wieść, że pan jesteś człowiekiem wyrozumiałym, ludzkim i pragniesz dobra tego biednego kraju. Przyszłam tu ufna, że znajdę opiekę i obronę przeciwko nadużyciom niesumiennych urzędników, ale widzę, żem się

omyliła. Pan gubernator nie chce mnie wysłuchać. Niech panu Pan Bóg przebaczy! Chodźmy moja wnuczko.

Gniew dostojnika nagle złagodniał: słowa pani Wilczkowej poruszyły niektóre struny w jego sercu.

Odwrócił się z żywością.

— Pozostań pani — rzekł, wstrzymując ją ruchem ręki — i powiedz mi, czego chcesz ode mnie?

— Oswobodzenia od kwatery i ukarania deputacyi za jej postąpienie ze mną, przeciwne wszelkiemu prawu.

Książę ściągnął brwi.

— Raport deputacyi mówi, żeś pani z mieszkania ustąpiła sama — powiedział.

— Każ pan przywołać burmistrza i tych wszystkich, którzy byli wtedy uczestnikami dokonanego na mnie gwałtu — rzekła uśmiechając się gorzko — niechaj ośmielą się powtórzyć to w mojej obecności. Gdy odbito zamek od drzwi mieszkania, przeniesiono moje rzeczy i chciano mnie gwałtem przeprowadzić, wolałam przejść sama, niż dać się plamić dotknięciem takich ludzi. Jeżeli pan gubernator osądzi, że to było dobrowolne ustąpienie, nie będę więcej przeczyć.

Dostojnik milczał. »Przepisy administracyjne dla Królestwa Polskiego o powinnościach kwaterunkowych« wyraźnie określały, że: »rugowanie lokatorów z domów prywatnych ma być tylko w ostatecznym razie i w drodze dobrowolnej u-

mowy« — a tutaj działo się inaczej. Pogwałcono najwyraźniej literę prawa.

— Jeżeli taka samowola ujdzie bezkarnie — mówiła dalej — nie będzie nigdy końca nadużyciom. Ja tu nie jestem pierwsza i nie ostatnia; to, co ja cierpię, cierpią mieszkańcy tego miasta od wielu lat, a skargi ich nigdy nie bywały wysłuchane. Daremne wołanie o sprawiedliwość, panie gubernatorze, doprowadzić może ludzi do rozpaczy, bo i robak podnosi głowę, kiedy go depcza. My, nędzne robaki, jesteśmy już nazbyt długo deptani: czas, żebyście nam pozwolili odetchnąć! Istoty, którym nie wolno żyć na powierzchni ziemi i korzystać ze światła i powietrza, zmuszone są stworzyć sobie sztuczną egzystencyę pod ziemią, a takie życie nadwyrężą powoli fundamenta budynków. Może przyjść czas, że z powodu takich nędznych i lekceważonych robaków ściany poczną się rysować.

Książę słuchał, nie wierząc własnym uszom. Nie był on wielkim lubownikiem zoologii, ale zrozumiał sentencyę, zawartą w słowach pani Wilczkowej. Śmiałość tej kobiety zdumiewała go. Nikt jeszcze nigdy nie odważył się powiedzieć mu nic podobnego. Płomień gniewu strzelił z jego oczu.

— Jak pani nie lękasz się mówić mi w oczy takich rzeczy? — przemówił nareszcie. — Czy pani nie wiesz, że jesteś w tej chwili w mej mocy?

— Wiem — odrzekła spokojnie — ale przeszłam już tyle strasznych rzeczy, że nic mnie przerazić nie może. Czy zaś prędzej umrę, czy później, wszystko mi jedno, bo stoję nad grobem...

— Dziwna, dziwna kobieta! — myślał dygnitarz, patrząc w oczy staruszki, tchnące spokojem nie z tego świata, oczy tak jasne, czyste i głęboko patrzące, że zdawały się widzieć rzeczy przeszłe i przyszłe. Widział kobietę, która jak anioł mściciel domagała się kary na winnych — ona zaś mówiła dalej:

— Droga administracyjna stojąca otworem dla uciśnionych, długa bywa, wąska i kręta. Zanim echo skarg zdoła docisnąć się tam, gdzie mieszka sprawiedliwość, zostaje tak zagłuszone przez krzyki tych, co skargi wywołali, że rzadko bywa usłyszane...

— Dlatego to, gdy rozeszła się wieść, że nowy wielkorządzca naszej prowincyi przynosi z sobą nietylko martwą literę prawa i suche formuły administracyjne, ale ludzkie uczucia i poszanowanie praw człowieka, zapragnęłam powiedzieć panu całą prawdę. Źle się dzieje, panie gubernatorze: urzędnicy zdradzają zaufanie rządu, uciskając obywateli i budząc w nich głuchy a ciężki żal, bo w pojęciu całych mas ludu urzędnicy a rząd to jedno. Nie umieją one jednego od drugiego odróżnić.

Zamilkła; gubernator milczał także. Był poruszony, a nie chciał się z tem zdradzić. Odzy-

skał już swój urzędowy spokój, odpowiedni wysokiemu stanowisku, jakie zajmował.

— Zostaw pani swoje papiery — rzekł łagodnie i ukłonił się.

Był to znak, że audyencya skończona.

Po wyjściu dwóch kobiet, dostojnik długo stał w swoim gabinecie zamyślony, a Gonczarow, czekający w przyległym pokoiu, dziwił się, że go do siebie nie wzywał, choć pani naczelnikowa od godziny czekała ze śniadaniem. Słowa pani Wilczkowej, jej wzrok głęboki i jakby proroczy, głos, mający w sobie jakieś dźwięki wzruszające i uroczyste, wbiły mu się w pamięć i choć już wyszła, ciągle miał ją jeszcze przed oczyma. Na wnuczkę nie zwracał prawie uwagi, choć spostrzegł, że na tej młodziutkiej twarzy odbijały się wszystkie uczucia babki. Nareszcie ocknął się z zadumy i zadzwonił.

— Niech tu przyjdzie burmistrz — rzekł do woźnego.

— Pan burmistrz już dawno odszedł, jaśnie panie.

— Więc go przywołać!

Po upływie kilku minut, woźny powrócił, mówiąc:

— Pan burmistrz rozchorował się. Leży w łóżku, narzeka na żołądek i okropnie jęczy.

Gubernator wpatrzył się w mówiącego. Ta nagła choroba u człowieka, który przed chwilą stał tutaj zdrów zupełnie i czerwony jak piwonia, wydała mu się podejrzaną.

Zmarszczył brwi i rzucił rozkaz:

— Wyciągnąć go z łóżka!

Woźny pędem poleciał do mieszkania burmistrza, mówiąc w sekrecie każdemu, kogo spotkał po drodze, że gubernator strasznie zagniewany na burmistrza za to, że śmiał zachorować bez rozkazu. I znowu pomiędzy tymi, co się poczuwali do czegoś, przeszedł postrach, niby mara, przenikająca dreszczem — a przykład burmistrza tak podziałał na innych urzędników, że nawet ci, co cierpieli od wielu lat na chroniczne dolegliwości, poczuli się nagle uzdrowieni. I stał się cud na podobieństwo tego o jakim mówi Pismo święte: »Chromi chodzili, niemi zaczęli mówić«.

W jaki kwadrans potem, burmistrz, jeszcze czerwieńszy, niż zwykle, bo rozparzony kataplazmami, szedł przez rynek krokiem szybszym, niż na chorego przystało, trzymając się obiema rękami za brzuch i z cicha postękując. Kapelusz stosowany zsunął mu się na tył głowy, a szpada w pospiechu źle przytwierdzona do boku, wisiała melancholijnie na srebrnej taśmie, wlokąc się końcem po bruku. Przed kwaterą gubernatora spotkał członków dozoru kościelnego z prezesem na czele, w odświętnych strojach. Wszyscy mieli twarze rozjaśnione spodziewanym tryumfem, gubernator bowiem sam zawezwał ich do siebie. Serca ich pełne były wdzięczności dla nowego dostojnika i radości, że sprawę legatu śp. Miotełki tak wziął do serca. Ani jeden nie wątpił,

że gubernator wyprowadzi śledztwo i przyzna im słuszność.

Skóra ścierpła na burmistrzu, ale, nadrabiając miną, zapytał:

— A gdzie to panowie, jeżeli wolno zapytać?

— Do pana gubernatora idziemy na jego życzenie — rzekł jeden z członków, nie mogąc się powstrzymać od spojrzenia złośliwego tryumfu. Ale słowa te nie zrobiły na ojcu miasta takiego wrażenia, jak się spodziewano. Uśmiechnął się z ojcowską dobrotliwością i rzekł:

— Miałem i ja tam iść, ale skoro wam pilno, to idźcie naprzód, ja poczekam.

Gdy wezwani znaleźli się przed obliczem dostojnika, Neiman, który ułożył był sobie zawczasu piękne choć krótkie przemówienie, odchrząknął i chciał zacząć, ale nie zdołał jeszcze ust otworzyć, gdy książę zmarszczył krzaczyste brwi i przeszywając go wzrokiem nawskróś, zapytał ostro:

— Jak wy śmiecie zabraniać dzieciom swoim uczyć się po rosyjsku? Co się to ma znaczyć?

Cały dozór kościelny osłupiał na to niespodziane pytanie, nie mające nic wspólnego ze sprawą, w której, jak mniemali, zostali wezwani. Nastąpiła chwila groźnej ciszy, podczas której gubernator przenosił wzrok kolejno z prezesa na członków i odwrotnie, aż właściciel fabryki mydła, Łojek, najodważniejszy ze wszystkich, przemówił:

— To fałsz! Niech Jaśnie Wielmożny pan zawezwie do siebie nasze dzieci, a sam się przekona, że znają język rosyjski o tyle, o ile ich wiek i zdolność na to pozwalają.

Ale książę nie raczył wziąć tych słów pod rozwagę.

— Na ten raz pozostawiam was bez kary — rzekł groźnie — ale jeżeli się to jeszcze powtórzy, pójdziecie w Sybir!

Machnął ręką na znak, że audyencya skończona.

Członkowie dozoru kościelnego odeszli jak zmyci, w głowę zachodząc, co się stało, że pan gubernator zrobił im tego rodzaju zarzut, choć Bogiem a prawdą, niewinni byli jak gołębie, bo nie wglądali wcale w naukę swoich dzieci. Sprawa legatu Miotełki przez to znowu na jakiś czas pogrzebaną została!

Książę czas jakiś chodził po swoim gabinecie, zapomniawszy zupełnie o burmistrzu, którego kazał wyciągnąć z łóżka. Zły był i rozdrażniony, że w tak małej mieścinie tyle już miał spraw przykrych; on, spokojny z natury, łagodny nawet i pojednawczemi przeniknięty zasadami, dwukrotnie już dziś musiał grozić widmem Sybiru.

Burmistrz napróżno czekał tego dnia na wezwanie; gdy stawił się w przedpokoju gubernatora, tenże udał się już na śniadanie do pani naczelnikowej, a po śniadaniu jakoś dostojnik o nim zapomniał.

Następnego dnia gubernator pojechał na polowanie do hrabiego Stahlberga, który miał pod Kozłowem donacyę, nadaną mu przez rząd za zasługi, wyświadczone w r. 1863; tak ów gniew na burmistrza i deputacyę złagodniał jeszcze bardziej w przeciągu tej doby. Książę Czertyszew był człowiekiem nazbyt sprawiedliwym i ludzkim, jak o nim słusznie mówiono, aby miał karać tych ludzi, nie czekając na dowody, których Wilczek dostarczyć obiecał. Wieczorem był raut u pani naczelnikowej. na którym dygnitarz miał humor wyborny, bo znajdował się w otoczeniu ładnych kobiet. Naczelnik tylko wzdychał skrycie że nie było najpiękniejszej.

Trzeciego dnia z rana gubernator zwiedzał zakłady naukowe i dobroczynne. Przypadkiem dnia tego książę odbył mimowolny przegląd bardzo oryginalnego wojska. Gdy przechodził przez rynek, przedefilował przed nim we wzorowym ordynku szwadron dziadów i bab kozłowskich, którzy mieli sobie pozwolone co piątek gromadnie obchodzić wszystkie domy po kolei za jałmużną, a to był właśnie dzień piątkowy. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, ślepi, chromi i głusi, z daszkami na oczach i z kulami pod pachą, wszyscy ślepo posłuszni byli staremu kuternodze, niegdyś żołnierzowi, trzymającemu między nimi wojskowy porządek i zajmującemu się zawsze rozdziałem jałmużny. Jedyna to była organizacya narodowa, na którą władza miejscowa patrzyła bez obawy. Wędrówka ta piątkowa dzia-

dów przedstawiała widok malowniczy, jedyny w swoim rodzaju, rzadko spotykany w innych miastach.

Naczelnik powiatu zapytał księcia, czy życzy sobie, żeby straż ogniowa przedstawiła mu się w całym komplecie, bo grzeczność nawet uczyniona takiemu dostojnikowi nie z jego wolą, mogłaby ściągnąć na siebie jego niezadowolenie i niełaskę — ale dostojnik zgodził się na to chętnie. Odbył przegląd straży w asystencyi naczelnika powiatu i naczelnika straży ziemskiej, a patrząc z zadowoleniem na jej zwinność, zręczność, porządek, zrobił uwagę, że liczba ochotników jest większa, niż w innych miastach.

Najpilniej przypatrywał się wysokiej, rycerskiej postaci komendanta, którego ostry, charakterystyczny profil, znamionujący niezwykłą siłę woli i energię, twarz prawdziwie męzka, ogorzała od słońca, jakby z bronzu wykuta, zdawały mu się być znajome. Wskazując go naczelnikowi, zapytał:

— Kto to jest?

Po twarzy zapytanego przebiegło lekkie, nerwowe drgnienie i odrzekł, uśmiechając się z przymusem:

— To jest protegowany i przyjaciel od serca barona Sterna, świeżo zatwierdzony przez pana gubernatora naczelnik straży, Jerzy Wilczek.

Książę, który zupełnie zapomniał już o tem, że sam na prośbę barona wybór Wilczka za-

twierdził, wpatrzył się jeszcze uważniej w twarz młodzieńca; przypomniał sobie swoją rozmowę z nim w mieście gubernialnem i jego śmiałe, trafne, niepospolitą bystrością odznaczające się poglądy na położenie kraju. Po skończonej próbie, gubernator wezwał do siebie komendanta i patrząc mu ostro w oczy, jakby go chciał przestraszyć, powiedział:

— Dziękuję panu, panie Wilczek. Pańska straż dzielnie się sprawia. Podobasz mi się pan, ale muszę pana ostrzedz, że jeżeli w ciągu miesiąca nie poprzesz dowodami oskarżenia, jakie pan rzuciłeś w oczy deputacyi kwaterniczej, zostaniesz oddany pod sąd.

— Dobrze, panie gubernatorze — odrzekł Jerzy, wytrzymując wzrok jego bez drgnienia powiek — dowody będą — a dostojnik powiedział sobie, że to jest dziwnie odważny ród, ci Wilczkowie.

Po południu tegoż dnia gubernator opuścił sławetne miasto.

XXIII.

Dowódzca pułku, hrabia Reden, przysłał deputacyi kwaterniczej list następujący:

»Moi panowie! W godnej pożałowania sprawie Wilczków, na głównym planie stawialiście ciągle moją kwaterę. Żeby tej sprawie gorszącej położyć koniec, oświadczam, że bynajmniej przy kwaterze obecnie zajmowanej nie obstaję i zobowiążecie mnie bardzo, naznaczywszy mi inną.

Gustaw hrabia Reden,
Dowódzca pułku dragonów.

List ten zdumiał i przeraził wszystkich członków deputacyi.

Jakto i ten, w imię którego kruszono dotąd kopie, dla którego zrobiono tyle poświęceń, sam dobrowolnie ustępuje? Ależ jeżeli on się cofnie, to cofanie nastąpić musi na całej linii, powód do walki upadnie, a Wilczkowie koniec końcem zostaną panami placu boju. Nie, tego nie można dopuścić za żadną cenę! Ale co w tem jest, że hrabia, tak dotąd podobający sobie w swojej pięknej kwaterze, tak rozkoszujący się ogrodem, tak lubiący wysiadywać na balkonie, skąd z je-

dnej strony mógł kłaniać się codzień na dzień dobry pani naczelnikowej, a z drugiej przypatrywać się ćwiczeniom wojskowym, odbywającym się na obszernem błoniu, nagle stracił gust do niej?

Zachodzono w głowę, a nie umiejąc sobie tego nagłego kaprysu hrabiego wytłómaczyć, pokazano list naczelnikowi, jako serdecznemu przyjacielowi Redena. Ale Gonczarow niemniej był zdziwiony i nie umiał im także tego wytłómaczyć. Jedna tylko pani naczelnikowa musiała coś więcej wiedzieć, bo nie okazała wcale zdziwienia i ilekroć była mowa o Wilczkach, stawała po ich stronie, albo wpadała w zamyślenie.

Uradzono odwieść hrabiego od zamiaru i kwatermistrz pobiegł do niego z przeproszeniem, że »na teraz« nie może dać mu innej kwatery, bo żadnej nie posiada do rozporządzenia. Mieszkanie, poprzednio w tym celu przez Wilczka wynajęte, nie jest już wolne, a inni mieszkańcy tak obciążeni, że niepodobna więcej od nich żądać; ale skoro pan hrabia niezadowolony jest ze swej kwatery, deputacya dołoży wszelkich starań, aby mu inną wynaleźć w jak najkrótszym czasie.

Miał kwatermistrz nadzieję, że hrabia wyjaśni mu powód swego niezadowolenia, omylił się. Reden wysłuchał jego tłómaczenia w milczeniu i skinąwszy mu głową na pożegnanie, zabrał się do pisania, przerwanego przyjściem kwatermistrza.

Tak zażegnawszy tymczasowo niebezpieczeństwo, zajęto się znów pilną obserwacyą czynów Jerzego, w czem zjednano sobie pomoc naczelnika straży ziemskiej i naczelnika żandarmów. Młodzieniec nie domyślał się nawet, że każdy krok jego był śledzony. Wiedziano, że podjął się w ciągu miesiąca dostarczyć dowodów przeciwko deputacyi, ale obiecywano sobie, że zanim miesiąc upłynie, potrafią Jerzego uczynić nieszkodliwym. Sposobność nadarzyła się wkrótce.

Za inicyatywą dam kozłowskich, których Jerzy bezwiednie stał się ulubieńcem, powstała myśl ofiarowania straży ogniowej przez miasto sztandaru. Składka zebrała się w kilka dni i piękne rączki kozłowskich mieszczanek z niezwykłą gorliwością zajęły się pracą nad tym darem, mającym być arcydziełem w swoim rodzaju. Jakoż istotnie przedstawiał się on nader efektownie. Na tle, z czerwonej jedwabnej materyi, unosiła się postać patrona od ognia, św. Floryana, gaszącego płomienie. Wprawdzie twarz świętego była cokolwiek zabardzo rumianą; szaty, lśniące od pereł i złota, nazbyt bogate, jak na męczennika; płomienie, z których rozpaczliwym wysiłkiem wydobywała się koza, symbol miasta, trochę zanadto przypominały krzaki rosochate — ale całość była prawdziwie imponującą i wprawiła w nieopisany zachwyt wszystkich strażaków. Nie żałowano do niej ani złocistych sznurów, ani frendzli, ani kutasów, słowem niczego. Wszystko kapało od złota.

Władze miejscowe wiedziały o tym sztandarze, zaraz jak tylko powstał projekt ofiarowania go straży i z tego powodu niejedna rada odbyła się w ratuszu. Pozwolić, czy nie pozwolić — to był punkt, który ze wszystkich stron ważono, rozbierano, nad którym namyślano się, toczono długie rozprawy i sprzeczano się, sztandar bowiem przepisami nie jest dozwolony, chociaż wszystkie straże ochotnicze w Królestwie posiadają sztandary, a wszystkie władze w miastach patrzą na nie przez szpary, jako na niewinną paradę.

Przysłowie: »wodę warzyć, woda będzie« — można tu było literalnie zastosować, bo im dłużej się namyślano, tembardziej nie wiedziano, jakie powziąć postanowienie; aż nareszcie na jednej naradzie, gdzie Kurtz był za bezwarunkowem wzbronieniem sztandaru, widząc w tem znak rewolucyjny, naczelnik, któremu się już sprzykrzyło słuchać o tem jedno w kółko, zadecydował:

— Moi panowie! Zdaje wam się, że jesteście wielkimi politykami, a żaden z was nie widzi dalej nad koniec swego nosa. Nie potrzebujecie nic wiedzieć o sztandarze, ale przy pierwszej sposobności możecie go straży odebrać, jako nie wymieniony w przepisach ustawy. Rzecz prosta!

I wzruszył ramionami z szyderskiem politowaniem.

Burmistrz, który się poczuł dotkniętym osobiście, bo miał nos szeroki wprawdzie, ale tak krótki, że końca jego nigdy zobaczyć nie mógł, przejęty został jednakże uwielbieniem dla mądrej dyplomacyi Gonczarowa. Wzbronienie sztandaru będzie tylko zakazem, niczem więcej i efektu wielkiego nie zrobi — ale odebranie go rozgniewa Wilczka, który niezawodnie wszystkiemi siłami bronić go będzie i wtedy najniezawodniej palnie jakie głupstwo; a niech tylko palnie, to już będzie złapany.

— Ten cherlak stworzony na ministra! — myślał.

Wszyscy obecni przyjęli słowa naczelnika z uznaniem — tylko kwatermistrz nie podzielał ogólnego zachwytu. Obawiał się on, aby z tym sztandarem nie było tak, jak z wyborem na naczelnika straży ogniowej, gdzie przewidywania wielkiej polityki najzupełniej zawiodły. Nie odezwał się jednak z tem głośno, bo wiedział, że to nie zdałoby się na nic.

Rozpoczęła się tedy polityka, zwana w Europie »polityką nieinterwencyi«, a w Kozłowie »patrzenia przez szpary«. Gdy panie zbierały składki i wyszywały sztandar, magistrat udawał śpiącego lwa; gdy deputacya najpiękniejszych uroczyście poświęcony przez proboszcza sztandar wręczyła Jerzemu na próbie straży ogniowej przed frontem, lew otworzył jedno oko, ale zamknął je zaraz — dopiero, gdy sztandar miał się publicznie zaprezentować, lew się przebudził.

Stało się to w najbliższą niedzielę. Dzień był piękny, ale niezbyt gorący, bo lato minęło, a w powietrzu dawały się już czuć powiewy jesienne. Ludność Kozłowa wyległa za miasto na spacer, używając w najlepsze świeżego powietrza i zabawy, gdy zaalarmowały ją sygnały pożarne. Wszyscy zwrócili oczy na miasto, ale nigdzie nie było widać ognia — za to w jednej z poblizkich wiosek dostrzeżono gęste dymy, potem snopy iskier i płomień rozszerzający się coraz bardziej. Jednocześnie prawie drogą bitą, wiodącą z miasta do wioski, przemknęły jak błyskawica sikawki straży ogniowej, poprzedzone przez jeźdzca na siwym koniu, pędzącego galopem. W jeźdzcu tym poznano Jerzego,

Poczciwi Kozłowianie patrzyli z gościńca, będącego zwykłem miejscem ich przechadzek, wytężonym wzrokiem w stronę pożaru dopóty, dopóki ogień nie został opanowany. Widzieli oni zdala uwijających się przy ogniu strażaków, niby mrówki, a przez łąki dochodziły ich czasem słowa komendy. Gdy komenda ucichła i ogień przygasł, Kozłowianie wrócili powoli do miasta i przystanęli na moście, żeby widzieć powracający oddział. Dzień miał się już ku schyłkowi, wspaniale zachodziło słońce, a raczej dwa słońca, bo jedno na niebie, a drugie w czystem zwierciedle rzeki, szeroko w tem miejscu rozlanej. Nad wodą unosiły się brzęcząc stada komarów, zdala słychać było nawoływanie pastuchów, pędzących bydło z pola, i głośny protest gęsi, którym nie chciało

się jeszcze powracać do domu. Te odgłosy wsi, pozwalające zapominać o istnieniu miasta, wdzierały się aż do jego serca, do rynku, bo most go prawie dotykał.

Z pobliskiego lasku wysunął się nareszcie oddział straży; najprzód szli topornicy, dalej pompierzy, za nimi jechały sikawki z drabinami, bosakami, kubłami, a za sikawkami jeszcze trzy poddziały straży ogniowej, pomocnicze; jeden z nich zajmował się zwykle dostawą wody w beczkach, drugi ratowaniem ruchomości z domów, ogniem zagrożonych, trzeci pilnowaniem porządku i całości wyratowanych przedmiotów. Po nad tem wszystkiem powiewał wspaniale z wiatrem purpurowy sztandar, niby świetny meteor, błyszczący w świetle zachodzącego słońca bogactwem barw i złota.

Mieszczanie z nieukrywaną dumą patrzyli na swoją straż, na swego naczelnika, a najwięcej na swój sztandar — a gdy oddział wkroczył na most, zaczęli witać powracających, machając kapeluszami, podczas gdy panie, które najwięcej przyczyniły się do tego wspaniałego daru, powiewały chustkami. Na czele straży jechał na dzielnym siwym koniu Jerzy w hełmie i bluzie strażackiej, przepasanej pasem skórzanym. Koń postępował zwolna, stawiając nogi z pewną fantazyą i powagą, a na twarzy jeźdźca, zwykle posępnej i zamyślonej, było coś nakształt uśmiechu zadowolenia. Miłą była jego sercu ta widoczna sympatya ludności; zaczynał coraz bardziej po-

czuwać się obywatelem swej »ciaśniejszej ojczyzny«, o której niedawno jeszcze odzywał się z lekceważeniem i prawie ze wzgardą. Zaczynał nabierać przekonania, że i tutaj żyć można, i zastanawiał się czasem, jakiby zawód sobie wybrać, bo dzieło, nad którem pracował, nie mogło mu dać nic, prócz rozgłosu.

— Patrz pan, patrz — odezwał się Kurtz do burmistrza — czy ten młokos nie wygląda jak wódz wjeżdżający do zdobytego miasta? Ludność go wita, jak tryumfatora i mało brakuje, żeby mu ofiarowała uroczyście na tacy chleb i sól. Radzę panu, panie prezydencie, oddać mu dobrowolnie klucze miasta, bo inaczej on je sam sobie weźmie. W rzeczywistości Wilczek od dawna już opanował miasto, bo robi co chce. a mieszczanie go ślepo słuchają. Dwóch mamy teraz burmistrzów: jeden trzyma pieczęć i klucze, a drugi władzę. Ładne nastały czasy!

Słowa te, wyszeptane z sykiem nienawiści, miały na celu podburzenie ociężałego burmistrza do jakiegoś stanowczego kroku, bo lew kozłowski, choć się przebudził i groźnie wstrząsnął grzywą; ale ociągał się z wystąpieniem do walki i ziewał na całe gardło. Straż w tej chwili wjeżdżała w Rynek, otoczona płynącą powoli ludnością.

— Czego się pan namyślasz, panie prezydencie? — szeptał mu dalej na ucho Kurtz — ruszże się pan, bo koń na nas najedzie. Trzeba się panu Wilczkowi z drogi usunąć. Miejsca dla władcy Kozłowa i potomka burmistrzów!

Duch wojenny wstąpił nagle w burmistrza: odchrząknął, wystąpił naprzód i, wziąwszy się pod boki, zawołał:

— Hej! panie Wilczek! Kto to pozwolił pańskiej straży paradować z tą ładną chorągiewką? Ładna bo ładna, fiu, fiu! ale ustawa nic o chorągwiach nie mówi. Wzywa się pana, abyś ją oddał dobrowolnie w ręce władzy, bo jak nie, to się ją panu gwałtem odbierze. Tak!

Kwatermistrz aż zatarł ręce z radości.

Słowa te, donośnym wyrzeczone głosem, słyszane były nietylko przez straż, ale i przez mieszkańców. Wszyscy zwrócili oczy na Jerzego. Znając jego charakter, jego dotychczasową energię i dzielność, nikt nie wątpił, że sztandaru nie odda. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na słowo, które miało właśnie paść z ust jego, a byli pewni, że to słowo przybije do ziemi, zdruzgoce jego wrogów. Ale Jerzy milczał, tylko twarz jego lekko pociemniała, a oczy, utkwione przenikliwie w oczy burmistrza, zamigotały.

Ojciec miasta uczuł lekkie dreszczyki, chodzące mu wzdłuż grzbietu.

— Co on sobie myśli, ten smarkacz, że się tak na mnie patrzy — myślał ze wzrastającym niepokojem. — Ja mu dam! Albo sobie stąd pójdę, albo co!

Ale z ust Jerzego nadspodziewanie padły wyrazy:

— Bierz pan!

Wszyscy obecni myśleli, że to żart, i zaczęli się śmiać po cichu, a burmistrz, zdumiony do najwyższego stopnia tymi wyrazami, stracił nagle całego ducha napastniczego, wywołanego sztucznie przez kwatermistrza, i pomyślał:

— Niech go dyabli wezmą z jego »bierz pan!«

Ale że honor cofnąć się nie pozwalał i że zbyt wiele ócz na niego patrzyło, więc postąpił do trzymającego sztandar strażaka i wyciągnął rękę, ale zaraz ją cofnął. W tłumie rozległ się głośny śmiech, a burmistrz, zły na siebie i na publiczność, rzekł tonem rozkazującym i wyniosłym, choć zęby mu lekko szczękały.

— Proszę tę chorągiew odnieść do ratusza.

— Nie, panie prezydencie — odparł Jerzy — żaden strażak tego nie zrobi, boby powiedziano, że zrzekamy się dobrowolnie zaszczytu, jaki nam zrobiło miasto, ofiarowawszy ten sztandar. Zabierz go pan sam, albo każ zabrać swoim policyantom, to wszyscy zrozumieją, że go nam przemocą odbieracie, przez bezpożyteczną chęć dokuczania.

Mieszczanie słuchali zdumieni. Teraz nie było już wątpliwości, że Jerzy postanowił oddać sztandar. Ten człowiek, którego się wszyscy obawiali, on się poddaje! Było to coś niepojętego. Zdawało się, że gwiazda spada.

— Panie Jerzy — wołali strażacy — czy to prawda? Jakto! pan pozwalasz, żeby nam zabrano nasz sztandar?

— Chłopcy! — krzyknął Jerzy — wiedzcie o tem, że nie godzi się iść przeciwko prawu. Wasza straż istnieje na zasadzie ustawy, a żaden paragraf tej ustawy nie wspomina nic o sztandarze.

— Wszystkie straże je mają! — odezwały się liczne głosy między strażakami i w tłumie,

— Tak, ale jedynie wskutek życzliwego usposobienia władz miejscowych. Nasze władze inaczej na to się patrzą, a my nie możemy się z niemi o to sprzeczać. Pan burmistrz, odbierając wam dar miasta, jest w swojem prawie, a przeciw prawu iść nie można. Zrozumieliście? Chłopcy! bez sztandaru rzucaliście się w ogień, ratując mienie waszych braci i narażając dla nich życie, bez sztandaru będziecie ich ratowali nadal. Sztandarem waszym niech będzie miłość bliźniego i poświęcenie, a tego już nikt wam nie odbierze, bo każdy z was będzie go nosił w głębi własnego serca. Ale ten, co w tej chwili nad wami powiewa, otrzymał już chrzest ognia i zasłużył na waszą cześć. Pojmuję, że przykro wam się z nim rozstać... Pożegnajcie go!

To powiedziawszy, zwrócił konia czołem do sztandaru i pierwszy go salutował, a za jego przykładem salutowała cała straż.

Młody chłopak, czeladnik stolarski, trzymając sztandar, który sam robił drzewce do niego i bezpłatnie je ofiarował, pochylił sztandar, trzykrotnie salutując straż nawzajem, a łzy mu gęsto kapały. Święty Floryan po raz ostatni zako-

łysał się w powietrzu z rozpostartemi do błogosławieństwa rękami, i pochwyciły go na skinienie burmistrza dłonie czekających już na to oddawna policyantów. Ugasić płomienie nienawiści, ciemnoty i wstecznictwa, pożerające ludzkie dusze, trudniej jest snać, niż gasić płomienie pożerające ludzki dobytek!

Na świadkach tej sceny przemowa Jerzego i akt pożegnania wielkie zrobiły wrażenie: kobiety płakały, nie szczędząc burmistrzowi głośnych i wcale niepochlebnych epitetów, a mężczyźni szemrali. Jerzy uderzył konia ostrogami i pojechał dalej, a za nim ruszyła cała straż w najzupełniejszym porządku. Większa część tych zuchów miała twarze osmalone od ognia. Na rynku pozostali tylko przedstawiciele władzy i garstka ludności, patrząca na nich z nieukrywaną niechęcią. Nad sztandarem, który teraz zwijali policyanci stał burmistrz, zadumany i zakłopotany zwycięstwem, odniesionem z taką łatwością nad nieprzyjacielem. Postąpił jak bohater, to pewno, ale... I sam nie wiedział co to było za ale, i dlaczego mu się ciągle plątało w umyśle. Nie nawykł do roli bohatera i czuł się jakoś nieswojsko, choć wmawiał w siebie, że powinien być dumnym i szczęśliwym, a jeżeli dumy nie czuł, to tylko z powodu wrodzonej skromności.

Baron Stern, będący także świadkiem tej sceny, zbliżył się do niego i przywitawszy zapytał co znaczy ta wojna z wiatrakami. A gdy

burmistrz aluzyi nie zrozumiał, wzruszył ramionami i poradziwszy mu, aby przeczytał Don Kiszota, odszedł w swoją stronę.

— Sprzymierzeniec wielkiego wodza! — syknął kwatermistrz, patrząc za nim.

Kurtzowi bardzo niewsmak poszła zbyteczna lojalność Jerzego. Cały zachód na nic! On, co zawsze z władzami zadzierał, stał się nagle posłusznym jak dziecko. Kto się mógł tego spodziewać? Chytry lis!

Ludność rozchodziła się powoli, a burmistrz z podniesioną głową szedł do naczelnika powiatu, żeby podzielić z nim swoje trymfy i myśli czego dotąd nigdy nie czynił. Ale wielcy zwycięzcy zwykle bywają wspaniałomyślni i skłonni do przebaczania uraz. Burmistrz sobie wyobrażał, że istotnie nagle został wielkim strategikiem i idąc, mimowoli trzymał wyżej głowę i stąpał z góry — ale u progu gabinetu Gonczarowa jego duma zwycięzcy niespodzianie została upokorzoną. Wielki dyplomata z niedyplomatyczną wcale bezwzględnością, z góry popatrzył na niego.

— Gdzieżeś pan głowę podział? Potrzebne było wyprawiać teatralne sceny na Rynku budzić w ludności nieprzyjazne dla władzy uczucia? To była rzecz naczelnika straży ziemskiej, nie pańska. On byłby udał się po sztandar do szopy strażackiej, gdy Wilczek powrócił od ognia, i wszystko zrobiłoby się cicho. Nie należało dopuszczać żeby ten młokos przemawiał na Rynku do ludzi jak jaki jenerał. Wstydź się pan... Głowa miasta bez głowy!

Burmistrz oniemiał. Spodziewał się powinszowań, a spotkał się z nader dotkliwą naganą. I bądźże tu kiedy czego pewnym! Wychodząc od Gonczarowa, spotkał się z naczelnikiem straży ziemskiej, zirytowanym, że burmistrz zrobił to, co do niego jedynie należało. Ten rzekł doń ze złośliwą uprzejmością:

— Szkoda pańskiej zdolności marnować w Kozłowie, panie prezydencie; powinniby pana przenieść do Osłowic.

Burmistrz nie wiedział, czy mu uścisnąć rękę z wdzięcznością, jak bratniemu duchowi, umiejącemu go zrozumieć i ocenić, czy się obrazić za kpiny — bo mocnym w jeografii nie był i nie wiedział napewno, czy jakich Osłowic, które wedle tych słów powinny być znacznie większem od Kozłowa miastem, na mapie niema. Jeszcze nie zdecydował się ani na jedno ani na drugie, gdy musiał się cofnąć, bo wpadło na niego stado gęsi — a nasz bohater, choć dzielnie stawał do ataku z niemi, gdy były na półmisku, wolał im tył podać, jeżeli go otoczyły z sykiem i gęganiem. Gdyby przybyły na Rynek przed godziną i stanęły pomiędzy burmistrzem a powracającą od ognia strażą, niezawodnie przejechałaby spokojnie ze sztandarem, nie atakowana przez pana burmistrza — i szlachetne te ptaki, które niegdyś zbawiły Rzym, uratowałyby lwa kozłowskiego od śmieszności.

XXIV.

Tak tedy na niczem spełzło wyrachowanie przeciwników Jerzego, czem kwatermistrz gryzł się najwięcej; ale, że »kto chce psa uderzyć to kij znajdzie«, więc tak pilnie szukał owego kija, aż znalazł go nakoniec. Dowiedział się przypadkiem, że Jerzy kazał porobić kaski metalowe zamiast skórzanych, i natychmiast pobiegł z raportem do naczelnika powiatu, ale go w domu nie zastał. Powiedziano mu, że naczelnik poszedł do ratusza. Kwatermistrz domyślił się, że się tam odbywało posiedzenie Rady miejskiej, na które to posiedzenia zwykle przypadkiem trafiał Gonczarow, chociaż wiedział, że burmistrz bardzo nie lubił przypadków — a może właśnie dlatego.

Radzono tam nad sprawą wielkiej wagi, bo nad etatem drugiego pastucha miejskiego, z powodu znacznego powiększenia się ludności, i co za tem idzie, zwiększenia się liczby posiadanego przez nią bydła, pasącego się na łąkach miejskich. Przez dziewięć wieków istnienia Kozłowa, jeden pastuch wystarczał sławetnemu miastu. Mieszkańcy, posiadający bydło, płacili rocznie po 2 zł. od sztuki na rzecz pastucha i żywili go

kolejno; teraz, gdy okazała się konieczna potrzeba przyjęcia drugiego, obmyślano fundusze na utrzymanie tego urzędnika i układano kolej żywienia. Stanęło na tem, że opłata roczna podnosi się z dwóch złotych na cztery.

Sławetni rajcy, zatwierdziwszy projekt, dali dowód prawdziwie reformatorskich przekonań, bo choć potrzeba tej reformy dawała się od wieku uczuwać, żadna z Rad miejskich, w ratuszu kozłowskim zasiadających, nie odważyła się naruszać tradycyi. A jednak ta cześć dla tradycyi nabawiła miasto, jak o tem świadczyły akta, trzydziestokilkoletniego procesu z pewnym ubogim, ale czupurnym szlachcicem, gdy krowa jednego z mieszczan kozłowskich, wskutek braku dozoru, przekroczyła grunta miejskie i najadła się trawy na łące szlacheckiej!

Na wniosek naczelnika, urząd drugiego pastucha dano dymisyonowanemu żołnierzowi prawosławnemu. Burmistrz, drażniony częstą obecnością naczelnika, przesadzał się czasem dla niego w grzecznościach i komplementach, dając mu tem delikatnie uczuwać, że on tu był gospodarzem, a jego za gościa uważał. Teraz też, jakby chcąc temuż gościowi sprawić przyjemność, wyraził się, że zdaniem jego żaden pastuch tak dobrze nie potrafi zrozumieć natury poczciwego bydlęcia, jak właśnie prawosławny — a gdy go Lebich nieznacznie trącił, dodał prędko, że wszyscy Rosyanie odznaczają się charakterem łagodnym. Ale dostało mu się za to spojrzenie.

tak piorunujące, że aż struchlał. Nie wiedział on nieborak, co tak złego powiedział: pochwalił projekt naczelnika, a że prawosławiu ubliżyć nie chciał, to pewno, bo sam był prawosławny.

Rajca Frytz odezwał się dyplomatycznie, że zdaniem jego wyznanie nic na pełnienie tego rodzaju obowiązków nie wpływa i że wyznawca każdego kościoła z równym pożytkiem pełnić je może, że pan naczelnik widocznie nie wyznanie ani narodowość tu miał na myśli, ale zapewnienie chleba weteranowi. Rajca Hoehne powiedział także kilka słów w tym sensie, co nadając poruszonemu przedmiotowi zbyt wielką wagę, podrażniło bardziej jeszcze, zamiast uspokoić naczelnika — i kto wie, na czemby się były skończyły te rozprawy, gdyby ich nie przerwało wejście kwatermistrza. Wchodził on tu nieprawnie na posiedzenie Rady miejskiej, bo rajcą nie był; ale skoro naczelnik bywał, ilekroć mu się podobało, choć to przekraczało zakres jego czynności, pozwalał sobie i on wchodzić, gdy mu się to wydawało potrzebnem. Przykład idzie z góry.

Położył na stole przed sławetną Radą błyszczący metalem hełm i rzekł ze złośliwym zadowoleniem:

— Oto, jak się bawi nasz naczelnik straży ogniowej! Kazał porobić hełmy metalowe i tylko patrzeć, jak każe kuć kosy i pałasze. Teraz już chyba nikt z panów wątpić nie będzie, że się to dzieje według mądrze obmyślanego planu. Ten

chłystek, pod pozorem ćwiczeń ogniowych, uczy mustry wojskowej strażaków. Ja to dawno widzę!

Nikt nie odpowiedział; wszyscy patrzyli w milczeniu na hełm błyszczący jak złoto i wybity na nim herb miasta, kozę, stojącą na tylnych nogach i wspinającą się do skoku. Burmistrz, pomimo odniesionego niedawno zwycięstwa, a może właśnie dlatego, miłujący nadewszystko spokój, uczuł mrówki chodzące po plecach; rajcy zachowywali postawę wyczekującą, nie wiedząc, jak tę kwestyę weźmie naczelnik — a naczelnik, który niegdyś, ujmując się za Jerzym, szydził z kwatermistrza, siedział milczący i oglądał z zajęciem paznokcie. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, utopił przenikliwe spojrzenie w kwatermistrza.

— Więc pan nie straciłeś jeszcze nadziei zdobycia serca tej pięknej panny? — zapytał.

— Jakiej panny? Co? Nie rozumiem, co pan naczelnik chce powiedzieć — bąknął z nerwowem drganiem w twarzy.

— Ano, mówię o wnuczce pani Wilczkowej, bo nikomu z nas tak nie pilno pozbyć się tego młodzieńca, jak panu. Ale uspokój się pan, my to rozumimy. »Serce nie sługa« mówi podobno jakaś polska piosenka. Czy tak panie prezydencie? Musiałeś się pan nauczyć dużo piosenek polskich od matki.

Wszyscy zaczęli się śmiać urzędowym, przymuszonym trochę śmiechem, bo wszystkim pilno było uczynić Jerzego nieszkodliwym — zwłasz-

cza teraz, gdy wiedziano, że zbiera dowody przeciwko deputacyi kwaterniczej. Ale należało przyklasnąć konceptowi zwierzchnika, śmieli się więc — burmistrz tylko się odezwał:

— Piosnka brzmi trochę inaczej panie naczelniku: »Polak nie sługa«.

— Aha, zatem już nie do pana Kurtza, ale do jego rywala więcej się odnosi. Jest to prawdziwy Polak. Proszę posłać woźnego po Wilczka; niech mu powie, że go prosimy na posiedzenie Rady, w ważnej, niecierpiącej zwłoki sprawie, dotyczącej straży ogniowej.

Niedługo czekano, bo woźny spotkał Jerzego na ulicy. Zebrani nie spodziewali się ujrzeć go tak zaraz i niejeden mimowolnie drgnął na jego widok. Ludzie ci, pragnący koniecznie zgubić tego człowieka, czuli nieokreślony wobec niego niepokój i jeżeli mieli sumienia, to resztki tych sumień odzywały się w takiej chwili.

Młodzieniec, gdy tylko wszedł i zobaczył leżący na stole hełm metalowy, zaraz się domyślił, po co go wezwano, ale nie dał tego poznać po sobie. Spokojnym wzrokiem powiódł po zgromadzeniu i zatrzymał go dłużej na Lebichu. Piekarz mienił się i kręcił pod tym wzrokiem, jak wąż na uwięzi, a Jerzy odezwał się:

— Jakto, pan tutaj?

— Ciekawym, dlaczego to pana dziwi, że ja tu jestem? — odmruknął.

— Myślałem, że pan odsiadujesz w areszcie swoją karę za bułki — odrzekł z zimną pogardą młodzieniec.

— Mój panie! — wybuchnął zaperzony Lebich — nie wiadomo jeszcze, który z nas będzie tam pierwszy siedział.

— Który, tego nie wiem, ale że pan się tam znajdziesz, to pewno. Od tego nie odstąpię, bom się podpisał na protokole!

I bez śladu najmniejszego zakłopotania zasiadł na pradziadowskiem krześle, pokrytem herbami rodu Wilczków, a Gonczarow nie mógł się powstrzymać od ukradkowego spojrzenia na portret jego protoplasty i porównania znowu tych dwóch twarzy, tak uderzająco do siebie podobnych.

— A to kanalia zawzięta! — pomyślał burmistrz, spoglądając ze współczuciem na rajcę Lebicha, czerwonego z irytacyi. Miał i on urazę do Jerzego, że przy każdem spotkaniu się z nim wypytywał go, kiedy odbędzie się licytacya na restauracyę szkoły elementarnej, robotę oddawna obiecaną Hoenemu, że mu oddaną zostanie sposobem »administracyjnym«.

— Wezwaliście mnie panowie w sprawie niecierpiącej zwłoki, a dotyczącej straży. Domyślam się, że sprawa ta dotyczy dającej się mocno uczuwać potrzeby sprawienia jednej sikawki więcej, bo na wypadek pożaru w której z sąsiednich wiosek, jak to się zdarzyło przed tygodniem, gdy sikawki, które straż posiada, wyjadą na ratunek, miasto zostaje bez pomocy. Nie omyliłem się, prawda?

— Tak, to jest, hm, istotnie — odezwał się Hoene. czujący także pewną do Jerzego urazę, bo młodzieniec, spotkawszy go raz w polu, powiedział mu, że się worywa w grunta miejskie, co było prawdą istotną — ale po co się w to mieszał, skoro burmistrz, główny miasta gospodarz, nic nie mówił.

— Tak, miasto potrzebuje więcej sikawek, ale obecnie fundusze na to nie pozwalają. A pan, co myślisz o tem, panie Lebich ?

— Ja, hm — zaczął Lebich — ja myślę...

— Właśnie też — przerwał Jerzy, jakby Lebicha za nieistniejącego uważał — wnoszę prośbę, aby miasto przyjęło nową sikawkę w podarunku odemnie. Sprowadziłem ją z miasta gubernialnego i dziś właśnie nadeszła. Zrobiona jest mocno i dobrze: oglądałem ją.

Zapanowało w sali takie milczenie, że słychać było muchę przelatującą. Rajcy mieli miny zakłopotane i niewyraźne, kwatermistrz gryzł wargi, naczelnik zatopił się w oglądaniu paznokci; burmistrz coraz spoglądał na niego, niepewny, co począć, ale i niespokojny zarazem, żeby go Goneczarow w roli ojca miasta nie uprzedził, co się już i tak nazbyt często zdarzało.

— Ofiarował sikawkę miastu — rozumował sobie — a więc jakby mnie, bo miasto to ja: a skoro ją ofiarował, to należy przyjąć i podziękować. Hm, dziękować przeciwnikowi, któremu się kilka dni temu odebrało sztandar, to jakoś dziwnie... Biedny chłopiec! jak on musiał

być tem zgnębiony, chociaż miną nadrabiał! Ale poznał raz, co ja znaczę, aha!

Tu przypomniał sobie, że wielcy zwycięzcy odznaczali się zawsze szlachetną bezstronnością: takimi byli Aleksander Macedoński, Karol Wielki, Napoleon... dlaczegoż burmistrz Kozłowa nie miałby także być szlachetnym i bezstronnym. Szybkie spojrzenie na Gonczarowa, który się poruszył, jakby chciał coś powiedzieć, wpłynęło na szybkość jego decyzyi. Wstał.

— Panie Wilczek — przemówił uroczyście — miasto przyjmuje pański wspaniały dar z wdzięcznością. Pańska ofiarność jest prawdziwie obywatelską i godną pochwały i miasto ją ocenia jak na to zasługuje.

Po tych słowach rzucił przelotne, tryumfujące spojrzenie na Gonczarowa, a piersi jego napełniło błogie, słodkie uczucie zadowolenia, że zamiast się pastwić nad zgnębionym nieprzyjacielem, okazał tak wzniosłe względem niego uczucia. Postąpił jak prawdziwy ojciec miasta, kochający swoje dzieci, bo i karcił i nagradzał. Chcąc jeszcze więcej zadziwić Jerzego swoją szlachetnością, dodał:

— Miasto spodziewa się bardzo wiele po panu. Pańskie zdolności...

Ale Gonczarow przerwał mu zniecierpliwiony:

— Przestań pan już raz u licha ze swojem miastem! Wezwaliśmy tu pana, panie Wilczek, aby go prosić o wytłómaczenie nam, w jakim

celu pan zmieniasz uzbrojenie straży? Czy pan przypadkiem nie zamierzasz wypowiedzieć wojny któremu z mocarstw sąsiednich?

I wskazał ręką na hełm, leżący przed nim. Burmistrz usiadł skonfundowany i żałosny, że się nie poznano na jego wysokiej cnocie. Spojrzał od niechcenia na sztandar, stojący w rogu sali, i na Jerzego, ciekawy, co też na ten zarzut odpowie.

— Nie, panie naczelniku — odparł młodzieniec spokojnie — bo prawo to służy jedynie cesarzowi. Ale do walki z żywiołem, tak niebezpiecznym jak ogień, uznałem za praktyczniejsze od skórzanych kaski metalowe i dlatego je kazałem porobić. Miałem właśnie przedstawić ten hełm panu naczelnikowi i zyskać jego aprobatę, ale widzę, że mnie ktoś uprzejmy uprzedził.

— Cóż znaczy ten herb z przodu?

— Czy istotnie pan naczelnik potrzebuje objaśnienia?—zapytał z lekką ironią młodzieniec — to jest herb Kozłowa.

— Kozłowa? — powtórzył Gonczarow, biorąc hełm w rękę i przypatrując mu się tak uważnie, jakby miał jaką pod tym względem wątpliwość. — Kozłowa? nie zdaje mi się.

Wyjął z kieszonki od kamizelki lupę, którą nosił zawsze przy sobie, używając jej czasem dla krótkości wzroku—i badając tarczę, mającą co najmniej 6 cali średnicy, tak jakby to była noga muchy lub skrzydło komara, dodał:

— To jest pogoń, herb Litwy.

Jerzy parsknął śmiechem.

— Pogoń — objaśnił — składa się z konia i jeźdźca, a tu jest tylko koza, stojąca na tylnych nogach i gotująca się do skoku.

— Nie zdaje mi się, — powtórzył naczelnik rozdrażniony zbyteczną wesołością Jerzego i podał hełm najbliżej siedzącemu rajcy, mówiąc:

— Zobaczcie panowie sami, czy to nie jest pogoń.

Kask obszedł stół dokoła; rajcy przyglądali mu się, w milczeniu kiwając głowami, i podawali sobie kolejno z rąk do rąk.

— No i cóż? — zapytał Gonczarow, gdy ostatni położył go znowu przed nim na stole.

— Pogoń — odpowiedzieli chórem — przyczem ani jeden nie odważył się spojrzeć na Jerzego. Sam tylko burmistrz milczał.

Młodzieńcowi przypomniał się w tej chwili ów epizod ze śledztwa Niestatkowa, gdy na jego zapytanie, czy powiedział, że występuje w imieniu miasta, ci sami ludzie z równą bezczelnością chórem odpowiedzieli: »Tak, tak, powiedziałeś to pan.« Wówczas odpowiedź ta wzburzyła go do najwyższego stopnia, ale teraz już go to nie raziło. Wiedział, czego się może po nich spodziewać, i nie okazał nawet zdziwienia.

— A pan, panie prezydencie, co na to mówisz? — zagadnął go naczelnik.

— Hm, tak, bez wątpienia — odrzekł zapytany — jest pogoń, jest! Koza goni za kimś, pewnie za kozłem.

Rajcy ledwie zdołali powstrzymać ochotę do śmiechu, jaka ich nagle ogarnęła, a Gonczarow spojrzał na niego piorunująco. Biedny burmistrz, któremu się dziś nie wiodło, mniemając, że powiedział coś nieprzyzwoitego i obraził delikatne uszy pana naczelnika, pospieszył się poprawić.

— To jest chciałem powiedzieć, że za drugą kozą.

W wyrazie twarzy Gonczarowa, z jakim przyjął tę poprawkę, można było wyczytać jeden wyraz: Głupiec!

Jerzy, słuchający tego w milczeniu, wstał, otworzył puszkę blaszaną, w której znajdowała się pieczęć miasta, i pokazując ją obecnym, zapytał:

— Znacie panowie tę pieczęć!

— Znamy! — odpowiedziano jednogłośnie.

— Powiedźcież, co jest na niej wyobrażone: Czy pogoń?

Rajcy spojrzeli po sobie.

— To jest koza! — odezwał się burmistrz z dumą. Używał on tej pieczęci przez lat dziesięć i rozumiał, że nikt prócz niego nie ma prawa odpowiadać na to pytanie.

— A więc — mówił dalej Jerzy — porównajcie teraz herb pieczęci z herbem, znajdującym się na tarczy hełmu.

Gonczarow wziął w rękę pieczęć, patrzył na nią przez lupę i rzekł:

— Tak, to jest koza, ale tamto nie.

— Ha, skoro panowie nie umiecie kozy od konia odróżnić — powiedział Jerzy szyderczo — to możebyśmy wezwali opinii rzeczoznawców. Mamy pod ręką dwóch weterynarzy: powiatowego i pułkowego. Być może zresztą, że na rozległych stepach w Cesarstwie żyje gatunek koni brodatych, z rogami i bez ogona, ale u nas gatunek ten jest zupełnie nieznany. Byłoby rzeczą pożądaną, aby pan naczelnik, widocznie specyalista w tej gałęzi zoologii, zechciał podać o niej bliższą dla dobra nauki wiadomość.

Od wzniosłości do śmieszności jeden krok tylko: wąsy burmistrza zaczęły się mocno ruszać, a brzuch trząść. Wielki dyplomata spostrzegł zbyt późno, że ulegając swej z nerwowego rozdrażnienia pochodzącej chęci dokuczenia Jerzemu, popełnił głupstwo i tylko ku uciesze burmistrza stworzył krotochwilę. On, zawsze tak wyrachowany, tak chłodny i taktowny, tak mądry i przewidujący, stracił panowanie nad sobą z powodu tego chłystka, a raczej z powodu tego dudka burmistrza, dziękującego tak głupio za sikawkę i wyjeżdżającego ze swojem miastem. Rumieńce słabe wystąpiły mu na twarz, przymrużył oczy.

— Mniejsza już o to, co to jest — przemówił, jakby puszczając łaskawie w niepamięć sprawę herbu — ale pan przekraczasz ustawę panie Wilczek. W ustawie niema nic o herbach.

Jerzy widocznie był i na ten zarzut przygotowany, bo wyjął z kieszeni ustawę i przeczytał:

»Paragraf 13. Naczelnik straży ogniowej i naczelnicy oddziałowi mogą mieć metalowe kaski podług formy, przepisanej dla straży ogniowej warszawskiej«.

— Zatem widzisz pan teraz sam, że przekraczasz ustawę — odezwał się Gonczarow. — § 13 mówi, że kaski mają być podług formy warszawskiej, to znaczy, że nie żadne pogonie, ani kozy mają straże ogniowe w Królestwie nosić, tylko syreny. Weź pan syrenę!

— Do dyabła — mruknął rozweselony burmistrz — jak każdy strażak będzie miał swoją syrenę, to go nikt od niej do ognia nie odpędzi.

— Syrena jest herbem Warszawy, nie Kozłowa — odparł Jerzy. — Ustawa mówi o herbie miasta. Gdybym wziął syrenę, to wtedy właśnie moglibyście mi panowie zarzucić, a nawet do odpowiedzialności pociągnąć, że występuję przeciw ustawie.

— Ja na ten herb nie pozwalam — zadecydował Gonczarow.

Całe zgromadzenie spojrzało po sobie z podziwieniem. Nie pojmowano, dlaczego naczelnik tak się upierał: powód był zbyt błahy. Zabronić używania hełmów metalowych, to pojmowano, ale upierać się przy herbie!...

Jerzy popatrzył spokojnie na Gonczarowa i rzekł:

— A zatem niech pan naczelnik będzie łaskaw dać mi na piśmie zakaz używania tych hełmów.

Gonczarow zmieszał się troszeczkę. Gniewało go to niezmiernie, że ten młodzik wiedział doskonale, do czego on ma prawo, a do czego nie, i jak daleko sięgają granice jego naczelnikowskiej władzy. Zaczął mrugać oczami z nerwową szybkością i odparł zirytowany.

— Nie dam!

— A więc pan naczelnik zezwala.

— Ani pozwalam, ani zabraniam!

— Znaczy to, że mam postąpić wedle własnego uznania: zastosuję się ściśle do ustawy. Uprzedzam panów, że jeżeli w ciągu tego tygodnia nie otrzymam piśmiennego zakazu, to w niedzielę wystąpimy w tych kaskach na próbie.

Na tem się skończyło. Jerzy opuścił salę obrad, a pozostali rozprawiali dalej na temat, jak to źle, że naczelnik żandarmów dał Wilczkowi ustawę, którą on teraz ciągle się zasłania. Początkowe, organizujące się w Królestwie Polskiem straże ogniowe, nie miały wcale ustaw i każda rządziła się takiemi prawami. jakie sobie sama ustanowiła; następnie chociaż minister spraw wewnętrznych ustawę jednobrzmiącą dla wszystkich straży zatwierdził dnia 11 lutego 1882 r., żaden z naczelników straży ogniowej jednak jej nie posiadał. Znajdowała się tylko w rękach władz policyjnych i żandarmskich, to też nieświadomi łatwo ją przekraczali. Teraz, gdy ją

Wilczek wydrukował w setce egzemplarzy i rozdał strażakom, wszyscy ją znają i mogą nią wojować.

Kwatermistrz przez cały ten czas siedzący cicho we framudze okna, jako nie należący do składu rady miejskiej, odezwał się, że nie Wilczkowi to naczelnik żandarmów dał w ręce ustawę, ale jego przyjacielowi, baronowi Sternowi, honorowemu prezesowi straży. Któż zaś mógł przypuścić, że baron, dobry patryota, zrobi z niej taki użytek! Naczelnik na wzmiankę o baronie bardzo się zamyślił.

Naczelnik straży ziemskiej, dowiedziawszy się, o co szedł spór na posiedzeniu rady, odwiedził Jerzego i radził mu poufnie, żeby kaskom dał pokój; ale młodzieniec zażądał od niego urzędowego zakazu. Zakaz jednak nie nadszedł. W niedzielę przeto, jak naprzód zapowiedział, straż wystąpiła w metalowych kaskach. Kwatermistrz, wiedzący zawsze, jak trawa rośnie, w charakterze sekretarza policyjnego zawiadomił natychmiast o tem wszystkich interesowanych, a przedewszystkiem naczelnika straży ziemskiej, który rozgniewany przybiegł właśnie w chwili, gdy się straż formowała w szeregi.

— Gdzie jest wasz naczelnik?—wołał zdaleka.

Brandmejster wskazał mu Jerzego, siadającego na konia.

— Mówiłem panu, żebyś tego nie robił! — krzyknął, przyskakując do niego — prosiłem, od-

radzałem.. Jak pan mogłeś, jak śmiałeś to uczynić?

Jerzy utkwił w nim spokojne spojrzenie.

— Dlaczegoż pan nie przysłałeś mi urzędowego zakazu? — zapytał. — Pokażcie mi artykuł prawa, wzbraniający tego, a schylę przed nim czoło, ale fantazyom waszym nie ulegnę. Sztandar oddałem bez oporu, bo ustawa o nim nic nie mówi, ale kaski metalowe zatrzymam, bo ustawa na nie zezwala. Stoję na gruncie prawnym, moi panowie.

Była w nim, gdy to mówił, siła, z którą się trzeba było rachować, i pewność siebie, której brakowało wszystkim jego przeciwnikom. Wtem z wieży strażackiej dano sygnał na ogień, Jerzy spiął konia ostrogami i puścił się naprzód, a za nim straż poleciała jak wicher. Słychać było tylko tentent koni jadących po moście, a potem wszystko ucichło.

Bielak pozostał sam na Rynku.

W kilka godzin potem, Jerzego, powracającego do miasta na czele straży, zatrzymał przed urzędem powiatowym strażnik ziemski, mówiąc:

— Pan naczelnik powiatu prosi pana naczelnika straży ogniowej na chwilę do siebie.

Jerzy zatrzymał konia i chciał go kazać strażnikowi potrzymać, gdy Gonczarow, nie mogący się młodzieńca doczekać, wyjrzał przez okno i zawołał:

— Coś pan zrobił, panie Wilczek!

— To, co zapowiedziałem, panie naczelniku.

— Jak pan śmiałeś sprzeciwiać mi się?

— Dlaczegoż pan naczelnik nie wzbronił mi tego? W pańskim ręku jest władza!

— Głupstwo! — wołał z gniewem. — Daj mi pan pokój ze swoją sofistyką. Doniosę o tem gubernatorowi, zobaczysz pan.

— I owszem panie naczelniku, tego tylko pragnę.

— Pańska straż jechała prędko przez most, a to jest z urzędu wzbronione!

— Gdy straż jedzie do pożaru, nawet za przejechanie kary niema, wedle brzmienia ustawy.

— Co mi pan ciągle kłójesz oczy swoją ustawą! Ja wiem lepiej, jak ją trzeba rozumieć. Kazałem spisać protokół. Podpiszesz go pan?

— Bardzo chętnie.

Gonczarow wzruszył ramionami.

Pani naczelnikowa, stojąca na balkonie, przypatrywała się z góry rycerskiej postaci młodzieńca na koniu rozmawiającego z jej mężem przez okno. Słów dosłyszeć nie mogła, bo ta rozmowa odbywała się na dole, ale nie przypuszczała snać, że słowa szły na ostre, bo gdy Jerzy przypadkiem spojrzał i poznawszy ją, podniósł rękę do skroni, uprzejmym na jego ukłon odpowiedziała ukłonem.

W kancelaryi Gonczarowa zastał naczelnika straży ziemskiej; ten przedstawił mu protokół, którego treścią było, że za prędką, prawem

wzbronioną jazdę po moście, oddaje się naczelnika straży ogniowej Jerzego Wilczka pod sąd. Niedość na tem, Jerzy wezwany został jeszcze do magistratu wraz z naczelnikami oddziałowymi straży dla podpisania drugiego protokółu w tym samym przedmiocie.

Oba protokóły odesłano sędziemu śledczemu. Naczelnik zaś straży ziemskiej zwołał wszystkich strażaków do szopy strażackiej i kazał burmistrzowi oświadczyć im, że nie wolno jest używać kasków z kozą. Sędzia śledczy znów wezwał do kancelaryi Jerzego, ze wszystkimi strażakami w kaskach, i rozpoczął badanie, na jakiej zasadzie tak postąpiono. Jerzy przedstawił mu ustawę, zatwierdzoną przez ministra. Rezultat śledztwa sędzia przesłał prokuratorowi do miasta gubernialnego, z wnioskiem, że ponieważ na mocy ustawy strażacy mieli prawo nosić kaski metalowe i prędko jeździć po moście, przeto niema ich za co karać. Cała ta sprawa o hełmy nadawała się wybornie do komedyi, której można było dać tytuł: wiele hałasu o nic.

Prokurator uznał, że nie było winy, i na tem się skończyło.

Teraz też pokazało się, że kij ma dwa końce.

Gdy zaczęto zbierać składki na ów sławny sztandar, władze kozłowskie doniosły o tem zaraz gubernatorowi, upraszając o jego światłą radę w tej sprawie, a nie doczekały się żadnej odpowiedzi. Gubernator nie mógł pozwalać uroczy-

ście na to, co nie było objęte przepisami ustawy, ale nie chciał też wzbraniać tego, co nie było tąż ustawą wzbronione. Gniewało go, że go zaprzątano tak błahą sprawą i zrobiono z niej kwestyę prawie gabinetową. Na wagę sporów nie chciał wcale kłaść swej gubernatorskiej ręki i dziwił się głupocie magistratu, który powinien był przecież się domyśleć, że skoro on sam w mieście gubernialnem straży ogniowej sztandaru używać nie wzbrania, to niema go o co pytać.

Gdy się urodziła sprawa metalowych hełmów z herbami, lojalny magistrat przesłał znów zapytanie do gubernatora — nic o tem nie wiedząc, że jednocześnie Jerzy pod tymże samym adresem wyprawił prośbę o rozstrzygnięcie kwestyi różnicy między koniem a kozą. Po kilku tygodniach nadeszła nareszcie długo oczekiwana odpowiedź. Sprawę sztandaru zupełnie w niej przemilczano, co zaś do hełmów, gubernator odsyłał pytających do § 13 ustawy i nakazywał jej się trzymać.

Na marginesie urzędowego papieru znajdował się własnoręczny dopisek gubernatora, zrobiony czerwonym ołówkiem, omawiający kwestyę herbu. Książe radził w nim władzom miasta Kozłowa, aby, dla lepszego przypomnienia sobie zoologii, przeczytały z książki, wydanej dla użytku szkolnego rozdział taki a taki, na stronicy takiej a takiej.

Papier ten czytano głośno na posiedzeniu Rady, i pragnąc się coprędzej dowiedzieć, co za

pośrednictwem podręcznika szkolnego chciał im powiedzieć gubernator, posłano natychmiast woźnego po książkę.

Burmistrz nałożył okulary, odszukał stronicę, odchrząknął i uroczystym głosem przeczytał:

»Do rzędu jednokopytowych należy osieł, *asinus*«.

Wszyscy pospuszczali nosy na kwintę.

XXV.

Miesiąc, oznaczony jako termin złożenia dowodów przeciwko deputacyi kwaterniczej, zbliżał się do końca, a Jerzy nie dawał znaku życia. Członkowie deputacyi, którzy się zrazu terminu tego jak ognia lękali i stracili wiele ze swej buty, zaczęli znowu nabierać otuchy i przy spotkaniu z młodzieńcem przybierali miny zuchwałe i drwiące.

— Groził nam, że nas w proch zetrze — a sam będzie gnił w więzieniu!

Stronnicy i przyjaciele Jerzego mocno tem byli zmartwieni i nie ukrywali swojej o niego obawy; dawali rady, chcieli pomagać, ale on przyjmował to spokojnie, obojętnie, nie wyrażając swoich myśli, jakby ta sprawa nie dotyczyła go wcale. Spędzał często całe godziny w hypotece, z czego wnoszono, że albo pragnie dom jaki nabyć, albo też jaką pracę literacką o dawnem prawie hypotecznem gotuje. Wyjeżdżał też, ale nie wiedziano dokąd, bo się z tem przed przyjaciołmi nie zwierzał.

Gdy termin minął, a Jerzy żadnych papierów nie złożył w magistracie, naczelnik powiatu

doniósł gubernatorowi, że Wilczek nie zdołał zebrać faktów na udowodnienie win deputacyi — a gubernator odesłał to doniesienie prokuratorowi królewskiemu. Prokurator w następstwie przesłał sędziemu śledczemu do Kozłowa wezwanie, aby Jerzego Wilczka, szlachcica, pociągnął do odpowiedzialności sądowej, za znieważenie publiczne deputacyi kwaterniczej i obciążenie jej zarzutami, których udowodnić nie zdołał. Sędzia śledczy miał polecenie wyprowadzenia pierwiastkowego śledztwa.

Gdy się dowiedziano o tem w ratuszu, wszyscy członkowie deputacyi i rajcy zacierali ręce z radości. Nareszcie, nareszcie mają go! Ten, którego spokojnego, badawczego wzroku lękali się jak sowy dziennego światła, będzie musiał nareszcie pochylić dumne czoło i stać przed kratkami sądu kryminalnego, jak prosty zbrodniarz. Co za rozkosz, módz lżyć i deptać to, co gniotło ich swoją siłą i wyższością!

Jeden tylko burmistrz nie oddawał się tak wielkiej radości: żal mu było trochę tego »chłopaka«, dla którego miał zawsze pewną słabość i wdzięczność, że dał mu okazyę do wystąpienia w roli bohatera i zwycięzcy. Kwatermistrz czuł także pewien niepokój, psujący mu radość tego dnia pięknego, bo obojętność Jerzego wydała mu się cokolwiek nienaturalną. Lebich, nie mogący Jerzemu darować, że chciał go koniecznie wtrącić do więzienia, najwięcej był uradowany i zaprosił wszystkich do handlu Rafta, gdzie. sie-

dząc do późna w nocy, wysuszyli niemało butelek.

Sędzia śledczy posiadał w jednej z bocznych ulic, dotykających Rynku, mały, ale ładny domek z ogrodem; mieścił się tam sąd i prywatne mieszkanie sędziego, zresztą nic więcej. Bielone ściany tego domku, jaśniejące zdaleka, i zielone okienice czyniły go podobnym do wiejskich, szlacheckich dworków i nie pozwalały nawet się domyślać, że ściany jego słyszały niekiedy ciężkie i straszne wyznania.

Sam sędzia był już człowiekiem niemłodym, mającym około sześćdziesięciu lat. Kępy szpakowatych włosów grupowały się dokoła jego czaszki nagiej, błyszczącej i żółtej jak pergamin, tworząc nieforemny wieniec; włosy te rzadkie, zwykle były wilgotne i do głowy przylgnięte, jak u tego, na kogo biją poty osłabienia, albo trwogi śmiertelnej. Czoło miał pokryte siecią przedwczesnych zmarszczek, rysy twarzy niewyraźne, mało charakterystyczne, przypadające raczej cichemu zakonnikowi, niż sędziemu. Oczy małe, blado niebieskie, patrzyły nieśmiało, prawie trwożliwie, a chwilami przybierały wyraz przerażenia; usta wązkie, zaledwie widoczne, przymuszały się do uśmiechu, ale uśmiech to bywał przykry, prawie bolesny. Nie był on stworzonym do zawodu, jakiemu się oddawał, to pewno, ale okoliczności popchęły go na tę drogę, a potem już zejść z niej trudno mu było. Jedni gwałtem pchają się naprzód, a fala ich wstecz odpycha

a innych, co chcą w tyle pozostać, naprzód niesie. Tego poniosła wbrew woli. Był on przeznaczony do cichego domowego życia, a nie po to, aby sądzić i karać.

Bezdzietny, bezżenny, miał przy sobie siostrę, starą pannę, pamiętającą o jego wygodach, równie wyschłą i zżółkłą jak on. Człowiek ten, nienawidzący spraw, któremi zajmować się musiał, miał jedną jedyną namiętność wypełniającą jego życie — namiętnością tą były kwiaty. Wszystkie chwile, pozostałe od czynności sądowych, spędzał w ogrodzie, przypatrując się im, oczyszczając z liszek lub mszyc, podlewając. Znał każdy krzaczek, każdy listek, a marzeniem jego było dojść do pewnej kwoty pieniężnej, wystarczającej na utrzymanie, i, porzuciwszy sądownictwo, oddać się swobodnie ulubionej hodowli. Nerwowy, słabowity, każdą więcej sensacyjną sprawę odczuwał, a często przechorował. Uprzejmy dla wszystkich, stronił jednak od ludzi, przekładając nad nich towarzystwo kwiatów. Mówiono o nim po cichu, że z czasów burzliwych miał jakieś grzechy na sumieniu, ale nikt nie umiał powiedzieć, jakie to były grzechy: chyba jeden tylko doktór coś wiedział, bo znał go najdawniej, ale doktór milczał. To pewna, że jeżeli zgrzeszył, to nie złą wolą, ale brakiem odwagi, bo nieśmiałość leżała w jego naturze — i całe życie musiał z tą naturą walczyć, często nie mogąc jej przezwyciężyć.

Teraz, siedząc w gabinecie swoim przy biórku, odczytując przy lampie, bo był już wieczór,

wezwanie prokuratora królewskiego, czuł się do najwyższego stopnia zakłopotany, rozdrażniony, zmartwiony. Jerzego znał od dziecka, znał całą rodzinę Wilczków, pamiętał Henryka i okoliczności, towarzyszące jego śmierci.

Na to wspomnienie, które jak widmo stanęło mu żywo w pamięci, oczy jego przybrały ów wyraz przerażenia, pojawiający się w nich czasami. Ach ten młodzieniec mógł był żyć dotąd, gdyby on, który mógł świadczyć o jego niewinności, miał odwagę stanąć przed sądem i wyznać to, co wiedział; ale obawa podania siebie samego w podejrzenie, obawa, po części uzasadniona, zamknęła mu usta. Tamten zaś, choć mógł się uniewinnić, wolał umrzeć, niż zdradzić kogokolwiek.

Okropne wspomnienie! On, wykonawca sprawiedliwości, stał się przyczyną śmierci człowieka, zabił go po prostu swojem milczeniem — i widmo to spędzało mu w nocy sen z powiek, a w dzień odbierało spokój. Dlatego to stronił od ludzi i drżał, żeby kto nie odgadł jego tajemnicy, choć były to trwogi dziecinne, choć już od tego czasu upłynęło lat dwadzieścia. Ach! zawinił to prawda, ale jakże za to ciężko pokutował, wlokąc z sobą to krwawe widmo, niby kulę u nogi.

Siedział tak czas jakiś bez ruchu, bez pamięci o chwili obecnej, cały zatopiony w przeszłości, gdy w tem zbudziło go pukanie do drzwi. Drgnął cały i odezwał się:

— Proszę wejść!

Drzwi otworzyły się i stanął przed nim Jerzy Wilczek.

Sędzia nie wierzył własnym oczom. Ten chłopak, który, nawiasem mówiąc, najlepiejby zrobił. umknąwszy teraz cichaczem za granicę, sam oddawał się w jego ręce. Chyba nie domyślał się nawet, co mu grozi, bo nie miałby twarzy tak spokojnej, ani takiej pewności siebie w obejściu. Jak mu to powiedzieć? jak go przygotować? Ach, Boże! Wiele, wiele dałby za to, żeby od tej sprawy ręce umyć.

— Siadaj, kochany panie Jerzy — przemówił z pewnem pomieszaniem. — Jakże się ma stryjenka?

— Dziękuję, nie źle — odrzekł młodzieniec, zajmując miejsce naprzeciw niego. — Dowiedziałem się, że mam być oddany pod sąd, czy tak?

Sędzia podniósł na niego oczy osłupiałe. Jakto! więc on wie i mówi o tem tak spokojnie? Wie o tem i sam przychodzi do niego, wykonawcy sprawiedliwości! Czy zmysły stracił?

Spokojny wzrok Jerzego zmieszał go. Spuścił oczy jak winowajca przed sędzią i rzekł nieśmiało, jakby prosił o przebaczenie:

— Tak jest, kochany panie Jerzy, tak. Prokurator królewski tego żąda: dziś odebrałem wezwanie. Przykro mi to... bardzo przykro... nad wszelki wyraz. Ach, co za nieszczęście! Jakaś ciężka, niemiła sprawa! Co na to powie pani Wilczkowa, biedna, szanowna kobieta? Jak ona to zniesie?.. Ale bo też poco było grozić deputa-

cyi i czynić jej zarzuty, nie mogąc ich poprzeć dowodami! Kochany panie, wierz mi pan, że bardzo na tem cierpię i postaram się... Kto wie.. chociaż wątpię.. ale jeżeli tylko będę mógł...

Sędzia wypowiedział te słowa z głębokim wzruszeniem. Sprawa, jaką miał podjąć, drogo go kosztowała.

Jerzy wysłuchał spokojnie.

— Ja zaś panie sędzio — przemówił — rad jestem, żeś pan już dostał ten rozkaz, bo na niego tylko czekałem.

Sędzia zerwał się z krzesła i wpatrzył się w Jerzego z trwogą, a wyraz twarzy jego okazywał wyraźnie, że go ma za waryata.

— Jestem przy zdrowych zmysłach — przemówił Jerzy z uśmiechem — dowody, potępiające deputacyę, zebrałem i mam przy sobie.

— Masz pan! — krzyknął sędzia wpadając z jednego zdumienia w drugie — pan.. je.. masz? Ależ jeżeliś je pan zdobył, dlaczegoś ich dotąd nie złożył w ręce władzy? Dlaczego pan czekałeś, aż prokurator przyśle rozkaz oddania pana pod sąd?

Jerzy popatrzył na niego z politowaniem.

— Bo wiedziałem, że jeżeli je złożę w ręce miejscowej władzy administracyjnej, to nigdy nie ujrzą światła dziennego — odpowiedział — a ja chcę nadać im jak największą jawność. Czekałem więc z niecierpliwością, aż mnie stawicie przed sądem kryminalnym. Przedstawię je przy śledztwie, a wówczas już się nic nie ukryje przed

oczyma sprawiedliwości. Winowajcy nie ujdą kary!

Sędzia zrozumiał teraz taktykę Jerzego, jego spokój i pewność siebie, zrozumiał i podziwiał w duchu rozum młodzieńca.

— Papiery te pokażę panu tymczasem prywatnie — mówił dalej Jerzy i podał mu gruby zwój akt.

Sędzia usiadł napowrót i, przysunąwszy bliżej lampę do siebie, zaczął rozpatrywać się w przedstawionych mu dowodach. Wszystko to były świadectwa prawomocne i kopie urzędowe, sporządzone wedle wszelkich wymagań procedury sądowej. Znać było, że je gromadził prawnik. Były tam wyciągi hipoteczne własności tych wszystkich domów, które deputacya fałszywie podawała, jako należące do kogo innego, wypłacając temuż pieniądze za nieistniejące kwaterunki, jak to publicznie Jerzy był zarzucał deputacyi wobec Niestatkowa; był wykaz domów wcale nieistniejących, a figurujących na rachunkach kwaterunkowych; były kopie kwitów likwidacyjnych, z owych domów zrobione, w mieście gubernialnem; były inne jeszcze dowody i świadectwa, które tu zadługo byłoby wyliczać. Rzucały jaskrawe światło na czyny deputacyi.

W miarę, jak sędzia karty przerzucał, sieć zmarszczek, pokrywająca twarz jego, stawała się coraz wydatniejszą, coraz większy niepokój malował się na twarzy, a cera jeszcze bardziej upodobniała się do pergaminu. Gdy przejrzał o-

statnią kartę i podniósł znużone oczy na Jerzego, młodzieniec zauważył, że był bardzo zmieniony.

— Ależ pan ich chcesz wszystkich posłać na szubienicę! — powiedział głosem bezdzwięcznym.

— Tak jest — odrzekł krótko Jerzy.

W oczach sędziego pojawił się ów wyraz przerażenia.

— Ach — jęknął — ci ludzie mają rodziny! Znalazłyby się może na ich korzyść okoliczności łagodzące. Jestem pewien, że nie są tak źli, jak ich czyny..

— Jeżeli się znajdą na ich korzyść okoliczności łagodzące, niech je w sądzie przedstawią. Nie zaprzeczam im prawa obrony, ale zbrodnia musi być ukarana. Ci, względem których oni dopuszczali się nadużyć, mieli także rodziny...

— Młodzieńcze! — rzekł sędzia z boleścią — gdybyś żył dłużej i więcej miał doświadczenia, wiedziałbyś, że okoliczności często człowieka mimowolnie popychają do grzechu i że zasadą sprawiedliwości powinno być zrozumienie natury ludzkiej i jej niedoskonałości; że częściej należy przebaczać, niż karać...

— Można przebaczyć występek, popełniony na jednej lub dwóch osobach, ale niema przebaczenia za ucisk setek i tysięcy ludzi — odrzekł Jerzy surowo — niema przebaczenia za łzy uciśnionych, za poniewieranie godności ludzkiej w człowieku, za samowolę, prywatę, za ustawiczne

gaszenie ducha. Gdy gangrena pojawi się w ręce lub nodze, odcina się ją dla uratowania człowieka; uczynić nieszkodliwemi na zawsze takie indywidua, zetrzeć je w proch, jest to oddać przysługę miastu i społeczeństwu, którego sokami się karmią.

— Mówisz pan jak sędzia i anatom, ale nie jak chrześcijanin — szepnął zgnębiony, bo zawziętość, z jaką Jerzy pragnął kary na winowajców, i rozgłos, jaki ta sprawa miała przybrać, przejmowały go strachem.

— Pan za to, panie sędzio, mówisz nie jak wykonawca sprawiedliwości, ale jak kapłan i obrońca. Gdy ci panowie staną nareszcie przed kratkami sądu, prawo da im obrońcę i kapłana w razie potrzeby. Teraz chciej pan wrócić do swej roli i wykonać rozkaz prokuratora. Racz mnie pan zawezwać do tłómaczenia!

Sędzia przesłonił oczy ręką.

— Nie teraz — rzekł po chwili — dziś już późno. Wracaj do domu panie Jerzy. Jutro przyślę do pana wezwanie. Jesteś pan straszny człowiek!

Jerzy podał mu rękę i, zabrawszy swoje papiery, wyszedł.

Gdy sędzia sam pozostał, długo, bardzo długo siedział nieruchomy z oczyma w jeden punkt utkwionemi. Co tu robić? Co robić? Jak znaleźć wyjście z trudnego położenia? Jerzy nie ustąpi, wiedział o tem dobrze; była to natura twarda, uparta, jak zresztą wszystkich Wilczków.

Łatwiej złamać żelazo, niż wolę tych ludzi; żadna perswazya, prośby, na nic się zdadzą. Zresztą choćby nawet stał się ten cud, to byłby bezużytecznym, bo Jerzy musi pójść pod sąd — a wtedy we własnej obronie przedstawi zebrane dowody — i niepodobna nawet wymagać od niego, żeby się tego zrzekł... A dopuścić do sprawy, posiadającej wszelkie warunki stania się rozgłośną, sprawy, o której dzienniki będą pisały długo i szeroko, jest to pożegnać się na długo z życiem spokojnem wśród ulubionych kwiatów.

Inny sędzia rad byłby może sprawie, mogącej rozsławić jego imię; ale nasz znajomy wolał pozostawać w cieniu i niczyjej uwagi na siebie nie zwracać, ale także nie narażać się półkownikowi i naczelnikowi. Gdyby mógł, wraz ze swymi kwiatami odgrodziłby się od świata murem chińskim. O! niech mu już raz ludzie przestaną podawać skargi i wyznawać swoje zbrodnie, niech mu dadzą pokój! Jak tu zalecać długie lata więzienia dla ludzi, z którymi się wczoraj jeszcze siedziało przy jednym stole, których się ściska za rękę i spotyka dwa razy dziennie na ulicy, mówiąc »dzień dobry« i »dobry wieczór«. On, co nigdy nikomu się nie naraził, on, co dla dziecka nawet był uprzejmy, wzdrygał się na samą myśl o tem.

Sumienie mówiło mu wprawdzie, że sprawiedliwość nie zna przyjaciół i znajomych, i dlatego właśnie wyobrażają ją z zawiązanemi oczy-

ma ; ale ta ślepa sprawiedliwość wydawała mu się dziś jakąś instytucyą okrutną i straszliwą, jak miecz, który spadając nie pyta, w co uderzy. Wyobrażał sobie hałas, jakiego ta sprawa narobi, gwałtowne wrzenie w mieście i owe pytania, jakiemi go wszycy będą zarzucali — bo co innego stawić przed kratkami sądu pojedynczego zbrodniarza, a co innego całą gromadę oszustów, zajmujących dotąd urzędowe stanowiska, posiadających wpływy i słusznie czy niesłusznie cieszących się pozorami szacunku. Dzwonek nie umilknie w przedpokoju przed natręctwem ciekawych, a on nawet nie będzie miał czasu podlać swoich ulubionych kwiatków. On, co tak wzdychał do spokoju, wstrząsał się na samą myśl o tem.

Sędzia śledczy nie kładł się wcale tej nocy; wertował on artykuły prawa i pracował myślą tak usilnie, że aż czoło pokryte było kroplami potu. Przypomniał sobie niewyraźnie, że istnieje przepis, mogący go wybawić z kłopotu; czytał go niezbyt dawno, a nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Nareszcie o mało nie wykrzyknął z radości: W »Senackich wiadomościach« z r. 1870 nr. 314 opisuje: że tylko obraza urzędnika na służbie karana ma być oddaniem pod sąd; a jeżeli kto ogółowo ubliży kilku urzędnikom, to karze nie podlega. Napisał przeto natychmiast raport do prokuratora królewskiego, że Jerzy Wilczek nie kwalifikuje się do kary, ponieważ nikogo nie obraził pojedynczo, tylko deputacyę

»in gremio«, a za to, według takiego a takiego paragrafu, odpowiadać nie potrzebuje.

Skończywszy pisanie raportu, odetchął nareszcie, jak człowiek, któremu spadł z piersi wielki ciężar, i zgasił lampę. Przez okno wchodził już blady świt poranku i obłoki poczynały się zabarwiać na różowo.

Sędzia zbliżył się do okna, zwrócił oczy najprzód w stronę wschodzącego słońca i westchnął, a potem spuścił je na paprocie, stojące w doniczkach na oknie. Była tam *Gymnogramma*, roztaczająca wielkie, wspaniałe liście; było *Politrichum* z długiemi, wązkiemi jak pióra; było drobnolistne *Trichomanes* i *włosy Wenery*, których szerokie, pajęczej delikatności liście, współzawodniczyć mogły z najwytworniejszemi koronkami. Tu i ówdzie z korzeni wychodziły młodziutkie wypustki, w kształcie malutkich pastorałków.

— Natura obumiera i odradza się ciągle, tylko człowiek z obumarłem sercem nie może się odrodzić — szepnął. — Natura jest pełna harmonii i mogłaby dać ludziom szczęście, gdyby byli więcej posłuszni jej prawom; ale oni gwałcą ją ciągle...

Tu w myśli jego stanęło krwawe widmo, jakby pytając, czy nie było pogwałceniem wszelkich praw natury, że młodzieniec, pełen nadziei, zdolności i energii, umierał w kwiecie wieku? i oczy jego przybrały znowu wyraz przerażenia.

— »Zbrodnia musi być ukarana« — szepnął powtarzając machinalnie słowa Jerzego. Zdjął z

szafy kawał muślinu, zmaczał go w miednicy, wycisnął lekko i drżącemi rękami rozpostarł na liściach paproci. Miało to im dać złudzenie gęstego pokrycia ciemnic leśnych i powietrze przesycone wilgocią, którą liście paproci pochłaniają chciwie.

Raport sędziego usunął możność wykrycia nadużyć przez śledztwo sądowe. Deputacya, widząc się tym manewrem ocaloną, nie gniewała się za taki obrót sprawy, a pomszczenie obrażonego honoru odłożyła na później. Gubernator był także kontent, że się uniknęło skandalu; że zaś sędzia w raporcie do gubernatora nic o dowodach, zgromadzonych przez Jerzego nie wspomniał, więc nabrał przekonania, że deputacya, o ile działalność jej nie dotyczyła rodziny Wilczków, niewinnie została spotwarzoną. Tak tedy trwożliwość jednego człowieka i jego pragnienie spokoju obróciły w niwecz kilkomiesięczną walkę, działalność i energię Jerzego — otwierając znów pole nadużyciom i samowoli wszechmocnych.

Jerzy napróżno nie wychodził z domu od rana, oczekując przybycia woźnego sądowego; natomiast przyniesiono mu około południa list od sędziego, w którym prywatnie zawiadamiał go, że jest uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności. Przeczytawszy to, młodzieniec zbladł jak płótno i podał list w milczeniu pani Wilczkowej.

Staruszka przejrzała go uważnie; lekkie drżenie przebiegło po jej twarzy, i popatrzyw-

szy na synowca, którego wzrok błyszczący, głęboka zmarszczka, idąca wzdłuż czoła i wargi silnie zaciśnięte, znamionowały gniew tłumiony gwałtownie, siłę woli i zaciętość, spytała:

— I cóż, wyrzeczesz się teraz dalszej walki i pojedziesz do Paryża?

Jadzia, obecna przy tej rozmowie, podniosła oczy na kuzyna i wstrzymała oddech, czekając odpowiedzi. Zdawało się, że cała jej dusza zawisła w tym wzroku.

— Nie — odrzekł głosem, w którym drgały wszystkie tłumione namiętności — nie! Żaden Wilczek nie cofał się w pół drogi i ja się nie cofnę. Jestem tu i zostanę.

Niezwykły blask rozpromienił lica staruszki: oczy jej zajaśniały szczęściem i dumą.

— Takim cię chciałam widzieć! — szepnęła — takim: wytrwałym, mężnym, niestrudzonym. Niech ci Bóg błogosławi!

I odwróciła głowę, żeby ukryć łzy.

I oczy Jadzi zajaśniały także dumą. I ona takim go widzieć pragnęła, takim właśnie. Wpatrzyła się z miłością, w to szlachetne, prawdziwie męzkie oblicze — i gdyby Jerzy był widział ten wzrok, odgadłby niezawodnie tajemnicę jej serca. Ale on tego nie widział. Nie istniały dla niego w tej chwili uroki oczu niewieścich. Wpatrzony w głębię własnego ducha, obliczał swoje siły i szukał sposobów polepszenia doli tego miasta, które zaczynało już stawać mu się drogiem za cenę ofiar, jakie dla niego ponosił.

XXVI.

Nikt nie był obecnym przy rozmowie Jerzego z sędzią śledczym. A jednak tajemnica jej wydostała się jakimś cudem za mury tego pokoju, bo interesowani przestali się nagle drwiąco wypytywać, dlaczego Wilczek nie składa obiecanych dowodów, a natomiast zapanowało między nimi głuche milczenie. Rzekłbyś, że anioł snu czy śmierci przeleciał nad miastem, tak nagle zrobiło się cicho. Ustały wszelkie zaczepki, odgrażania się i spojrzenia wyzywające. Przedstawiciele władzy chodzili zamyśleni, skupieni w sobie, a przy spotkaniu z Jerzym kłaniali mu się grzecznie, szybko go mijając. Poczciwi mieszczanie aż się dziwili temu pokojowemu prądowi; a nie słysząc, jak to dawniej bywało, ani od rajców, ani od burmistza złośliwych i niechętnych o młodzieńcu uwag, wytłómaczyli sobie, że jak oliwa wypływa na wierzch, tak Jerzy przez swoją dzielność i szlachetność wypłynął nareszcie ponad wszelkie stronnicze zawiści i władza poznała się na nim.

Gdy jednakże Jerzy żadnych kroków nieprzyjaznych nie czynił i zdawało się, że wszelkiej

walki zaprzestał, ucisk dawniejszy deputacyi kwaterniczej, który pod wpływem trwogi na chwilę był przycichł, powstał na nowo. Mieszkańcy zaczęli sarkać i grozić, że będą się skarżyli tak samo jak Wilczek; ale członkowie deputacyi w oczy im się śmiali, a Frytz powiedział bez ogródki:

— A cóż Wilczek dokazał? Hrabia u niego jak siedział tak siedzi, choć stara słała skargi Bóg wie gdzie i sama chodziła do gubernatora. Oni nic nie wskórali, a my za gorliwość dostajemy ordery!

Ale nie długo trwał ten tryumf. Sprawdziły się tu słowa Pisma Świętego: »Kto się podwyższa, będzie poniżony« — bo oto gubernator, uznawszy, że czas spełnić polecenie naczelnika kraju i rozpatrzywszy się w papierach, wręczonych mu prze panią Wilczkową, przysłał rozkaz, aby dla pułkownika przygotowano inną kwaterę, i musiało się stać zadość jego woli.

Był to istny sądny dzień w ratuszu; nie było wprawdzie płaczu, ale nie obyło się bez zgrzytania zębów — a nikt nad tem wszystkiem nie cierpiał tak bardzo, jak kwatermistrz. Od czasu przybycia Jerzego do Kozłowa, powierzchowność tego człowieka zmieniła się tak bardzo, że trudno go było poznać: pożółkł, schudł, postarzał, a plamy wątrobiane na jego twarzy stały się gęstsze i ciemniejsze. Nienawiść przygarbiła go nawet, dawniej chodził prosto, teraz się znacznie naprzód pochylił. Ze zdziwieniem patrzono na

niego. Inni członkowie deputacyi kwaterniczej bardzo pospuszczali nosy na kwintę. Höhne rozmyślał, czyby lepiej dobrowolnie worywania się w grunta miejskie nie zaprzestać, bo Wilczek gotów jeszcze tę sprawę poruszyć; Lebich uczuwał niepokój, prawie pewność, że się od aresztu za ową przygodę z chlebem nie wykręci. Jeden tylko burmistrz nie stracił ani humoru ani apetytu, bo miał żołądek najstrawniejszy ze wszystkich. Na dobitkę rozeszła się pogłoska, że deputacya obywateli ma jechać do gubernatora, z prośbą, aby pozwolił zwrócić sztandar straży ogniowej; i niewsmak też poszło panom rajcom, że książe dowie się o niefortunnym końcu tej smutnej historyi — chociaż domyślano się, że jeżeli gubernator na pytania władzy kozłowskiej w przedmiocie sztandaru nic nie odpowiedział, to i deputacya nic się od niego nie dowie, a może nawet nie zostanie przyjętą.

Wszyscy byli ciekawi, jak wobec tego wszystkiego zachowa się Jerzy — ale on się zachowywał tak, jakby o swoim tryumfie nic nie wiedział: ani się z niego chełpił, ani usiłował zwyciężonych upokorzyć. A jednak był to spokój pozorny tylko, któremu nikt nie ufał.

W kilka dni po opuszczeniu przez hr. Redena domu pani Wilczkowej, rozeszła się inna wieść po mieście i krążyła już stale, powtarzając się coraz częściej z różnymi waryantami. Mówiono o wybraniu Jerzego na członka deputacyi kwaterniczej, a była to wieść prawdziwie

hiobowa. Mieszczanie, ci potulni mieszczanie, co dotąd nie wiedzieli o niczem i o nic nie pytali, zostawiając troskę o losy miasta magistratowi i sławetnym rajcom, przypomnieli sobie nagle, że według przepisów, wybory do deputacyi kwaterniczej co rok odbywać się powinny i pytali się szyderczo deputatów, czy ich urzędy są dożywotnie. Tego już było nadto! Żaden z członków: ani Frytz, ani Höhne, ani Lebich, ani Hand, a tem mniej Kurtz, nie myśleli ustąpić; ale ten niedołęga Służalski, reprezentujący żywioł rdzennie miejscowy, odgrywający na wszystkich posiedzeniach rolę manekina i dlatego właśnie tolerowany, pragnął się wycofać. Na jego miejsce mieszczanie chcieli postawić swojego kandydata. Kto zaś miał być tym kandydatem, tego wszechmocni nie potrzebowali się nawet domyślać, bo dobrze to przeczuwali.

Dotąd wszelkie tego rodzaju wybory bywały tylko czczą formalnością, bo co postanowiono z góry w ratuszu, to wyborcy, z najniższych warstw mieszczaństwa kozłowskiego powołani, a stojący po stronie siły, której się obawiali, zatwierdzali z zamkniętemi oczyma, inteligencya bowiem nie chciała się mieszać do niczego. Ale teraz sumienie obywatelskie zbudziło się nareszcie ze snu długiego: Jerzy je poruszył. Widząc, że nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać, że się pozbył Redena i pomimo wojny, wydanej otwarcie magistratowi, żyje jednak — postanowili go wybrać na członka i rozpoczęła się w mieście agi-

tacya wyborcza, niebywałych dotąd rozmiarów. Magistrat patrzył osłupiały i przerażony na to, co się dzieje, ale bezsilnym był wobec ustaw.

W trosce tej, jak we wszystkich ważniejszych, lew kozłowski zwrócił wzrok, pełen niespokojnego oczekiwania, ku wielkiemu dyplomacie. Wyrok, jaki padł z Jowiszowych ust, był następujący: nie stawiać przeszkód żadnych wyborom, nawet zachować się względem nich życzliwie, ale przeprowadzić własnego kandydata. Wyrok przyjęto, jak zwykle, w pełnem uwielbienia milczeniu; tylko kwatermistrz zachował się wobec niego pesymistycznie. Od czasu wybrania Jerzego na naczelnika straży ogniowej, od chwili, gdy gubernator uczcił ich wszystkich przydomkiem: *asinus*, Jowisz kozłowski stracił w jego oczach wszelką powagę. Nie wierzył już w jego mądrość i miał słuszność.

Wbrew przewidywaniom Jowisza i całego Olimpu, mieszczanie przypomnieli sobie przepisy wyborcze i wybrali najprzód dwunastu przedstawicieli miasta, z których większa część należała do inteligencyi, bo znajdowali się w tej liczbie: dwaj aptekarze, inżynier, doktór Jacenty, rejent, Nejman prezes dozoru kościelnego i Hammer, któremu Jerzy uratował matkę z płomieni. Był to największy jego sprzymierzeniec: siedział cicho, póki jego pomoc nie była potrzebną, a gdy uznał, że się swemu dobroczyńcy przydać może, wystąpił. Ze strony magistratu kandydatem był Iwaszow, kupiec niedawno w Kozłowie osiedlony.

Burmistrza, gdy ujrzał zgromadzenie wyborcze całkiem odmienne od tego, jakie się tam zawsze w podobnych okolicznościach zjawiało — zgromadzenie, którem nie można było poniewierać, bo chciało mieć własną wolę — opanowała głęboka melancholia i nie śmiał się co chwila w kułak, jak to miało miejsce przy wyborach na naczelnika straży ogniowej. Nie było tu wcale materyału na krotochwilę — zdawało się nawet, iż epoka krotochwil skończy się na zawsze, a rozpocznie się akcya całkiem seryo, akcya, mająca prostotę świadomości i jej siłę.

Zajęto ławy w ratuszu. Burmistrz wzdychając przedstawił kandydata urzędowego, wyborcy jednak postawili swego; ci, co w ich liczbie należeli do stronnictwa rządowego, umilkli wkrótce, wobec znacznej większości tamtych, którym przewodniczył najbogatszy w mieście przemysłowiec Hammer. Kandydatem tym był nikt inny, tylko Jerzy Wilczek, i wybrany został znaczną większością głosów.

Spisano protokół; a podpisali go wyborcy oraz urzędnik, delegowany od naczelnika powiatu na wybory — i złożono w ręce burmistrza, obowiązanego przedstawić go do zatwierdzenia. Po rozejściu się wyborców wszechmocni pozostali sami i spoglądali jeden na drugiego zakłopotani i bezradni, jakby się pytać chcieli siebie nawzajem, co teraz będzie?

Jowisza olimpijskiego z nimi nie było. Siedząc w swoim prywatnym gabinecie i wygładza-

jąc kończyny paznokci, czekał na wiadomość o rezultacie wyborów, bo nie wypadało mu publicznie i jawnie do wszystkiego się mieszać, tak jak to się mieszał skrycie. Czyż wreszcie nie na tem sztuka wielkiej dyplomacyi polega, żeby, nie ruszając się pozornie z miejsca, naciskać zręcznie sprężyny ukryte i kierować wypadkami i ludźmi często bez ich własnej nawet świadomości? Wogóle poglądy Gonczarowa na politykę wewnętrzną zmieniły się do pewnego stopnia od czasu ostatnich wypadków w mieście — ale nie sądził, aby mu to przynosiło ujmę. Najwięksi mężowie stanu często odstępowali od swoich przekonań i ubierali się coraz w nowe, stosownie do wymagań chwili i dla prędszego osiągnięcia swoich celów. Wszystkie środki są dobre, które do celu prowadzą! Siedział więc i dumał, a w ratuszu siedzieli członkowie deputacyi, spoglądając na siebie w milczeniu. W żaden sposób nie można było pozwolić na to, aby Wilczek, człowiek, który wymierzył policzek deputacyi i wypowiedział jej walkę na śmierć i życie, wszedł do jej grona: bo wejście to byłoby hasłem obalenia wszystkich dotychczasowych członków, byłoby to oddać się zupełnie w jego ręce i dostarczyć dowodów przeciwko sobie; bo wszystkie papiery, rachunki byłyby dla niego dostępne, wszelkich narad on byłby uczestnikiem. Wówczas nicby się nie ukryło przed jego bystrym wzrokiem; deputacya musiałaby działać jak prawo każe, jeżeliby nowego członka deputacyi kwaterniczej nie przeciągnęła

na swoją stronę. Ale o tem myśleć nawet nie można było. Hand się odezwał, że może stawszy się jednym z nich, złagodnieje trochę, jak bywa nieraz z podobnymi jemu bohaterami. Była to pociecha, w której skuteczność sam nie wierzył. Burmistrz roześmiał się szydersko.

— Moi panowie — odezwał się — mówiłem wam już na tem samem miejscu przed 6 miesiącami, że ten chłopak ugryzie rękę, któraby go pogłaskać chciała; ale dziś zmieniam zdanie: on ją zgruchocze!

Głuche milczenie zaległo salę.

Burmistrz któremu żołądek dość natarczywie już przypominał, że to pora obiadowa, przerwał narady odłożeniem sprawy do jutra; ale gdy wszyscy wyszli, kwatermistrz został jeszcze i przedstawił ojcu miasta pomysł nie jowiszowy wprawdzie, ale praktyczny. Burmistrz przynajmniej uznał go za taki, rad, że choć raz obejdzie się bez przewagi umysłowej, bez moralnego nacisku wielkiego dyplomaty.

— Miasto, to ja! — powtarzał sobie, z przejęciem uderzając się w piersi. Stać mnie na moją własną politykę; nie potrzebuję się nikogo radzić, bo wiem, co mam robić.

Treść narady pozostała w tajemnicy.

Wielki dyplomata tymczasem, odebrawszy wiadomość o rezultacie wyborów, rozmyślał dalej nad położeniem, w ciszy swojego gabinetu. Świeży numer *Moskiewskich Wiadomości* leżał przed nim, ale on go nie czytał, choć oczy je-

go błądziły czasem po nim, machinalnie. Rozmyślając nad szybko wzrastającą w mieście potęgą Wilczka, po którego stronie stawał z początku, szydząc z kwatermistrza, gdy ten uważał go za niebezpiecznego — przyszedł do przekonania, że Jerzy sam nie wytrwałby ani w swoim oporze, ani w walce, gdyby za nim nie stał ktoś inny, co mu dodaje odwagi, popiera go i buntuje. Tym kimś nie był nikt inny, tylko baron. Przyjaźń łącząca tych dwóch ludzi, nikomu nie była tajną. Widywano ich często razem i wiedziano, że baron bywał u Jerzego częściej, niż tego wymagał jego urząd prezesa straży ogniowej. On mu pomógł uzyskać zatwierdzenie na naczelnika straży, czem pokrzyżował mądre plany władz kozłowskich i kto wie, czy to nie on, będący w stosunkach dawnej osobistej znajomości z gubernatorem, przyczynił się do tego, że Jowiszowi kozłowskiemu dostał się tytuł *asinus*! Samo to przypuszczenie wywołało u Gonczarowa nerwowe mruganie powiekami.

Czy jednak dobry patryota powinien tak postępować? On, Gonczarow, starał się usilnie o popularność, a nie udało mu się uzyskać nawet w połowie takiej, jaką posiadał baron, który się o nią wcale nie starał, a przynajmniej nigdy o niej nie mówił. On, Gonczarow, wszędzie i zawsze miał na celu politykę wewnętrzną i zewnętrzną, nigdy nie spuszczał jej z oczu; a baron zdawał się nie dbać wcale o politykę, nawet nie wiedzieć o jej istnieniu. Gonczarow patrzył da-

leko, a baron patrzył blizko — ta była między nimi różnica. Co jednak sprawiło, że człowiek ten, o wiele uboższy w przymioty, potrzebne urzędnikowi, popularniejszy był od niego? Gdzie był cudowny talizman, jednający dlań sympatyę żywiołu polskiego? Gdy on, Gonczarow, wiele i głośno mówił Polakom o dobrodziejstwie utonięcia w morzu słowiańskiem, baron milczał; gdy on prawił słodkie słówka, baron często szorstką prawdę powiedział — a przecież słuchano go chętniej, niż Gonczarowa. Gdy on, Gonczarow, wydawał bal, nie żałując kosztu i trudu, żeby godnie spełnić obowiązek reprezentacyi stanowiska, obywatele wiejscy zawsze wtedy chorowali, a z miejskich nikt nie przychodził prócz urzędników z żonami, które ostatecznie nie chciały tańczyć i siedziały milczące, jakby zapomniały języka w gębie; a na skromnych zabawach, urządzanych przez barona, nigdy nie brakowało gości. Mężczyźni się z nim przyjaźnili, damy go lubiły, choć się do nich brać nie umiał, a on, Gonczarow, przez kilka lat gorliwej pracy w tym kierunku, doczekał się od jednej tylko komplementu i to nazbyt energicznego, który też zniechęcił go do wszystkich. Co w tem jest? Polacy nie lubią Niemców; baron jednakże Niemiec, a przepadają za nim! Nic innego, tylko czują w nim przychylność dla polskiego żywiołu. Na zabawie z tombolą, urządzonej przez barona na dochód straży ogniowej, szałas, w którym ciągnięto bilety, miał barwy białe, amarantowe i nie-

bieskie, zamiast czarno-żółtych, jakby to lojalny urzędnik uczynił, — a pary w krakowskich kostyumach śpiewały polskie piosneczki i tańczyły jakiegoś rewolucyą pachnącego krakowiaka. Gdy zaś on, Gonczarow, chciał urządzić zabawę kostyumową i prosił kilka pań, żeby wystąpiły w kokosznikach, wymówiły się niechęcią do kostyumów.

I tak wysnuwając wnioski jedne z drugich, jakby odwijając nić z kłębka, Gonczarow o wszystko, cokolwiek się stało w Kozłowie w ciągu ostatnich miesięcy, obwiniał barona. W końcu powiedział sobie, że dobry, sumienny urzędnik powinien zawiadomić o tem poufnie władzę, aby wiedziała, jakimi się posługuje ludźmi — i że ci, w których rząd pokłada nadzieję, że będą rozsadnikami moskiewszczyzny, sami polszczeją.

Gdy doszedł do przekonania, że władzę zawiadomić trzeba i utwierdził się w niem, zaczął szukać w myśli człowieka, któryby się tego podjął, ale nie znalazł nikogo zręczniejszego od siebie. On jeden tylko umiał wszystko dobrze obmyśleć i dyplomatycznie wykonać. Wprawdzie sprawa to nader delikatnej natury, bo baron był jego przyjacielem, a pani naczelnikowa lubiła z nim rozmawiać i grywać w szachy, tak samo jak z hrabią. Baron zatem był jego przyjacielem. Pisać doniesienie przeciwko niemu, będzie to dla niego rzeczą niezmiernie przykrą, ciężką a na-

wet bolesną; ale czyż nie należy spełnić poświęcenia dla dobra ojczyzny?

Polityka nie cierpi sentymentalizmu, a prawdziwy patryotyzm nie ogląda się na nic. Dla patryoty niczem jest poświęcić rodzinę, mienie, życie, mniejsza więc o przyjaciela! Polacy uwielbiają pamięć jakiegoś Kaspra Karlińskiego, który sam wycelował armatę w piersi swojego syna, a ty, człowieku słaby, wahasz się poświęcić barona.

Tak rozgrzeszywszy sumienie swoje ze skrupułów, zaczął pisać. Operat jego był prawdziwem arcydziełem geniuszu politycznego. Rzuciwszy kilka zdań ogólnych, misternie zaokrąglonych, o polityce wewnętrznej rządu w kraju przywiślańskim, przeszedł do szczegółów i oddawszy wszelkie należne pochwały baronowi, wyraził głęboki żal, że człowiek takiej wartości schodzi na manowce przez zbyt wygórowany sentymentalizm. On, rosyjski urzędnik, rozsyłał zaproszenia na zabawy w polskim języku, tolerował polskie kostyumy i pozwalał śpiewać pieśni narodowe. Tak postępować, nie jest to działać w myśl rządu.

Baron zostaje w stosunkach ścisłej przyjaźni z Wilczkiem, przedstawicielem skrajnego stronnictwa narodowego i demagogiem, i w znanej sprawie o kwatery otwarcie stanął po stronie Wilczków, zanim jeszcze przekonał się, czy mają słuszność lub nie. Baron nakoniec, jako włościański komisarz, może nie dobrze oddziałać na lud,

który uwielbia teraz pamięć Oswobodziciela. Tacy sentymentalni, choć szlachetni działacze, jak baron, bezwiednie wchodzą na złe drogi i, pomimo wielkiego patryotyzmu, krzyżują zamiary rządu.

Wszystkie te zasadnicze myśli były umiejętnie rozwinięte, wymotywowane i tak postawione, że potrącały o inne niedopowiedziane, ale nasuwające się mimowolnie czytającemu, prawem kojarzenia wyobrażeń. Było to prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju. Czytający widział, że piszący cierpi, wypowiadając to, co wypowiedzieć uważa za święty obowiązek; że prawda wyrywająca się z pod pióra, pisana jest krwią jego serca!...

Skończywszy, odczytał i uśmiechnął się z zadowoleniem, mówiąc:

— Pozna książe, kogo to nazwał *asinus*.

Jednocześnie spostrzegł, że wszystko to, co od początku do końca o Wilczku napisał, mówił mu już oddawna kwatermistrz. Niemiłą mu była myśl, że człowiek ten choć nie dyplomata dalej widział od niego — to też cały ten operat, miał być zachowany w głębokiej tajemnicy, żeby Kurtz nie dowiedział się, że miał słuszność. Tych osłów nie należy nigdy do konfidencyi dopuszczać, żeby im się nie zdawało, że coś znaczą.

Ale nie na tem był koniec planu Gonczarowa. Zaprosił tegoż wieczora do siebie na herbatę dwóch naczelników: żandarmów i straży ziemskiej, i długo z niemi o położeniu kraju, polityce wewnętrznej rządu i sprawach miejskich ro-

zmawiał. Tutaj znowu Gonczarow dał dowód głębokiego rozumu politycznego, działając na umysły swoich gości przez »poddanie« (suggestię). Zostawił on im zupełnie własność inicyatywy; bo po odejściu, każdy z nich, nie wiedząc o drugim, doniósł gubernatorowi, że baron, jako prezes straży ogniowej pozwala swemu podwładnemu Wilczkowi, który bezustannie odstępuje od ustawy, formować pod pozorem straży awangardę nadgraniczną, bo ich uczy mustry wojskowej i tylko broni im brakuje, aby byli kompletnie wyćwiczonym oddziałem.

Wskutek tych trzech zgodnych doniesień, wywiązała się tajna korespondencya między tymi panami a wyższą władzą, a następnie tajne śledztwo, mające na celu osobę barona, który nie domyślał się niczego w swojej prostocie. Bywał on po dawnemu serdecznie przyjmowany u Gonczarowa, grywał z jego żoną w szachy i wyśpiewywał z nią duety.

XXVII.

Stosownie do paragrafu czwartego ustawy, Jerzy zawiadomił członków komitetu straży, że wyjeżdża na dwa tygodnie. Wiadomość ta, dostawszy się natychmiast do ratusza, dała do myślenia wszystkim interesowanym: gdzie Wilczek wyjeżdża i po co? Czy znowu chce wnosić jakie skargi? Ale pocoby miał skarżyć, kiedy osięgnął, czego pragnął, pozbył się kwatery Redena?

A może myśli opuścić Kozłów, może wyjeżdża, aby więcej nie wrócić i wstyd mu tak odrazu przyznać się do tego. — Ale gdzie tam! powiedział przecież: »Jestem tu i pozostanę« — i sam dyabeł go się nie pozbędzie. Napędził on znowu w tych czasach niemało strachu członkom deputacyi, a zwłaszcza kwatermistrzowi, dopominając się w imieniu pani Wilczkowej o wynagrodzenie pieniężne za postój jenerałów, mający jeszcze miejsce za życia śp. Wilczka — wynagrodzenie, które powinno było dojść jej rąk jeszcze przed dwoma laty. Miał ten człowiek szczególny dar wyciągania takich zapomnianych, niepotrzebnych rzeczy!

Po wyjeździe Jerzego, pani Wilczkowa, nie ruszająca się nigdy nigdzie z Kozłowa, wyjechała także z wnuczką do krewnych, zamieszkałych w sąsiedniem powiatowem mieście. A co to miało znaczyć? Czyżby cała rodzina chciała się wynieść? Ach, to byłoby najlepiej! Owczarnia, oswobodzona od wilków, mogłaby odetchąć swobodnie.

Ale niestety, marzenie to nie miało się wcale ziścić. Wszyscy powracali kolejno: naprzód pani Wilczkowa z wnuczką, a potem Jerzy. Ten ostatni jednak, przedłużając swoją nieobecność nad termin, długo utrzymywał wszechmocnych w błogiej nadziei, że go nie ujrzą więcej.

Późno było, gdy Jerzy wracał ze swej podróży do Kozłowa. Słońce już zaszło i krajobraz poczynał lekko ciemnieć w zapadającym mroku. Przejeżdżając około cmentarza, patrzył w zamyśleniu na wzgórze, zasiane mogiłami i najeżone krzyżami. Gdy tędy jechał na wiosnę, krzyże te i mogiły tonęły w zieloności drzew i krzewów — a teraz drzewa i krzewy potraciły liście, krzyże więc sterczały wśród nich posępnie i sieroco. Paprocie pożółkłe były od słońca, wrzosy przepalone, a całe wzgórze zasłane poczerniałemi, opadłemi liśćmi i igliwiem. Jesień rozpostarła wszędzie swoje panowanie i jakiś dziwny, przenikający smutek unosił się nad tem wszystkiem. Białe nitki babiego lata, pozaczepiane na gałęziach, nasuwały na myśl pozrywane pasma ludzkich nadziei i marzeń; a liście, chwilami uno-

szące się z ziemi za silniejszym wiatru powiewem i opadające znowu z szelestem, i jakieś dalekie a niepochwytne echa, brzmiały jak ciche, żałosne westchnienia.

Jerzy, porównywając w myśli obraz, na jaki patrzył w tej chwili, z tym, jaki widział wśród rozkwitającego lata, porównał mimowoli siebie z tym młodzieńcem, jakim był jeszcze przed kilku miesiącami, pełnym nadziei i marzeń o szczęściu — i patrzył na swój ówczesny obraz moralny, jak na innego zupełnie człowieka, jak na coś obcego, co już do niego nie należało. Wytężył wzrok w stronę, gdzie się znajdował grób »dobrego obywatela«, ale nikogo tam nie dojrzał. Teraz, gdy jesień ogołociła drzewa z liści, każdy szczegół zdaleka można było dokładnie okiem ogarnąć. Nie było tam jej — tylko przy grobie sterczał samotnie krzak jałowcu, za którym wówczas ukryty, patrzył na jej robotę około ozdobienia bluszczem grobowca. Nie pojmował sam, czemu wzrok uparcie wytężył w tę stronę, kiedy tej, co tam stała wtedy, nie pragnął ujrzeć w tej chwili. Nie kochał jej już — tak mu się przynajmniej zdawało.

Znużony długiem siedzeniem na bryczce, kazał stanąć i wysiadł, a konie odesłał do domu, pragnąc wyprostować nogi trochę spacerem. Około wrót cmentarnych coś się ruszyło. Jerzy drgnął cały: Czyżby to była ona? Czy znowu nieszczęsnym trafem ma ją tu spotkać? Ale nie, to nie ona, omylił się. Z murawy powstał człowiek ja-

kiś i szedł ku niemu, a gdy postąpił kilka kroków, Jerzy poznał swego towarzysza zabaw dziecinnych i kolegę ze szkoły elementarnej, Franka ślusarza.

— O panie Jerzy, jak to dobrze, że pan powrócił — wołał zdaleka — takeśmy pana, takeśmy ciebie wyglądali! Jużeśmy stracili nadzieję, że będziemy pana, że cię będziemy oglądali, chociaż panienka mówiła, że pan przyjedzie z pewnością. Od czasu jak pan wyjechał, jakeś wyjechał, źle się u nas dzieje; to też ja sobie wyszedłem po robocie przejść się trochę i myślę: a kto wie, może Bóg da, że go spotkam.

Jerzy uścisnął mu rękę i zapytał.

— Mówiłeś Franku, że źle się dzieje u was: a cóż takiego?

— Najprzód ten złodziej Lebich: póki pan był, to się bał, więc piekł większe bułki; a jak się tylko dowiedział, że pana niema, tak zaraz zaczął trochę mniejsze, choć nie takie malutkie jak wtenczas. Pan nastawał na to, żeby go oddać pod sąd; ale jak tylko pan wyjechał, jak tylko wyjechałeś, tak zaraz burmistrz powiedział, że sprawa przedawniona. A jak my zaczęli sarkać, tak wezwał Handa i Antka, który chodził po bułki, i jak na nich krzyknął ostro, żeby nie kłamali, tak się zlękli i zeznali na korzyść Lebicha, zmieniwszy zupełnie poprzednie zeznania. Złodziej, zamiast iść do kozy, zapłacił dwa ruble na szpital i tyle.

Jerzy wysłuchał w milczeniu i zapytał:

— Cóż więcej?

— Hönemu oddano restauracyę szkoły elementarnej sposobem administracyjnym, dla braku licytantów i dał psia wiara Niemiec cegłę źle wypaloną. Mój brat przy tem robi, i mówi, że mu się w rękach kruszy.

— Cóż więcej?

Franek poskrobał się w głowę.

— Gadają ludzie, że przyszło od gubernatora pismo, jako pan się ma podać do dymisyi z urzędu naczelnika straży ogniowej i że będą nowe wybory. Ale to nie może być. Prawda Jerzy, że to być nie może?

I patrzył mu w oczy z wyrazem bezgranicznej ufności, ale i prośby, żeby zaprzeczył jego słowom.

— Owszem, to może być — odparł zamyślony młodzieniec — niema w tem nic niepodobnego. Cóż więcej?

— Pan baron wyjechał i mówią, że już nie wróci...

— Czy jeszcze masz mi co więcej do powiedzenia?

Franek namyślał się.

— Garwolińskiemu chcieli wsadzić na kwaterę tego oficera, co stoi u Handa; tak on się zaperzył i powiada: Co sobie panowie myślicie, że mieszczanie dadzą się poniewierać, kiedy Wilczek jest w deputacyi? Zobaczymy, co on na to powie. Ja już dziesięć lat mam kwaterę, a żydzisko tylko kiedy niekiedy; niech on teraz dzie-

sięciolecie odcierpi. — A oni zaczęli się śmiać i Kurta powiada: Nie zawracaj sobie głowy Wilczkiem, bo on do nas nic nie ma. Jakto! mówi Garwoliński, kiedyśmy go wybrali na członka deputacyi! — A tamten na to: Kpisz, czy o drogę pytasz, nie było żadnych wyborów. — Tak stary, jak nie krzyknie: — Jakto nie było, kiedyśmy wybierali! Dwunastu świadków na to postawię! Tak on znowu: Protokółu nie było, więc wybory nic nie znaczą. Garwolińskiemu już brakło cierpliwości i jak nie wrzaśnie: Bójcie się Boga ludzie, a dyć wy łżecie w żywe oczy! Jakto nie było kiedy ja sam podpisałem i przy mnie wszyscy podpisali. A on się wykręcił na pięcie powiada: Możeście podpisali, ale go niema. Więc Garwoliński poszedł zaraz do pana niziniera i pana dochtora i pana aptykarza, i powiada co jest i jak — a oni poszli do ratusza i dalej na sekretarza i burmistrza o ten protokół. Ale oni wszyscy zrobili minę z głupia frant, że żaden protokółu nie widział, że o nim nawet nie słyszeli, to znowu, że nie wiedzą, gdzie jest, że się zarzucił i nikt nie ma czasu go szukać, a potem, że to nic wielkiego, bo zarządzą nowe wybory. Ale ci powiadają: Myśmy już wybierali raz i nie chcemy nowych wyborów. Więc burmistrz wdał się w to i powiedział, że niema co protokółu żałować, bo i tak tamte wybory nie zdałyby się na nic, bo pan Wilczek nie ma prawa należeć do deputacyi, bo nie jest właścicielem domu, tylko lokatorem. Więc oni na niego, cze-

mu im tego nie powiedział przed wyborami, a burmistrz na to, że zapomiał. To tak...

— Burmistrz zażartował sobie z nich — odezwał się Jerzy, słuchający tego opowiadania z brwią ściągniętą — przepisy pozwalają, aby obok pięciu właścicieli domów zasiadało w deputacyi dwóch lokatorów.

— Ale oni o tem nie wiedzieli — odrzekł Franek — i widząc, że nie dadzą rady, odeszli każdy do swego domu. Były nowe wybory i wybrali kogo innego.

Jerzy wysłuchał w milczeniu, a gdy Franek skończył, zapytał:

— Cóż więcej?

— Więcej nic.

— No, to bądź zdrów — rzekł podając mu rękę.

Chłopak spojrzał na niego zdziwiony.

— Czy to pan nie wraca do domu? — zapytał — myślałem, że pójdziemy razem.

— Wstąpię na cmentarz — odrzekł — ale ty nie czekaj na mnie, bo nie wiem jak długo tu zabawię. W mieście nikomu nie mów, żeś mnie widział, rozumiesz?

— Rozumiem — odrzekł Franek i odszedł posłusznie, choć miał wielką ochotę przedłużyć gawędkę. Ale Jerzy powiedział to ze stanowczością, nie dopuszczającą żadnej opozycyi.

Jerzy po odejściu Franka długo stał w miejscu, rozmyślając nad tem, co słyszał, i duszę jego ogarnęła jakaś dziwna bezwładność. Sześć

miesięcy walk, wysiłków i trudów, nie doprowadziły do niczego Na nic się nie zdało wyrzec praw młodości, na nic poświęcać przyszłość wymarzoną, sławę i szczęście osobiste, skoro dość było kilkotygodniowej nieobecności, żeby wszystko, co zdobył z takim trudem runęło od razu.

Nie dbał o dostojeństwa kozłowskie, bo dla tego, co marzył niegdyś o świetnej karyerze, nic nie znaczył tytuł naczelnika straży ogniowej, ani członka deputacyi kwaterniczej, ani krzesło radzieckie, na którem zasiąść chciał — ale pragnął mieć stanowisko w mieście, dające mu władzę i możność bronienia współbraci od ucisku: ale pragnął być tamą, powstrzymującą prywatę, samowolę i wyzysk; pragnął, żeby za jego przyczyną mniej płynęło łez i skarg, mniej się rodziło zawiści..., żeby ludzie odetchnęli swobodniej, zaczęli wierzyć w to, że są ludźmi, a nie jucznemi bydlętami, i że im się ludzkie prawa należą. Pragnął rozbudzić ich duszę z uśpienia i myśl zleniwiałą poruszyć. I miał chwilowo tę pociechę, że dostrzegł drgania tej myśli i budzący się duch obywatelski. Ale oto, zaledwie się oddalił na czas krótki, ludzie ci, co go otaczali uznaniem, szacunkiem i uczuwali dla niego miłość, nie potrafili wytrwać przy nim, dali się obałamucić burmistrzowi, chociaż ich uczył, żeby się trzymali prawa, żeby zaglądali do ustaw! gdyż woleli uwierzyć na słowo tym, co im nigdy wiary nie dotrzymywali, niż śledzić, badać i bronić się. Długoletnie ospalstwo zamieniło się

w nałóg i wzięło górę. O jakże słabym płomykiem jest jeszcze ów duch obywatelski! lada co zdmuchnąć go może. Istna lampka, w której brakuje oliwy... dziecko wątłe, chorowite, które trzeba dopiero wychować i hartować, żeby z czasem wyrosło na męża. I czy będzie kiedy z niego mąż silny i dojrzały? Bardzo to wątpliwe, bo najpewniej umrze na anemię, jeżeli go się krwią gorącą własnego serca ciągle zasilać nie będzie. A na takiem wychowaniu można bardzo prędko stargać życie.

Nogi same powiodły go przez bramę cmentarną na wzgórze. Idąc między mogiłami, myślał sobie, że krzyże wyglądają, jak bujne drzewa, wyrosłe prosto z ziemi, i że chyba nigdzie niema ich tak wiele jak w tym kraju, gdzie stoją nawet po drogach — snać grunt jest sprzyjający ich uprawie, i że Opatrzność dłonią opiekuńczą zasiewa je raz po raz, żeby ich nie brakło wybranemu ludowi.

Zadumał się i znowu jął sobie przypominać myśli i uczucia, jakie go napełniały, gdy był tutaj w lecie. Tędy dążył do niej, pragnąc podzielić z nią swój los; tam się toczyła owa pamiętna rozmowa; tutaj czuł palące pod powiekami łzy, któremi żegnał swoje szczęście. Wrzosy i mchy, tak samo jak wówczas uginały się pod jego stopami, tylko nigdzie nie znajdował śladów jej drobnej, dziecęcej stopy. Krzak jałowcu, za którym wówczas stojąc, wpatrywał się w nią długo niewidziany, był na tem samem miejscu;

tylko iglice jego pociemniały, a obfity pokrywający go owoc wydawał woń balsamiczną.

Jerzy stanął przed grobowcem stryja, odkrył głowę i czytał machinalnie napis na tablicy, napis tak dobrze mu znany:

»Człowiekowi sprawiedliwemu, dobremu obywatelowi«.

I otoczył go tłum myśli posępnych, bolesnych a gorżkich.

— Człowieku sprawiedliwy — szepnął — tybyś mi mógł powiedzieć, w co się obracają daremne wysiłki ludzkie, bo dla ciebie już niema tajemnic ani zagadek. Wiesz wszystko, odkąd przestąpiłeś próg innego świata... Nauka mówi, że nic nie ginie w naturze i ty, co stałeś się prochem, oddałeś ziemi wzięte z niej pierwiastki, które staną się znowu siłą życiodawczą; nie zginie więc nic co było tobą. Ale w co się obracają daremne wysiłki ludzkie, dążności i pragnienia? czy i one nie zginą? Sześć miesięcy walczyłem w pocie czoła dla dobra tego miasta, które tak ukochałeś; sześć miesięcy dźwigałem pod górę taczkę, pełną kamieni i staczającą się ciągle na mnie — i gdym myślał, że już jestem u szczytu, spostrzegam, że ona znów na dole. Dźwięki pieśni wprawiają w drganie cząstki powietrza i udzielają je innym cząstkom, a jam nie poruszył nikogo; woda, którą chciałem oczyścić i ożywić, stała się znowu czem była, wodą stojącą, sprzyjającą rozwojowi zgnilizny W cóż się obróciły moje trudy? gdzie moje krople potu?

Westchnął.

— A takich jak ja są miliony... Miliony chęci marnieją, miliony pragnień nie stają się nigdy rzeczywistością, miliony wysileń zwalczają tylko tego, kto się wysila; miliony westchnień idą w przestrzeń i toną w westchnieniach wiatru, który niby wieczny tułacz chodzi po świecie i roznosi je jak nasiona traw i pyłki kwiatów, ale nasiona bezpłodne, bo się z nich nic nie rodzi...

A jednak, gdyby te daremne wysiłki zebrać razem, byłaby to siła tak potężna, że zdołałaby świat wyruszyć z posad, gdyby tylko jaki Archimedes znalazł dla niej punkt oparcia. I mamże dalej pchać swoją taczkę? powiedz, ty co wiesz wszystko! Mamże ją pchać, dopóki nie padnę ukamienowany tymi samemi głazami, które dźwigam pod górę? Nikomu nic z tego nie przyjdzie. Chyba, że w proch się obróci znowu co z prochu powstało i kilka kropli krwi mego serca użyźni ziemię, tak sprzyjającą urodzajności krzyżów.

Szelest w bliskości obudził go z zadumy; jakiś cień przemknął między grobami. Jerzy drgnął: może to ona przyszła odwiedzić grób dziadka, jak wtedy. Wypowie jej swoje wątpliwości i zapyta o zdanie. Ale omylił się znowu: młody szary zajączek zapuścił się tu z lasku, łączącego się z cmentarzem. Stanął, popatrzył na Jerzego strzygąc uszami i znikł jak kamfora.

— Przez sześć miesięcy budziłem uczucia obywatelskie w sercach tych, których tak uko-

chałeś i poczucie praw własnych — myślał dalej młodzieniec — przez sześć miesięcy zapalałem lampę samowiedzy, podsycając ją wszystkiem, co mi było drogie. I oto, gdy mi się wydało, że jasnym zabłysła płomieniem i odwróciłem się na chwilę, zgasła, a swąd mnie przekonał, że nie była w niej czysta oliwa, ale tłuszcz jakiś podejrzany... Mamże ją rozpalać na nowo, mamże w jej ogniu spalić się cały, dlatego tylko, żeby rozwiał mój popiół jak rozwiał popioły innych? Mamże podsycać własnemi ofiarami tego ducha, którego lada podmuch gasi? I czy warto go wołać do życia, jeśli tak samo jak człowiek rozsypie się kiedyś w proch? czy warto, powiedz »dobry obywatelu«. Życie twoje było pasmem walk i cierpień, i co z niego zostało? Garść prochu. Podsycałeś światło lampy i zgasła razem z tobą.

Czy jednak naprawdę zgasła? O nie, gorzała ona ciągłym i czystym płomieniem w sercu dwóch kobiet, które zmarły czcił i kochał, a które stojącemu tu przy grobie jego synowcowi włożyły ją do ręki.

Na tablicy grobowej u góry wyryty był herb Wilczków, wilcza głowa, a pod nią wilcze łapy na krzyż złożone. Jerzy wodził machinalnie wzrokiem po tych znakach i przypomniało mu się hasło rodowe *Naprzód!* Westchął znowu i wydało mu się, że »dobry obywatel«, śpiący tu snem wiecznym, mówi do niego:

— »Jerzy, a czyja w tem wina, że lampa gaśnie w twoich rękach? Zapytaj się swego sumienia, czy to, coś zrobił dotąd, nie przez silną wolę tylko robiłeś, zamiast przez miłość? Litowałeś się nad twymi współbraćmi, aleś ich nie kochał, tylko obliczałeś ciągle, ileś dla nich poświęcił. Żeby dzieło miało moc twórczą, trzeba doń miłości: czyn bez miłości, to lampa bez oliwy. Miłość tylko czyni człowieka potężnym, miłość czyni ciężary lekkimi, miłość jest żelazem krzeszącym iskry z kamienia, miłość jałowe ziarna zamienia w łany pożywne, miłość czyni cuda!«

Młodzieniec podniósł smutne oczy ku gwiazdom.

— O! — zawołał — zstąpże na mnie ty nieśmiertelna! Zstąp miłości i zapal serce moje ogniem nie gasnącym nigdy... daj mi siłę niezwyciężoną i potężną!

Ale gwiazdy milczały, tylko liście zeschłe, zaścielające ziemię, poruszone wiatrem uniosły się lekko i opadły z szelestem. Szelest ten podobny był do westchnienia, wydobywającego się z pod ziemi, a pochodzącego z piersi tych, co tu żyli, cierpieli i pokładli się na sen wieczny.

Nakrył głowę i schodził zamyślony ze wzgórza, stąpając po kładących się na ziemi cieniach krzyżów, a przed nim szedł jego własny cień, wydłużony, do olbrzymich rozmiarów. Idąc, usiłował sobie przypomnieć, czy Kant, Hegel, Fichte, mówili co o miłości: ale nic w pamięci nie

znalazł, było w niej jakoś mroczno. Nie pisali też o niej chyba nowocześni filozofowie, Hartman i Szopenhauer, bo jakoś nic na myśl nie przychodziło. I gdy tak szukał dalej w pamięci, usiłując koniecznie coś wynaleźć, przypomniał mu się z wielką dokładnością list świętego Pawła do Koryntyan, list zapamiętany z książki katechizmowej, z której się uczył w dzieciństwie.

»Gdybym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłości bym nie miał, stałbym się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiący. I chociażbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką naukę, i miałbym wszystką wiarę. tak iżbym góry przenosił, a miłościbym nie miał, niczembym nie był. I choćbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich, i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym gorzał, a miłościbym nie miał, nic mi nie pomoże. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest; miłość nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się; nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa«.

— Proste to, ale jasne i piękne — rzekł do siebie i jednocześnie zdziwił się, że on, doktór filozofii, pamiętał tak dokładnie cytatę katechiz-

mową i znajdował ją piękną. Ale pięknu jak prawdzie należy oddać sprawiedliwość, gdziekolwiek się je znajduje.

Tak wyszli za bramę i szli drogą ciągle razem, on i cień jego. Jerzy patrząc na tego sobowtóra, który mu wszędzie towarzyszył, pomyślał, że tak go nie chce odstąpić, jak myśl o niej, o tej, której wprawdzie nie kochał, ale nie mógł zapomnieć. Zmrok zapadł, gdy się znalazł w ulicy przed kościołem farnym, gdzie malowany na blasze Święty Jerzy, zwalczający smoka, oświecony był blaskiem padającego nań wprost światła latarni. Młodzieniec przystanął, popatrzył nań i szepnął z goryczą:

— Kto wie, czybyś tak tryumfował, gdybyś zamiast ze smokiem, walczyć musiał z lenistwem ludzkiem i martwotą!.. Zabijać żyjące łatwiej jest, niż wskrzesać umarłe... Na ulicach była cisza głęboka. Miasto chodziło spać jednocześnie z kurami, więc w oknach było ciemno i tylko gdzieniegdzie na poddaszach błyszczały jeszcze światełka. Ratusz, ten niezgrabny budynek, podobny do szeroko rozsiadłego drzemiącego potwora, pogrążony był w ciszy i ciemności; ciszę przerywały tylko jednostajne kroki szyldwacha, chodzącego z karabinem. Nikt nie wiedział o powrocie Jerzego; młodzieniec wyobrażał sobie, jak się zdziwią ci, co ztąd rządzą miastem, gdy go ujrzą niespodzianie.

Zegar na wieży wybił godzinę jedynastą i w ślad za tem odezwały się grzechotki stróżów

nocnych, a odgłos ten odsuwał się coraz dalej, dalej, aż utonął gdzieś pod wzgórzami I znowu cisza zaległa miasto. Jerzy zdziwił się, że już jest tak późno i że tyle godzin zeszło mu na cmentarzu. Patrzył w okna ratusza i myślał o owem świetle, jakie tam widział przed kilku miesiącami. I jakby myśl ta miała moc wywoływania widm, ujrzał naprawdę światło w jednem z okien sali radnej... Posuwało się ono z miejsca na miejsce, potem zatrzymało przez czas jakiś w oknie środkowem, a potem znowu zjawiało się kolejno w każdem z trzech okien — i zgasło

Jerzy nie budził już stróżów nocnych, jak to był wówczas uczynił, ale stanął przy bocznem wejściu ratusza i ukrył się za filarem, tak, że mógł widzieć każdego, sam nie będąc widzianym.

Wkrótce usłyszał kroki niepewne, zstępujące po schodach, szmer klucza w zamku, a potem jedna połowa drzwi otworzyła się, i z cicha, ostrożnie, oglądając się na wszystkie strony, wysunął się kwatermistrz w czapce mocno nasuniętej na oczy i dużym fałdzistym płaszczu. Upewniwszy się, że na ulicy nie ma nikogo, zamknął drzwi ostrożnie i klucz napowrót przekręcił — ale gdy go chciał wyjąć, napotkał na jakiś opór. Szarpnął więc mocniej, przyczem klucz ustąpił, ale on sam od tego zamachu o mało nie padł głową w tył, przyczem z pod płaszcza wypadł mu jakiś ciemny, niewielki pakiet, czego nie zauważył. Jerzy, chcący pod wpływem swej gwałtownej natury pochwycić za kark kwatermi-

strza i oddać go w ręce policyi, zmienił zamiar i stał nieruchomy.

Księżyc w tejże chwili schował się za chmury i zrobiło się na ulicy ciemno; w bliskości dały się słyszeć kroki stróża nocnego; kwatermistrz przesunął się ostrożnie pod ścianą, otarłszy się prawie o Jerzego i zniknął.

Młodzieniec wówczas schylił się, podniósł pakiet, włożył go do kieszeni i wrócił na swoje miejsce. Był pewny, że kwatermistrz wróci, jakoż nie omylił się. Wrócił po chwili i schylony szukał długo czegoś na ziemi, ale, nic nie znalazłszy, odszedł.

Dom Wilczków pogrążony był w ciemności, gdy Jerzy wrócił, tylko w oknie kuchennym błyszczało światełko — snać Gertruda czuwała jeszcze przy pracy. Młodzieniec namyślał się, czy wejść do kuchni i kazać sobie podać herbaty, czy nie wejść — i zdecydował się na to ostatnie, nie chcąc, aby ruch obudził spiące prawdopodobnie panie, bo poczciwa Gertruda miała już tę właściwość, że wszystko robiła hałaśliwie, choć jej się zdawało, że niema na świecie cichszej, niż ona, istoty.

Stąpając z cicha i ostrożnie po schodach, dostał się do swego pokoju na górę, od którego klucz miał przy sobie, i przekonał się ze zdziwieniem, że pokój był otwarty. Widocznie spodziewano go się i Gertruda tam dzisiaj sprzątała. Ciemno tu było, tylko przez środek pokoju szła jasna smuga od księżyca.

Jerzy zapalił świecę, zrzucił płaszcz i wyjąwszy z kieszeni pakiet, znaleziony przed ratuszem, przejrzał znajdujące się w nim papiery, a zamykając go, szepnął do siebie:

— Domyślałem się tego.

Potem poszukał w kieszeni kluczyka od biurka, chcąc tam papiery schować, ale długo szuflady otworzyć nie mógł. Kluczyk kręcił się na wszystkie strony, nie mając o co zaczepić, jak gdyby zamek był zepsuty. Jerzy ujął szufladę pod spodem, chcąc ją podnieść do góry, i spostrzegł, że niepotrzebnie się męczył, bo biurko było otwarte. Zdziwiony wysunął je z pewnym niepokojem i zobaczył w tej szufladzie okropny nieład: wszystko było przewrócone do góry nogami. —Co to miało znaczyć? Nikt z domowych nie mógł być sprawcą tego nieładu, ani stryjenka, ani Jadzia, tem mniej Gertruda, sprzątająca zawsze starannie jego pokój; uczciwość tej kobiety została już wypróbowana przez dwudziestoletnią służbę. Był tu więc ktoś obcy, złodziej po prostu. Ale jakim sposobem złodziej dostał się do domu, strzeżonego przez wiernego psa, czujnego na najmniejszy szelest w dziedzińcu i niepokojącego cały dom swojem szczekaniem? Zaczął szukać najprzód pieniędzy, które był włożył pod papiery wyjeżdżając; leżały na dawnem miejscu. Natomiast znikły dowody, nagromadzone przeciwko deputacyi kwaterniczej, te same, które przeglądał sędzia śledczy. Złodziej widocznie nie szukał pieniędzy.

Jerzy stał chwilę przed biurkiem nieruchomy. Owoc jego długich starań, poszukiwań, znikł... Przypadek czy zła wola wytrąciła mu z ręki broń przeciw wrogom, broń, czyniącą go groźnym dla nich i nietykalnym. Tyle pracy, tyle trudów, na nic! Wsunął napowrót szufladę i wolnym, ciężkim krokiem zeszedł ze schodów, zmierzając prosto do budy psa, jakby mu chciał czynić wyrzuty za brak czujności.

Księżyc jasnem światłem oświecał wszystkie przedmioty i budę Kurty, znajdującą się tuż przy wozowni pod parkanem. Z budy wyglądał łeb psa, oparty na przednich łapach.

Zwykle, gdy tylko Jerzy pokazał się w dziedzińcu, przywiązany pies wyskakiwał z budy, i machając ogonem, biegł naprzeciw niego; ale dziś się nie ruszył.

— Starzeje się psisko! — pomyślał Jerzy, przypomniawszy sobie, że wracającego przed chwilą z podróży pies także nie powitał.

Gwizdnął z cicha, ale pies nie usłyszał gwizdnięcia, spał ciągle z pyskiem, na przednich łapach opartym. Młodzieniec podszedł do budy i rzekł z łagodną wymówką:

— Wstydź się Kurta, tak to pilnujesz domu?

Ale pies, zawsze czujny na głos pana, nie ruszył się. Podejrzenie zbudziło się w umyśle Jerzego. Chwycił za sierść i wyciągnął psa z budy. Zimny był i martwy, a koło pyska osiadła skrzepła krew i piana.

Jerzy stał osłupiały nad trupem psa: zrozumiał teraz wszystko. Otruto go, żeby, korzystając z ciemności nocnych, dostać się niepostrzeżenie do domu. Stał i ogarnęło go nagle śmiertelne znużenie, znużenie tak wielkie, że pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Ten martwy pies był ową drobną, małą kroplą, przelewającą pełne naczynie! Z jakimś osłupieniem rozpaczy zapytywał siebie, czy to się nigdy nie skończy i czy długo jeszcze będzie czuł dokoła siebie pełzające gady, których samo dotknięcie przejmowało go wstrętem.

Wszystkie jego nadzieje i ideały zgasły w tej chwili — wszystkie jego mocy odstąpiły go... uczuł się zniechęconym i słabym jak dziecko. Patrzył na psa i przypomniało mu się, jak go bardzo małego uratował niegdyś z wody i darował Jadzi, jak ona była uszczęśliwiona tym podarunkiem i dziękowała mu, zarzuciwszy obie rączki na szyję. Wydało mu się, że to było wczoraj, że czuje jeszcze na piersiach jej główkę i gładzi pieszczotliwie ręką po bujnych, ciemnych włosach, z powagą dorosłego mężczyzny i bohatera, który wielkiego czynu dokonał. Droga, mała dziewczynka!

Wstrząsnął nim dreszcz nerwowy. Usiłował odpędzić od siebie to wspomnienie, tę marę przeszłości, czepiającą się go uparcie i nie chcącą się od niego odczepić. O! jakże on kochał tę dziewczynkę, tę postać wdzięczną, delikatną, te oczy wymowne, głębokie, tak łatwo

wówczas napływające łzami... Ta, co teraz nosiła jej imię, to nie była ona, o nie! Zmieniła się tak bardzo, że jej nie mógł poznać. Tamta jego mała dziewczynka kochała go, a ta... ta jest zupełnie bez serca. Chociaż, cóż ona winna, że go nie kocha? Serce nie sługa. Zresztą on jej nie kocha także, powiedział to sobie już dawno.

Zegar na wieży ratuszowej wybił dwunastą i odezwały się znowu kolejno grzechotki stróżów nocnych. Jerzy wstał i skierował kroki ku domowi. W kuchni świeciło się jeszcze. Zapukał z cicha, Gertruda, siedząca nad szyciem, zerwała się i poskoczyła drzwi otworzyć.

— Ach to pan Jerzy — zawołała uradowana. — Niech panicz wejdzie do jadalnego pokoja, zaraz podam samowar. Panienka jeszcze nie spi i czeka na pana. Pójdę jej powiedzieć.

— Nie trzeba—rzekł Jerzy, wstrzymując ją— nie będę nic jadł. Niech Gertruda nie budzi nikogo, jutro się z paniami przywitam.

— Ale kiedy myśmy się panicza spodziewali! Ja dla tego bramy nie zamknęłam i pokój pański jest otwarty. Furman, co odniósł walizkę, powiedział, że pan wysiadł przy cmentarzu i panienka taka niespokojna, że pana dotąd niema! Mało dziesięć razy tu była i pytała się, czy panicz nie wrócił. Potrzebne też to po ciemku w takie miejsca się włóczyć? Jezus, Marya!

Przeżegnała się.

— Ale teraz już panienka śpi niezawodnie— powiedział Jerzy stanowczo — więc nie trzeba

jej niepokoić. Zabraniam ci tego Gertrudo. Ale powiedz mi, czy wiedziałaś o tem, że nasz pies otruty?

Na twarzy Gertrudy odmalowało się prawdziwe zmartwienie.

— Ach, jakżebym miała nie wiedzieć, paniczu! — zawołała. — Dziś rano wstałam, ugotowałam śniadanie, nalałam na miskę i wołam na niego raz, on nic, wołam drugi raz, on znów nic; wołam trzeci raz, on jeszcze nic. Tak mnie złości wzięły i mówię sobie: Czekaj, ja ci tu dam!.. Idę do niego z miotłą, a ten chudzina nie żywy i mięso koło niego leży białym proszkiem posypane! Pani się bardzo zmartwiła, a panienka to aż płakała! I nic dziwnego proszę panicza, takie to było poczciwe psisko! Wczorajszej nocy to się stało. Antoni mówi, że to złodzieje zrobili, ale ja myślę, że to chyba złe się w to wdało, bo nam nic nie ukradli.

— Gdzie to panie jeździły? — zapytał Jerzy po chwili — bo widzę na dziedzińcu powóz.

— A do Wólki, bo brat pani starszej zachorował. Pojechały panie wczoraj, a wróciły dziś po południu.

— Musiał się o tem dowiedzieć złodziej — pomyślał Jerzy — skoro potrafił tak prędko z tego skorzystać. Dlaczego nie sprzątnęliście zaraz psa?

— Ach, proszę panicza, bo jak pies jest w podwórzu, to zawsze bezpieczniej. Myśmy go z Antonim umyślnie tak położyli, jakby sobie spał. Ale ja paniczowi zrobię herbaty, dobrze?

— Nie będę pił, dziękuję ci — odpowiedział i wyszedł. Spać mu się jeszcze nie chciało, było mu duszno jakoś, potrzebował powietrza i powrócił na dziedziniec.

— »Mało dziesięć razy wychodziła i pytała się o panicza« — powtórzył i przyszła mu na myśl piosenka:

„Jaka dobra dziewczyna
Co miesiąc przypomina".

Oparł ręce na sztachetach i patrzył bezmyślnie w ogród, na ciemne kontury drzew, ogołoconych prawie z liści i rzekł do siebie:

— I ja jestem jak te drzewa: złudzenia i nadzieje opadły ze mnie!

Zdaleka błyszczało czyste zwierciadło stawu; przeglądał się w nim w tej chwili księżyc z całym orszakiem gwiazd. Jerzy patrzył, patrzył i nagle oczy jego dojrzały jakiś punkt drobny. Drgnął. Poszukał furtki i wszedł do ogrodu, zmierzając w stronę stawu. Suche liście szeleściały mu pod nogami, a szelest ten przestraszył śpiące na krzakach motyle. Kot, przyczajony pod drzewami, począł uciekać co tchu, wyrzekając się polowania na ptaki, a w trawie blisko stawu między żabami zrobił się wielki popłoch. Jedna za drugą wskakiwały do wody. Jerzy poszedł na sam brzeg i schylił się, szukając czegoś między krzakami wierzby w wodzie rosnącej i znalazł czego szukał. Był to mały, bardzo mały okręcik, który kiedyś zrobił dla swej ma-

łej dziewczynki. Co to było wtedy radości, jak się oboje wybornie bawili!

I ona widać szanowała tę dziecinną zabawkę, bo okręcik znajdował się dotąd w dobrym stanie, a nawet był przy nim nowy sznurek.. Szanowała dar jego, pamiętała, przychodziła tutaj. Czyżby... Ale nie, nie, po co to przypuszczenie, ta nadzieja szalona, ciągle powracająca! Czyż go nie odepchnęła? Czyż mu nie powiedziała wyraźnie, że go nie kocha?

Zerwał tak gwałtownie sznurek przytwierdzający okręcik do gałęzi, jakby chciał przy tem zerwać wszystkie wspomnienia — i odepchął go daleko na wodę. Patrzył czas jakiś, jak pchnięty siłą rzutu, zatrzymał się na środku stawu, zakołysał na obie strony i stanął, a cień jego znacznie powiększony, zakołysał się na wodzie. Szelest jakiś dał się słyszeć gdzieś blisko, a na oświetloną przed nim jasno przestrzeń padł cień podłużny, wiotki. Obejrzał się — to była ona.

Gdy ujrzał tuż przy sobie tę swoją małą niegdyś dziewczynkę, tak mu niegdyś bliską, a teraz tak daleką, najprzód wszystka krew zbiegła mu do serca, a potem uderzyła do głowy.

— Jerzy! — zawołała wyciągając do niego obie ręce, a w głosie jej drgała nieukrywana radość, że go widzi — Jerzy, czy godzi się tak postępować? Gertruda powiedziała ci, że nieśpię i czekam na ciebie, a ty nie śpieszysz się, by mnie powitać po kilkodniowej nieobecności. Niedobry bracie!

Jerzy uścisnął jej ręce i odrzekł głucho.

— Witam cię kuzynko.

Ona czekała dalszych wyrazów, ale widząc, że zamilkł, szepnęła z łagodnym wyrzutem:

— Tak to mnie witasz!...—ale spojrzawszy na niego, zawołała — Tyś chory chyba Jurku! bo bardzo źle wyglądasz! Gertruda mówiła mi, że nie chcesz herbaty, ale musisz koniecznie napić się ze mną, to cię rozgrzeje. Chodź!

»Jurku!«.. — tak wołała kiedyś na niego jego mała dziewczynka, która go kochała... ale czego ona mu to przypomina? Czy chce żartować ze wspomnień dziecinnych?

Ogarnął go głuchy gniew i rzekł z lekką ironią.

— Jakżeś ty dobra! Doprawdy, stworzona jesteś na siostrę miłosierdzia... Ale bądź spokojna, nie będę korzystał z twego poświęcenia... Jestem zdrów!

Dotknięta boleśnie, milczała przez chwilę jakby nie mogła głosu wydobyć, nareszcie rzekła:

— Widzę, żem tu przyszła niepotrzebnie... przepraszam cię. Jeżeli zechcesz herbaty, idź do jadalnego pokoju, znajdziesz tam wszystko przygotowane.

I odwróciła się, chcąc odejść, a jego ogarnęła nagle rozpacz, że ją straci z oczu, i rzekł prędko, zastępując jej drogę:

— Co za przypuszczenie, kochana kuzynko! Towarzystwo twoje jest mi zawsze nader miłem

i pożądanem, a twoja troskliwość pochlebia mi bardzo, aczkolwiek nie zasłużyłem na nią.

Jadwisia popatrzyła na niego ze smutkiem.

— Odkąd to nauczyłeś się przemawiać do mnie z taką wyszukaną galanteryą? — przemówiła z wyrzutem. — Wolę już szorstkość, z jaką teraz najczęściej odzywasz się do mnie, bo w niej przynajmniej dźwięczy prawda. Po co mamy grać z sobą komedyę? bądźmy lepiej prawdziwi!...

Jerzy spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. Co ona mówi, szalona! Gdyby chciał być prawdziwym, porwałby ją w tej chwili na ręce i uciekł z nią daleko.

— Byłeś niegdyś dla mnie dobrym, kochającym bratem, a teraz mnie nienawidzisz — mówiła dalej. — O, nie zaprzeczaj, czuję to!.. Ale ja, Jerzy, jestem zawsze tą samą i nigdy, nigdy nie przestaniesz być dla mnie bardzo kochanym towarzyszem i bratem. Patrzę na twoje czyny i jestem z ciebie dumną; odczuwam twoje smutki, niepokoję się twemi troskami i nie mogę być spokojną, widząc cię cierpiącym lub ponurym... nie mogę!

Tu głos jej zadrżał lekko.

— Słyszałam w sieni twoje kroki i po chodzie twoim poznałam, że ci coś być musi, że ci coś jest... dlatego nie czekając aż powrócisz, przybiegłam tu za tobą. Jurku, tobie się stało coś złego, coś cię boli! Otwórz mi twoje serce, jak niegdyś otwierałeś twojej małej siostrzyczce...

Jerzy słuchał w milczeniu, pochłaniając ją wzrokiem, gdy tak stała przed nim cała w blasku księżyca, jak nieziemskie zjawisko. Jej twarz lekko zarumieniona, oczy zwilgotniałe i patrzące na niego z jakąś niemą prośbą, głos miękki, łamiący się wzruszeniem, wszystko to sprawiło mu zawrót głowy.

— Moja mała siostrzyczka — odezwał się głosem zmienionym — gdy mnie przychodziła pocieszyć, kładła mi na piersi swoją główkę i, objąwszy rączkami za szyję, szeptała mi słowa słodkie i kochające.

Powiedziawszy te słowa zuchwałe, które bezwiednie prawie wyrwały mu się z ust, zamilkł i wpatrywał się w nią wzrokiem takim, jakby chciał przejrzeć na wskroś. Zbladła tak mocno, jakby nie pozostało w niej ani kropli krwi i jak posąg marmurowy stała przed nim. Może czekała aż ją do siebie przygarnie, by oprzeć głowę na piersi szlachetnej, męskiej, na piersi człowieka, który wyrzekł się swej ambicyi. Mogła uczynić to śmiało. Wstrzymywał ją jednak wstyd jakiś. Gdyby jednak wyciągnął był ramiona...

Ale on tego nie uczynił, nie chciał być odepchniętym po raz drugi. Scena na cmentarzu wyryła się w jego pamięci na wieki.

— Przepraszam cię za moją śmiałość — rzekł z goryczą, w której głęboka dźwięczała ironia — nie lękaj się niczego z mej strony. Widzę, żem powinien zapomnieć o wszystkiem, co było, a co nie jest i nie będzie...

Bolesny spazm przebiegł po jej twarzy.

— Za twoją siostrzaną troskliwość — mówił dalej, wymawiając z przyciskiem każdy wyraz — wdzięczny jestem, ale bądź spokojna: jeżeli cierpię, to nie z twego powodu. Skradziono mi z biurka dowody, które wiesz z jakim trudem zdobyłem i to mi odebrało humor.

— Skradziono ci je! I cóż teraz poczniesz?

— Będę je zdobywał po raz drugi.

— Jerzy! — zawołała z nietajonem uwielbieniem — jesteś dzielnym człowiekiem!

— A — rzekł z goryczą — raczyłaś więc zmienić nareszcie swoje o mnie zdanie: nie jestem już »egoistą kochającym tylko siebie«.

Ciemny rumieniec oblał ją całą.

— Jerzy — przemówiła — nie rozumiemy się. Ty masz żal do mnie od czasu tamtej rozmowy, ale i wtedy mnie nie zrozumiałeś. Pozwól mi się wytłómaczyć, pozwól...

— Dosyć — rzekł stanowczo — ani słowa więcej. Nie potrzebujesz tłómaczyć się przedemną. Zrozumiałem cię aż nadto dobrze. Nie mam do ciebie żadnego żalu; co było, to już dawno minęło. Roślina, wyrwana z gruntu z korzeniem musi uschnąć. Proszę cię, nie wznawiajmy nigdy tej kwestyi. Zostaw mnie w spokoju i nie potrącej mego serca dotknięciem miłosierdzia, bo ono rani. Uczyń mi tę łaskę. Czy znasz wiersz Sully Proudhomme'a, p. t. »Stłuczona czara«?

— Nie.

— A więc posłuchaj.

„Czarę tę, w której kwiatek werweny usycha.
Ktoś potrącił — uderzył cienki brzeg kryształu
I pękł, lecz nikt nie słyszał, tak to brzękło z cicha,
Tylko się teraz kresa przedłuża pomału —
Kręg zatacza dokoła i woda ucieka.
Kwiat też zwiędnie, gdy kropla ostatnia wypłynie,
Jakkolwiek jeszcze tego nie widać zdaleka.
Niech nikt czary nie rusza — spękane naczynie!...
Tak czasem w życiu droga potrąci nas ręka,
Da cios w serce, choć lekko niby i nieznacznie,
Ale potem już dalej ono samo pęka;
A gdy mu kwiat miłości obumierać zacznie,
To chociaż oczy ludzkie nic widzieć nie mogą,
Nosi w biednej swej głębi krwawiącą się ranę,
I życiodajna siła uchodzi tą drogą.
Niechże serca nie ruszy nikt — serce spękane!..

Gdy skończył, milczenie zapanowało między nimi, nareszcie ona przemówiła pierwsza.

— Chcesz mi przez to powiedzieć, że kwiat tej miłości usechł... czy tak?

— Tak — odrzekł sucho — usechł i już nie ożyje. Sam go wyrwałem z korzeniem.

— I cóż umieściłeś na jego miejscu? — spytała smutnie.

— Kamień.

— Kamień... — powtórzyła jak echo — czyż nie lepiej było zastąpić go kwiatem przyjaźni?

— Nie — odrzekł opryskliwie — obejdę się bez przyjaźni. To także chwast nietrwały, który byle co zniszczy... Ale porzućmy już tę nieweso-

łą kwestyę i przejdźmy do czegoś weselszego. Tu nad tym stawem bawiliśmy się niegdyś, czy pamiętasz?

— O tak — rzekła uśmiechając się, mimo smutku, do tych wspomnień, tak dla niej drogich — łowiliśmy małe rybki i puszczaliśmy je zaraz napowrót, nie chcąc pozbawiać ich życia.

— Czemu nie mielibyśmy pobawić się i dzisiaj, nieprawdaż?

Podniósł mały kamyk i cisnął go w okręcik, stojący na środku nieruchomie. Miniaturowy statek zachwiał się, zakołysał i stanął znowu. Jadzia patrzyła na kuzyna zdziwiona: nie pojmowała tej zabawy, ani odgadnąć mogła, o co mu chodziło. Ale Jerzy rzucił kamyk drugi i trzeci, bawiąc się jak chłopiec na wakacyach, a na ustach miał uśmiech szczególny — aż podniósł jeden cięższy, który rzucony celnie, padł w sam środek i pociągnął statek z sobą na dno. Pozostał po nim duży krąg, potem coraz mniejsze, mniejsze, kilka bąbelków, i powierzchnia wody była znów gładka jak zwierciadło.

— Finita la comedia — rzekł, ale nie śmiał spojrzeć na nią, bo zawstydził się nagle swego czynu. Czuł, że popełnił okrucieństwo; zniszczył to, co ona chowała przez lat tyle, pamiątkę szczęśliwych lat wspólnie spędzonego dzieciństwa.

Chciał ją błagać o przebaczenie i odwrócił się, ale już jej nie było.

Jadwisia powiedziała sobie tego wieczora, że wszystko między nimi skończone; a jednak, niewiadomo czemu, przyszły jej na myśl słowa Gabryeli:

„Kamień nie żyje! powiedzą —
O nie wierz temu dziewczyno,
Żyły kamienia iskrami płyną,
Choć ludzie o tem nie wiedzą!"

XXIX.

Ponury listopadowy dzień skąpe światło przepuszczał do środka sali radnej. Tylko nakryty suknem czerwonem stół, ławy radzieckie i starożytne burmistrzowskie krzesło, były na widoku — reszta tonęła w cieniu. Surowe twarze burmistrzów spoglądały ze ścian jeszcze surowiej niż zwykle, a sławny burmistrz Jerzy Wilczek prawie dreszczem przejmował. Czerwona jego delia i złoty łańcuch na szyi, czyniły go podobnym do sędziego, mającego za chwilę wyrok odczytać. W mroku także pogrążone były wspaniałe szafy gdańskie i olbrzymi starożytny komin z okapem — a wyblakłe twarze aniołków, malowane na suficie, wyglądały jak widma. Wilgoć, napełniająca powietrze, w połączeniu z wilgocią murów i kurzem, wytworzyła ową niemiłą woń stęchlizny, przykrą do oddychania, a właściwą wszystkim starym budynkom.

Jeden tylko przedmiot w tej sali rzucał się w oczy swoją jaskrawą barwą: był to sztandar straży ogniowej, oparty o ścianę. Na ten sztandar burmistrz z dumą poglądał, ilekroć tu wszedł: on był pomnikiem jego zwycięztwa, jedynego

zwycięztwa, jakie odniósł w swem życiu, jego waleczności! Gdyby tak kasa miejska była nieco zasobniejsza, wniósłby na pierwszem posiedzeniu rady projekt odnowienia sali radnej kosztem miasta i powyrzucałby stare portrety, a natomiast kazałby na największej ścianie namalować tę scenę alfresco. Bo też co za wyborny przedmiot do uwiecznienia pędzlem, a jaki malowniczy!

Dwóch ludzi znajdowało się tylko w tej wielkiej, gotyckiej sali, burmistrz i pan sekretarz policyjny, Kurtz. Jeden był bardzo zajęty papierami, trzymanymi w ręku, a drugi był dziwnie roztargniony. Burmistrz czytał protokół świeżo odbytych do deputacyi kwaterniczej wyborów i uśmiechał się: cała historya z tymi wyborami była to wyborna krotochwila, mająca tylko tę ujemną stronę, że nie mógł się z niej śmiać głośno i swobodnie, jak on to lubił. Odbyło się tym razem bez rady wielkiego dyplomaty; on sam wszystko obmyślił i wykonał — a że było obmyślane mądrze i wykonane zręcznie, temu nikt nie mógł zaprzeczyć. O drobnej zaś okoliczności, że to kwatermistrz podał mu ten pomysł mistrzowski, zapomniał zupełnie.

— Jak pan myślisz, wróci Wilczek, czy nie wróci, hę? — zagadnął nagle, podnosząc głowę z nad papierów.

— Dyabli go wiedzą! — mruknął zagadnięty niechętnie.

— Bo mnie się widzi, że nie — mówił burmistrz dalej — zasmakowała mu Warszawka i basta. Będziesz pan mógł znowu próbować szczęścia u panny.

I zanucił:

„Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Z wielką alternacyą przybywam w te strony.
Jak dokuczliwe insekta,
Serce obsiadły afekta".

Przykry grymas skrzywił twarz kwatermistrza na wspomnienie tej chwili, gdy wszyscy chórem śmieli się z jego pomyłki, a naczelnik ów niefortunny papier kazał do aktów załączyć.

— Może też Wilczek jest już w mieście — mruknął, chociaż sam w przypuszczenie to nie wierzył, ale chciał dokuczyć burmistrzowi, bo ten, choć miał zawsze pewną słabość do »chłopaka«, jednak się go trochę obawiał.

I pocisk nie chybił celu: burmistrz aż drgnął na te wyrazy.

— A toby nam bigosu narobił, jak Boga kocham — odezwał się niespokojnie. — Jakby wziął pytać a badać, gdzie się podział protokół, a to, a owo, tak ani w tę stronę, ani w tę! Niech go dyabli wezmą, razem z jego doktorstwem prawa i filozofii!

Kwatermistrz popatrzył ironicznie na swego zwierzchnika.

— Nie było żadnego protokołu, bo nie było wyborów — rzekł z naciskiem — pamiętaj pan o tem.

— A, ba, cobym nie miał pamiętać. Przecie panu powiedziałem, że tak ma być. Czy sam nie mówiłem, hę?

— Powiedział pan prezydent — odrzekł ulegle kwatermistrz.

— A ten dureń naczelnik myśli, że tylko on jeden wie, co kiedy trzeba zrobić — pomyślał — hm, a to mi się podoba! Niech on swego nosa patrzy i powiatu, a radę dla miasta ja sam znajdę.

— Nie boisz się pan, żeby Wilczek, jeżeli wróci, wznowił tę sprawę o pieniądze za postój jenerałów w domu Wilczkowej? — zapytał, zwracając się znowu do kwatermistrza.

— To takie stare rzeczy — szepnął tamten z lekceważeniem.

— Zdaje mi się, że pan masz te pieniądze na sumieniu — zauważył śmiejąc się burmistrz — przyznaj się pan. Żeby tylko Wilczek nie chciał w tem bardzo grzebać... Tacy panowie lubią starożytności.

Położył papiery, wstał i, pogwizdując z cicha, przystąpił do okna, przez którego szyby, zakurzone i przepalone od słońca, wszystkie przedmioty przedstawiały się jak przez mgłę. Patrzył przez nie, patrzył, patrzył, nareszcie zawołał:

— Wilczek jest!

Teraz z kolei kwatermistrz drgnął, a na twarz wystąpiły mu plamy czerwone. Miał jakieś niedobre przeczucia i obawy, jakieś domysły i wątpliwości. Jeżeli Wilczek jest, kto wie, czy

nie był już wczoraj — a jeżeli był... Podejrzewając, że może wzrok omylił burmistrza, przysunął się do okna i był świadkiem objawów serdecznej sympatyi, jakiej mieszkańcy nie szczędzili młodzieńcowi po kilkutygodniowej nieobecności. Otoczyli go gromadnie, ściskali mu ręce, witali, zarzucali pytaniami i wkrótce zrobiło się koło niego tłumnie.

Aptekarz wybiegł ze swojej apteki z gołą głową, inżynier, jadący za szarwarkiem, zesiadł z bryczki, żeby się z nim przywitać, a doktór Jacenty, zobaczywszy go zdaleka, biegł ku niemu jak młodzieniec, pomimo swoich sześćdziesięciu lat. Na wszystkich twarzach widać było radość, snać Jerzy był nietylko szanowany, ale i kochany.

Coś mu opowiadano, z czegoś się tłómaczono: z gestykulacyi rąk widać było, że rozprawy były bardzo żywe. Jerzy słuchał w milczeniu, naraz coś mówić zaczął.

— Ciekawa rzecz, co ten chłopak mówi — odezwał się burmistrz i, otworzywszy lufcik, usłyszał słowa następujące:

— Oszukano was panowie, ale sami jesteście temu winni. Mówiłem wam tyle razy: trzymajcie się ustaw, a staniecie na mocnym gruncie, z którego was nikt zepchnąć się nie ośmieli. Ale co was obchodzą ustawy! wy wolicie polegać na tem, co wam byle kto powie. Narzekacie, że jest źle, chcecie brać udział w sprawach miasta, rozprawiacie o swoich prawach, ale nikt nie

ma ochoty przekonać się, jakie są te prawa, co wam dozwalają, a czego wzbraniają; bo ciężko jest sprzezwyciężyć lenistwo i ociężałość, będące waszą zastarzałą chorobą. To też zadrwiono sobie z was i dobrze wam tak! Porodziliście się w tem mieście, a żydzi i Niemcy wami rządzą, a obcy przybysze popychają was i potrącają jak włóczęgów bezdomnych, sami zajmując wasze miejsca... Spełniło się na was proroctwo Skargi: »Wygnańcy, wszędzie nędzni, które nogami kopać tam, gdzie was wprzódy szanowano, będą«. Panowie, czas już, żebyście przestali chodzić bez głów; czas, żebyście sami zaczęli myśleć, nie oglądając się na to, co inna głowa za was wymyśli! Niech każdy nosi na karku swoją własną głowę i nie pożycza rozumu od nikogo. Wiedzcież raz, czego chcecie, a co postanowicie, to czyńcie! Czy wam nie wstyd panowie! miasto duże, jest w niem siedm tysięcy mieszkańców, a nie ma ani jednego obywatela!

Cisza nastała po tych słowach, jakby makiem zasiał. Słowa były ostre, prawdy usłyszane twarde, ale nikt się o nie nie gniewał, bo wszyscy czuli, że Jerzy ma słuszność. Ktoś się odezwał z projektem podania prośby do naczelnika powiatu, opatrzonej podpisami, o unieważnienie powtórnych wyborów i inni poparli go gorąco. Zrobił się gwar.

Burmistrz słyszący dokładnie to wszystko ze swego okna, myślał:

— A to ich poczęstował, niech go dyabli wezmą, ale ma racyę, o ma! Nie ma to jednak jak jurysta, nikt go nie przegada! Ale co to on chciał powiedzieć, że byle kogo słuchają? Kto to jest ten »byle kto«, chciałbym wiedzieć; kogo to on miał na myśli? Ja jestem ojciec miasta, a nie byle kto, niech sobie zanadto nie pozwala ten młokos! Albo jakie to głupie gadanie o tej głowie, żeby każdy swoją na karku nosił, a od innej rozumu nie pożyczał. Ja jestem głowa miasta i mam prawo, a nawet obowiązek myśleć za wszystkich. A co do pożyczki, czy ja się myślę upominać, żeby mi kto moje dobre rady napowrót oddał? Ja je każdemu na własność daruję, niech znają, co zacz! A ten projekt prośby do naczelnika, to mi się wcale nie podoba.

I wychyliwszy głowę przez lufcik, zawołał:

— Obywatele! pan Wilczek narzeka, że między siedmiu tysiącami mieszkańców nie ma wcale obywateli, a ja was tu widzę kupę zebranych i znalazłaby się jeszcze większa kupa, gdyby tego była potrzeba. Ale na co, ciekawym? Jesteście godni, zacni obywatele, ja wam to powiadam, ja, możecie mi wierzyć i dacie dowód największego rozumu obywatelskiego, gdy się zachowacie spokojnie. Najpotężniejszem prawem, przed którem korzyć się należy, jest uznanie faktów dokonanych. Fakta dokonane, to jest panie dobrodzieju porządek, a kto przeciw nim występuje, burzy porządek. A kto porządek burzy, wiecie kim jest? burzycielem, a burzyciel i po-

wstaniec to jedno. Na powstańców wytaczają się armaty, a wiecie co się robi z armatami? strzela się z nich i brrrr!.. Nie róbcie sobie nic z tego, co mówi pan Jerzy, bo on jest filozofem, więc mówi jak filozof; tylko powiedzcie sobie, że dziś nastały takie czasy, że jaja są mędrsze od kur. A co do waszych głów, to ciekawym, co w tem lepszego i wygodniejszego, żeby każdy z osobna sprawami miejskiemi się kłopotał, kiedy od tego jest głowa miasta. Jeżeli wystarcza na wasze potrzeby jeden urząd powiatowy, jeden magistrat, jedna parafia, ciekawym, dlaczego nie ma wystarczyć jedna głowa! Skończyłem.

Gdy burmistrz zaczął mówić, wszyscy popodnosili głowy i patrzyli w górę, gdzie w ramie lufcika tkwiła czerwona twarz jego ze świecącą na brzegu głowy łysiną. Słuchając mowy, jedni śmieli się, drudzy trącali łokciami, inni, gdy skończył, klaskali i rozeszli się. On tymczasem ocierał pot z czoła, mówiąc do kwatermistrza:

— Com palnął, tom palnął! a poszło mi jak po maśle. Jak Boga kocham, takem im do duszy przemówił, że aż mnie samemu jest jakoś miękko. Beknę, dalibóg beknę, bo jestem na czczo, tylko po lekkiem śniadanku; a jak człowiek na czczo, to mu się zawsze serce ściska. Paneś dobrze słyszał moją mowę: prawda, że mi się udała, co?

— Aha — odmruknął machinalnie kwatermistrz, który siedział znękany jakiś i przybity

i ani jednego słowa nie słyszał. — Czy Wilczek stoi tam jeszcze?

— Już poszedł.

Kwatermistrz odetchnął. Przemyśliwał już od kilku chwil, co lepiej: wyjść stąd, czy zostać, ale dowiedziawszy się, że Jerzy odszedł, zdecydował się na to ostatnie. Usiadł więc napowrót zamyślony. Na schodach dały się słyszeć kroki, które jakimś nieokreślonym niepokojem przejęły obydwóch. Spojrzeli na siebie.

— A jeżeli on tu przyjdzie? — odezwał się burmistrz, spoglądając na kwatermistrza.

— To go pan przyjmiesz — odrzekł tamten — ja odchodzę.

— O nie! — powiedział prędko ojciec miasta — to go pan przyjmij, a ja odejdę. Jestem na czczo i nie będę w stanie nad sobą zapanować; mógłbym go za ostro przyjąć, pan mnie znasz. Mów pan z nim sam. Czego się pan go boisz? Ten człowiek już nie ma żadnej władzy.

— A pan się go nie boisz?

— Nie-e-e-e.

Wtem usłyszeli głos Jerzego, który się pytał żołnierza, stojącego na straży, o burmistrza i pana sekretarza policyi. Kurtz, usłyszawszy to, zbladł śmiertelnie.

— Ja się z nim widzieć nie mogę, nie chcę! — szepnął rozpaczliwie, spoglądając na jedyne drzwi, któremi już teraz wyjść nie mógł, żeby się nie spotkać oko w oko z przybyłym.

W tej chwili Jerzy wszedł do sali. Burmistrz obejrzał się za kwatermistrzem, jako za swoim sprzymierzeńcem, ale sprzymierzeńca nie było. Znikł, jak kamfora, jakby ziemia rozstąpiła się pod nim, tylko ledwie dosłyszalny szmer dał się słyszeć w okolicy komina. Burmistrz stał osłupiały, zdziwiony, a wąsy zaczęły mu się leciutko ruszać i policzki drgać. Zanosiło się na krotochwilę.

— Panie prezydencie — przemówił Jerzy wchodząc — winszuję panu pańskiej mowy. Była świetna, chociaż chybiła celu. Nieprawnie pan zarządziłeś nowe wybory, skoro pierwsze były zupełnie ważne i pozostał po nich ślad w protokóle.

— Wybory nie były formalne — odrzekł burmistrz, ruszając ciągle wąsami — a protokół gdzieś się zapodział...

— Mam nadzieję, że go znajdziemy — odrzekł Jerzy surowo — bo nie chcę przypuszczać, aby ojciec miasta miał się dopuścić tak karygodnej niedbałości o całość dokumentów, zabezpieczających prawa mieszkańców.

— On mi prościutko do serca mówi, ten chłopak — myślał burmistrz. — Serce moje miękkie, bo jestem na czczo, ale wątpię, żeby protokół się znalazł, skoro go własna moja ręka zniszczyła. Sam to widziałem.

I udając przejednanego, rzekł roztwierając ramiona.

— Szukaj pan dokumentu, kochany panie Jerzy; przekonałeś mnie zupełnie i z całej duszy gotów jestem zrobić wszystko dla pana. Otworzę panu szufladę!

— Nie moja rzecz rewidować pańskie papiery — rzekł młodzieniec zimno. — Odszukanie protokółu pańską jest rzeczą. Ale ja nietylko po to tu przyszedłem. Gdzie jest pan sekretarz policyi? Mówiono mi, że się tutaj znajduje.

— Poszedł do domu, kochany panie Jerzy z pewnością poszedł, doprawdy! Śpieszyło mu się widzi pan...

To powiedziawszy, spojrzał z ukosa na komin, a policzki zaczęły mu drgać znowu. Jerzy, zauważywszy to spojrzenie, popatrzył w tym samym kierunku i dojrzał wyglądające z pomiędzy różnych, znajdujących się tam ruchomości końce butów.

— Szkoda — powiedział spokojnie — mam tu dla niego pewien dokument, który go zapewne zainteresuje. Czytaj pan.

I podał mu papiery. Burmistrz wziął je w rękę, ale zaledwie rzucił na nie okiem, zmienił się na twarzy i zawołał:

— Na Boga! panie Jerzy, jak pan do tego przyszedłeś?

— Czytaj pan, to się dowiesz — odrzekł młodzieniec, a gdy burmistrz utopił znowu oczy w papierach, mówił dalej. — Gdy w imieniu wdowy Wilczkowej upominałem się o należące jej prawnie wynagrodzenie za postój jenerałów,

pan kwatermistrz odpowiedział mi, że pieniądze widocznie jeszcze nie nadeszły, a pan kasyer utrzymywał, żeśmy je już dawno odebrali i pokwitowali. Postanowiłem zbadać, kto nas w tem tak uprzejmie wyręczył, i pojechałem do miasta gubernialnego sprawdzić rachunki deputacyi; ale tam się dowiedziałem, że kwity odesłane już zostały do Izby obrachunkowej w Warszawie.

— Ach, więc pan po to tam jeździłeś?!

— Tak jest: chciałem na własne oczy zobaczyć podpisy na tych kwitach; ale urzędnik objaśnił mnie, że nie wolno mu pokazywać mi kwitów i że pani Wilczkowa musi podać z miejsca swego zamieszkania prośbę o to, legalizowaną przez właściwy magistrat co gdy nastąpi, Izba odpowie, kto kwity podpisywał i porówna znajdujące się na nich podpisy z pismem proszącej.

— Nie otrzymaliśmy tej prośby — przerwał burmistrz.

— Bośmy jej tu nie podawali, wiedząc z góry, że panowie, związani z sobą solidarnie, nie puścicie jej dalej. Pani Wilczkowa przeniosła się na czasowe mieszkanie do sąsiedniego miasta powiatowego i stamtąd podała prośbę legalizowaną przez tamtejszy magistrat.

— Dyabeł z pana nie człowiek!

— Odpowiedź Izby obrachunkowej, którą pan trzyma w ręku, stwierdza, że kwitów było dwa: na jednym podpis pani Wilczkowej nie zgadza się wcale z podpisem, znajdującym się

na prośbie, przez nią podanej, a na drugim znajduje się podpis jej męża ś. p. Jerzego Wilczka, zmarłego na cztery miesiące przed datą wydania kwitu. Przyznasz pan, że to dostateczny dowód fałszerstwa i kradzieży. Dosyć już nabroiliście panowie; czas położyć kres nadużyciom.

— Bój się Boga! panie Jerzy — zawołał burmistrz, spojrzawszy na ostatnią kartę — bój się Boga, nie rób z tego użytku! Kurtz cię przeprosi i pieniądze zwróci. Hej! Kurtz, wyłaź z komina i przeproś pana Wilczka!

Na te słowa zrobił się w kominie ruch: kawał starej deski, zakrywający otwór z jednego boku, runął z łoskotem, a z komina wysunęło się widmo prawdziwe, bo jak widmo blady kwatermistrz. Mundur jego pokryty był sadzami i pyłem, a na plecach i ramionach wisiała kilkowiekowa pajęczyna. Pokornym, błagającym ruchem sięgnął do ręki Jerzego, ale młodzieniec cofnął się z odrazą.

— Precz! — krzyknął piorunującym głosem — precz odemnie nikczemny fałszerzu! Strułeś mi psa, skradłeś papiery, mówiące przeciwko tobie, wyciskałeś grosz krwawo zapracowany z biednej ludności i myślałeś, że ujdziesz mej ręki? Powiedziałem, że ciebie i twoich wspólników w proch zgniotę i dotrzymam słowa. Zgnijesz w więzieniu!

Strasznym był Jerzy w swoim gniewie: ktoby w tej chwili, spojrzawszy na portret sławnego burmistrza, porównał z sobą tych dwóch

ludzi, musiałby przyznać, że prawnuk był jeszcze groźniejszym od pradziada.

— Panie Jerzy — przemówił burmistrz, któremu żal się zrobiło kwatermistrza — szanowny, kochany panie Jerzy, nie gub go pan! on ma dzieci... Kurtz, na kolana!

Ale w tejże chwili rozległ się huczny odgłos bębna: kwatermistrz, posłyszawszy go, zachwiał się i zaczął drżeć jak liść — a z rynku dał się słyszeć głos woźnego magistratu:

— Mości panooowie! mości panooowie! mości panoooowie!

W Kozłowie do tej pory przechował się średniowieczny zwyczaj ogłaszania wszelkich rozporządzeń władzy miejskiej, jak również i innych mniej ważnych wiadomości, za pomocą bicia w bęben i przywoływania głosem publiczności Pan kwatermistrz kazał ogłosić o zgubieniu pugilaresu z papierami, choć, gdyby był wiedział, że Jerzy powrócił, nie byłby może odważył się na to.

Ogłuszający odgłos bębna odezwał się znowu i wołanie:

— Mości panooowie! mości panooowie! mości panooowie!

Kwatermistrz spojrzał dokoła siebie błędnym wzrokiem, a choć unikał wzroku Jerzego, przeczucie mówiło mu, że on coś wie o jego zgubie i drżał, drżał tak silnie, że aż mu zęby szczękały.

Tymczasem na rynku coraz większa gromada ludzi zbierała się dokoła sługi magistrackiego, więc po raz trzeci uderzył w bęben.

— Słuchaj pan! — rzekł Jerzy do burmistrza.

Woźny przemówił:

— Mości panowie! podaje się do publicznej wiadomości, że wczoraj o godzinie dwunastej w nocy, w bliskości ratusza, zgubiony został pugilares z papierami. Był w bronzowej oprawie, z czterema kieszeniami, wyklejony w środku zielonym kitajem. Kto go znajdzie, niech odniesie do pana Kurtza, sekretarza policyi, a otrzyma nagrodę. Skończyłem.

Kwatermistrz rzucił ukośne spojrzenie na drzwi, ale plecami do nich, a przodem do niego stał właśnie Jerzy, a Jerzy był wysoki i silny.

Gdy głos woźnego umilkł, Jerzy sięgnął do kieszeni i wyjąwszy z niej pugilares w bronzowej oprawie, zapytał, okazując go zdaleka kwatermistrzowi:

— Czy ten?

Zapytany spuścił głowę na piersi i milczał jak mur.

— Znalazłem go wczoraj w nocy przy bocznych drzwiach ratusza, gdyś pan przez nie wychodził — mówił młodzieniec dalej. — Bawiłeś pan wprzód w tej sali trzy kwadranse, paląc światło, a było to nie pierwszy raz.

— Ach! — krzyknął burmistrz — co to wszystko znaczy, panie Kurtz?

— Przejrzyj pan pugilares, a zrozumiesz, co to znaczy — odrzekł Jerzy, oddając go burmistrzowi.

Burmistrz wyrzucał z niego gorączkowo papiery i zawołał:

— Jezus, Marya! kopia kalkowana planów miasta i okolicy, które były pod moim kluczem; obliczenie sił wojskowych oraz zapasu żywności i futrażu, jakiego miasto może dostarczyć; rachunki cekhauzu i wojskowych magazynów mąki... jakieś kwity niemieckie... Panie Kurtz, co to wszystko znaczy?

— To znaczy, że pan sekretarz policyjny jest pruskim szpiegiem — odrzekł Jerzy spokojnie — to znaczy, że za pruskie pieniądze dostarczał wojennemu sztabowi w Berlinie wiadomości statystycznych, dotyczących sił i zasobów wojsk rosyjskich, rozlokowanych w pasie pogranicznym. Szukaj pan dalej, znajdziesz tam jeszcze czeki, wystawione na bank wrocławski. Takimi pan jesteś otoczony ludźmi, panie prezydencie, takimi to ludźmi rząd się posługuje. Teraz, gdy pan już wiesz wszystko, spodziewam się, że oddasz zbrodniarza w ręce sprawiedliwości, bo inaczej posądzonoby pana o wspólnictwo!

Dziwnem się może wyda komu, że kwatermistrz kazał o takiej zgubie ogłaszać publicznie ale czy tak, czy owak, zawsze byłby zgubionym, bo na czekach było wyraźnie wypisane jego nazwisko — a szczęśliwy wypadek mógł go jednak ocalić. Mieszczanie kozłowscy mieli wstręt wrodzony do pisanego i drukowanego, a niemczyzny nie znali — tam zaś wszystkie notatki i spisy zrobione były po niemiecku, więc nie każdy mógł

być z nich mądrym. Gdyby zaś Niemiec jaki je znalazł, nie było obawy: »Kruk krukowi oka nie wykole«. O przybyciu Jerzego kwatermistrz nie wiedział. Teraz wszystko było stracone.

Twarz mu pozieleniała ze strachu; upadł na kolana i usiłował objąć nogi Jerzego, ale młodzieniec odtrącił go i wyszedł. Zgnębiony przyczołgał się do nóg burmistrza, ale ten przerażony odpowiedzialnością, jaka na nim ciążyła, odskoczył i, zapomniawszy, że jest na czczo, biegał jak szalony po sali, łamiąc ręce i wołając:

— Jezus, Marya! Jezus, Marya!

Z tej chwili skorzystał sprytny człowiek: zerwał się w jednej chwili, pchnął drzwi i stoczył się jak kula po schodach na dół. Burmistrz chciał za nim biedz, ale potoczył się o ścianę, zawadził nogami o sztandar strażacki i upadł z nim razem.

Legł okryty swoją własną chwałą.

XXX.

Tego samego dnia jeszcze Jerzy złożył wizytę baronowej Stern, dla zasięgnięcia wiadomości o jej mężu. Baronowa, kobieta młoda, nie piękna, ale pociągająca twarzą myślącą i łagodną, przyjęła go bardzo serdecznie.

— Nareszcie! — rzekła z łagodną wymówką— nareszcie widzę pana u siebie. Pomimo całej przyjaźni mego męża dla pana, nie chciałeś pan nigdy przekroczyć progów naszego domu, i trzeba było aż nieszczęścia, żebyśmy się bliżej poznali. Dzięki i za to: dobrych przyjaciół najlepiej się poznaje w nieszczęściu.

Uścisnęli sobie ręce i gdy Jerzy zapytał o barona, rzekła smutnie:

— Nie rozumiem całej tej sprawy, ale mam niejasne przeczucie, że się źle skończy. Owiał nas jakiś wiatr nieprzyjazny, i niewiadomo nawet, z której przyszedł strony. Gubernator, dobry dawny znajomy Waldemara, tak nam zawsze życzliwy, najniespodziewaniej w świecie dał mu do zrozumienia, że powinien się podać do uwolnienia z urzędu prezesa straży ogniowej. Uczynił to bezzwłocznie, ale pojechał sam do miasta gu-

bernialnego prosić gubernatora o poufne wyjaśnienie tego faktu. Zadawano mu tam pytania, które go zdumiewały i na które wcale przygotowany nie był, ale widać musiał dać zadawalające objaśnienia, bo książę kazał mu wracać do Kozłowa i »być nadal spokojnym«. Ale zaledwie Waldemar powrócił, otrzymał od ministra spraw wewnętrznych pismo, zawierające radę, żeby się podał natychmiast do dymisyi z urzędu komisarza włościańskiego, bo inaczej sami go uwolnią. Wahał się jednak z przyjęciem tej rady, przypuszczając, że to chwilowa może niełaska wskutek chwilowego także nieporozumienia; że się to może zmieni po wyjaśnieniach, danych przez niego gubernatorowi... i w trakcie tego nadeszła dymisya.

Westchnęła.

— Był to dla niego cios istotnie dotkliwy: nie pojmowaliśmy oboje, za co go to spotkało, bo zawsze był prawym człowiekiem i sumiennym urzędnikiem.

— Przeczuwam w tem wszystkiem jakąś osobistą intrygę — wtrącił Jerzy.

— I Waldemar tak myśli; pojechał do Petersburga, w nadziei, że zdoła tę sprawę wyjaśnić, i może minister cofnie swoje postanowienie. Zobaczymy, z jakim stamtąd powróci rezultatem; wątpię, by z dobrym. Może trzeba będzie wrócić do Kurlandyi, gdzie posiadamy niewielki ziemski majątek, i wziąć się do gospodarstwa. W każdym razie żal nam będzie opuszczać ten piękny, choć

smutny kraj i tych dobrych ludzi, co nam tyle okazali serdecznej życzliwości. Ja prawie przywiązałam się do tych stron: tu pochowaliśmy naszego starszego synka, tutaj nasz młodszy przyszedł na świat... Ale jak to będzie z panem, panie Wilczek? — spytała, ocierając skrycie łzę. — Miałam prywatną wiadomość, że gubernator zlecił naczelnikowi powiatu, żeby pana nakłonił do uwolnienia się od obowiązków naczelnika straży ogniowej.

— Do mnie już ta wiadomość dostała się drogą urzędową — odrzekł Jerzy.

— I już pan podałeś prośbę o uwolnienie?

— Nie pani — odpowiedziałem, że nie widzę potrzeby tego czynić. Jeżeli władza ma co przeciwko mnie, niech mnie sama uwolni. Spełnię mój obowiązek do końca.

— Źleś pan zrobił — zauważyła baronowa — nie utrzyma to pana na stanowisku, a przeciwników pańskich tylko rozdrażni. Usunięcie się dobrowolne nie zamknęłoby panu drogi na przyszłość, w przyjaźniejszych okolicznościach, a usunięty prawie przemocą, sam pan sobie zamykasz powrót!

— Innego jestem zdania — odpowiedział Jerzy. — Pozorne nawet ustępstwo od tego, co się uważa za swój obowiązek, niegodne jest człowieka honoru. Jeżeli się ma jakieś przekonania, należy mieć także odwagę wytrwać przy nich. Dyplomacya rzadko kiedy trafia tam, gdzie potrzeba; ja dyplomatą nie jestem. Nienawidzę

dróg krętych i skrytych; wybieram proste, otwarte i szerokie. Każdy mój krok jest jawny i nie lęka się światła dziennego.

Od czasu tej poufnej przyjacielskiej rozmowy, Jerzy czasami baronową odwiedzał; dzieliła się ona z nim wiadomościami, otrzymanemi od męża — wiadomościami, z których wiele się można było nauczyć. Nastąpiło też to, co z góry można było przewidzieć: Jerzy doczekał się uwolnienia »za bezustanne odstępowanie od ustawy«, tak opiewał papier urzędowy, nie bez powszechnego żalu mieszkańców. Fakt się stał jednak i był już nieodwołalnym.

Zarządzono nowe wybory, ale Bunge nic na tem nie skorzystał. Od strony Prus zawiał wtedy wiatr chłodny, i nietylko, że nie było można myśleć o wybraniu Niemca na naczelnika, ale ze straży usunięto aż trzynastu ochotników niemieckiego pochodzenia, z rozporządzenia gubernatora. Wybrano jednego z kupców, ale ten, nie obznajomiony z komendą strażacką, wszelkie czynności zastępcze zdał na Jerzego, który przeto faktycznie nadal naczelnikiem straży pozostał.

Baron Stern tymczasem poznawał własnem doświadczeniem, co to jest zmienność losu. Jadąc do Petersburga, zatrzymał się w Warszawie, a że miał liczne stosunki w wysokich sferach, więc kołatał po kolei do tych wszystkich, co się zwali jego serdecznymi przyjaciółmi. Pierwszym był sekretarz kancelaryi jenerał-gubernatora: ten, gdy

go baron prosił o wyjaśnienie, za co został tak niespodziewanie uwolniony, odpowiedział:

— Sprzyjałeś pan żywiołowi polskiemu i przez to musiałeś stracić zaufanie władzy.

— Nie dawałem temu żywiołowi przewagi nad żywiołem rosyjskim — tłómaczył się baron — cała moja wina chyba w tem, że, uważając wszystkich Słowian za braci, nie robiłem między nimi różnicy.

— W rodzinie państwa nie może być równości, jak w rodzinie prywatnej — odrzekł zimno sekretarz — brat starszy musi mieć nad młodszym przewagę prawo wywierania surowości i karania w miarę potrzeby. Marzenia o zupełnej równości są równie nierozsądne i niebezpieczne, jak głupie mrzonki socyalistyczne o zniesieniu różnicy stanów.

Baron chciał zaprotestować przeciwko takiemu pojęciu jego słów, ale mu sekretarz nie pozwolił.

— My postępujemy podług natchnienia, otrzymanego z góry — mówił dalej — a duch jego jest taki. Kto nie idzie z nami, jest przeciwko nam; a kto jest przeciwko nam, tego zdepczemy jak nędznego robaka... Musiałeś się pan cieszyć wielkiem zaufaniem polskiego towarzystwa, skoro cię zaproszono na prezesa straży ogniowej: jest to największy dowód przeciwko tobie. Dowiedz się, że nie potrzebujemy ludzi, cieszących się zaufaniem Polaków, ani nawet Rosyan, ale urzędników, urzędników w każdym

calu. Zrozumiałeś? Jesteś bardzo krótkowidzącym, jeżeliś nie spostrzegł, że rząd niechętnie patrzy na straże ogniowe i wszystkie stowarzyszenia. Zniesiemy powoli te głupie karykatury samorządu.

— I do mnie to przemawiasz w taki sposób? — zapytał baron z boleścią — do starego kolegi i przyjaciela!

— Byłem twoim przyjacielem, ale dziś jestem pierwszym wrogiem.

Po takiem oświadczeniu, baron odwrócił się, nie żegnając i wyszedł. Nie stracił jednak nadziei i zażądał audyencyi u naczelnika kraju. Tam znalazł przyjęcie w formie o wiele łagodniejszej, niż u sekretarza; ale na zapytanie barona, za co został uwolniony, jenerał-gubernator odparł tonem zdziwienia:

— Jakto! pan się o to pytasz? a więc dowiedz się, że już oddawna prowadzi się o pańską osobę korespondencya, i gubernator odzywa się o panu nieprzychylnie, choć nie mówi, dla jakiej przyczyny. Bardzo to nietaktownie z pańskiej strony, że jako rosyjski urzędnik przyjąłeś godność prezesa straży ogniowej. Dawno już powinieneś był otrzymać dymisyę za bratanie się z polską szlachtą, przez co straciłeś zaufanie włościan. Komisarz włościański przedewszystkiem o to ostatnie starać się powinien.

Baron nie próbował się już więcej usprawiedliwiać. Wyszedł na ulicę zamyślony i spotkał się przypadkiem ze znajomym sobie oddawna

wyższym oficerem żandarmeryi. Z ciężkiem sercem opowiedział mu swoje strapienia i wysłuchany został życzliwie. Oficer upewnił go, że to sprawiły jakieś osobiste intrygi złych ludzi, chcących się pozbyć z Kozłowa uczciwego człowieka— radził, aby szukał sprawiedliwości w Petersburgu i wykrył wszystkie nadużycia administracyjne.

Baron uścisnął mu rękę z wdzięcznością i puścił się w drogę do nadnewskiej stolicy. Miał tu także przyjaciół, a jednym z najlepszych był szef żandarmeryi. Udał się więc do niego, opowiedział mu rzecz całą, ale szef tylko ramionami ruszył.

— Nic dla ciebie nie mogę zrobić, kochany Waldemarze. Wierzę, żeś niewinien i że tylko okoliczności złożyły się tak nieszczęśliwie przeciwko tobie. Zbłądziłeś, przyjąwszy godność prezesa straży ogniowej, bo te oddziały, formujące się na sposób oddziałów wojskowych, są dla nas podejrzane. Zrobiłeś to w prostocie serca, wiem o tem, ale polityka sentymentalna na nic się nie zdała.

Gdy baron wspomniał, że w innych miastach prowincyonalnych komisarze włościańscy pełnią te same obowiązki, szef nic na to nie odpowiedział.

Widząc, że na tej drodze nic nie wskóra, wspomniał baron o nadużyciach administracyjnych, dodając uwagę, że tym, co się ich dopuszczają, dobrze się dzieje, podczas gdy uczciwi często bywają prześladowani; ale szef dał

mu do zrozumienia, że lepiej byłoby dla niego, gdyby z innymi w lepszej żył harmonii, bo swoi ze swoimi trzymać się powinni.

Po tych słowach spojrzał znacząco na zegarek.

Biedny baron spostrzegł, że szerokie koło jego stosunków nagle się bardzo zmniejszyło, a co chwila jedno ogniwo odpadało od tego łańcucha. Nikt mu nie chciał pomagać, nikt za nim przemówić. Wpadł w niełaskę i wszyscy się od niego usuwali, jak od zapowietrzonego, z obawy, aby sami nie wpadli w podejrzenie. Zaledwie go słuchano, a każdy udawał, że nie wie, za co baron został uwolniony, i uważał sobie za obowiązek, wyrzec kilka słów jałowego współczucia, które go napełniało tylko goryczą.

Nareszcie trafił na człowieka z sercem i głową; uzyskał posłuchanie u towarzysza ministra spraw wewnętrznych, zastępującego chwilowo nieobecnego natenczas ministra. Ten rzekł do strapionego barona:

— Mów ze mną szczerze, nie krępując się niczem, nie jak z urzędnikiem ale jak z człowiekiem prywatnym. Mów nietylko o sobie, ale i o położeniu kraju, w którym przebywałeś dotąd. Mamy tam kłopoty i powinniśmy znać do brze ich źródło, żeby je usunąć.

Baron, zachęcony tak serdecznem wezwaniem, jął opowiadać wszystko, co widział, słyszał i doświadczył podczas swej kilkoletniej służby na

stanowisku komisarza włościańskiego. Skreślił przekonania, pragnienia i nadzieje mieszkańców, o ile mu były wiadome; odmalował położenie pod względem moralnym, ekonomicznym i społecznym. Wspomniał nawet o sprawie Wilczków.

Trwało to dwie godziny. Minister słuchał go zadumany, a gdy baron umilkł, odezwał się:

— Widzę, że gdybyśmy mogli znaleźć ludzi, rozumnie pojmujących intencye rządu i działających więcej wedle ich ducha, niż litery, pozbylibyśmy się wielu trosk ciężkich, stamtąd idących. Ale skąd wziąć ludzi, którzyby nie karyerę własną, nie zbogacenie się, ale dobro państwa mieli na celu, skąd?

Zamyślił się.

— Spróbuję coś zrobić dla ciebie, kochany baronie — rzekł po chwili — a przedewszystkiem postaram się zbadać tę sprawę... Do dymisyi jednak podać się musisz, bo już została wydana na to decyzya »na własne żądanie«. Bądź zdrów.

Zarządzono tajne śledztwo, które trwało parę miesięcy, i baron otrzymał posadę na kresach państwa. Z nominacyą w kieszeni pojechał na miejsce nowego urzędowania, a do żony napisał, żeby go się nie spodziewała wcześniej, niż za kilka miesięcy; bo jeżeli warunki miejscowe i otoczenie, w jakiem mu żyć przyjdzie, nie przypadną mu do gustu, to zrzeknie się służby i osiędzie na gospodarstwie w Kurlandyi.

Podróż do stolicy uleczyła go raz na zawsze z marzeń o »złotym moście«.

Tak skutkiem wielkiej polityki Gonczarowa, upadł jeden ze szlachetniejszych Rosyan, jacy pełnili służbę w Królestwie Polskiem.

* * *

Myślał Gonczarow, że usunąwszy barona, pozbędzie się za jednym zamachem i Wilczka, bo pozbawiony poparcia, nie wytrwa dłużej w Kozłowie; ale się omylił. Dowodem tego było złożone mu wkrótce podanie, opatrzone stu podpisami, a domagające się unieważnienia nowych wyborów do deputacyi kwaterniczej, skoro dawne odbyły się prawnie...

Wielki dyplomata podanie przyjął, zapewniając, że nie przepadnie tak, jak przepadł protokół wyborów. Jakoż istotnie nie mogło przepaść, bo schował je pod klucz do biurka i więcej o niem nie myślał.

Mieszczanie czekali miesiąc, czekali drugi, czekali trzeci, i nie mogąc się rezultatu żadnego doczekać, podali prośbę do gubernatora, opatrzoną trzykroć większą liczbą podpisów, niż ta, która była podaną do naczelnika. Książe Czertyszew, rozdrażniony i niezadowolony z ciągłych niepokojów w Kozłowie, zażądał od Gonczarowa objaśnień, dlaczego były nowe wybory. Gonczarow postąpił w tym razie nietylko jak wielki dyplomata, ale jak skrupulatny, ściśle formę przestrzegający urzędnik: wydelegował swego pomocnika czyli adjunkta na śledztwo do magistratu, i tu odbyła się wielka komedya, a raczej wielka

krotochwila, przy której raz po raz burmistrzowi policzki drgały i ruszały się wąsy — a wszyscy aktorowie tej komedyi zachowywali powagę aktorów dramatu.

Delegowany, żyjący w przyjaźni ze wszystkimi, przeciwko którym śledztwo miał prowadzić, uroczyście nastrojony, udał się do magistratu, gdzie już oczekiwali na niego podlegający śledztwu urzędnicy wraz z burmistrzem, i zapytał, czy były poprzednio jakie wybory. Odpowiedziano mu, że wyborów nie było i że o żadnym protokóle nie słyszano.

Na to oświadczenie, Jerzy, który tam właśnie był nadszedł, pragnąc być obecnym przy śledztwie, zwrócił się do sekretarza, usiłującego się z pod jego wzroku nieco na bok usunąć.

— Pan byłeś, jak słyszałem, jednym z pierwszych, co ten protokół podpisali, czy i pan temu zaprzeczysz?

Zapytany zmieszał się i odpowiedział nieśmiało, że nie wiedział, co podpisywał.

— Smutna to rzecz bardzo, że urzędnik i to urzędnik policyi, nie wie, co robi — odrzekł z pogardą młodzieniec. — Widzę moi panowie, żeście tak nizko upadli, iż żaden z was nie ma odwagi powiedzieć prawdy. Ale ja mam tę odwagę i mówię wam w oczy: jesteście tchórze! Co zaś do pana, panie adjunkcie, to zamiast pytać tych panów, którzy widocznie mieli interes w zniszczeniu protokółu, czy były wybory i poddawać rzecz w wątpliwość, należało wezwać wyborców i po-

stawić ich przeciwko nim jako świadków. Ale nie moja rzecz uczyć pana, jak pan powinieneś postąpić: pan wiesz to równie dobrze jak ja. Przyszedłeś pan tu grać komedyę, ułożywszy z góry jej zakończenie!

Adjunkt nic nie odpowiedział na tę uwagę: zaczął spisywać zeznania badanych, gdy drzwi otworzyły się szeroko i weszli wszyscy wyborcy w liczbie dwunastu, uprzedzeni przez doktora Jacentego o śledztwie, wołając chórem:

— Przyszliśmy świadczyć za wyborami, pisz pan nasze nazwiska.

Delegat zmieszał się, zaczerwienił, kiwnął głową na znak, że stanie się jak sobie życzą, i zaczął machać szybko piórem po papierze. Poczem złożył papier we czworo, schował do kieszeni i z ukłonem pożegnał zgromadzenie. Co tam namachał, nikt nie wiedział, nikt też nie posądzał go o złą wiarę. Naczelnik przesłał gubernatorowi protokół śledztwa z objaśnieniem, że wyborów nie było i załączył przytem rezultat nowych wyborów z prośbą o zatwierdzenie.

Sprawa ta, w której widocznem było, że deputacya kwaternicza, sprzymierzona z władzami, dokłada wszelkich starań, żeby Wilczka do swego grona nie dopuścić, dała księciu do myślenia. Odłożył ten papier na stronę i kazał skrycie dawać pilne oko na wszystkie czynności deputacyi.

XXXI.

Gdy minęła jesień i nadeszła zima, a z nią krótkie dnie i długie posępne wieczory, Jerzy zabrał się znowu do pracy nad prawem międzynarodowem, dziełem, w które przelewał całą swoją duszę, pełną pragnień niezaspokojonych, marzeń niezisziczonych, duszę wulkaniczną, potrzebującą koniecznie jakiegoś ujścia. Praca pod jego ręką szybko rosła; ani się spostrzegł, jak dobiegł do końca i jak nadeszła wiosna. Nie był to już ten sam młodzieniec, co przed rokiem, ale dojrzały mężczyzna. Partykularz dał mu wielką lekcyę życia, pokazał mu je ze strony realnej, dał niejedną wiedzę i odsłonił niejedną tajemnicę. Praca nad książką i piórem nie przeszkadzała mu gromadzić nowych dowodów przeciwko deputacyi kwaterniczej, w miejsce tych, które mu zostały skradzione; miał je już prawie wszystkie.

Stosunki jego z kuzynką nie zmieniły się wcale na lepsze, choć pani Wilczkowa, domyślająca się oddawna, co się działo w ich sercach, skrycie pragnęła, aby było inaczej.

Gdy zima minęła, a w powietrzu dały się czuć pierwsze powiewy wiosenne i odzywać od-

głosy natury, budzącej się na nowo do życia, Jerzy uczuł ogarniające go znowu znużenie, jakiego już nieraz doznawał; tylko że dziś już znużenie to nie mogło ani na postanowienie jego wpłynąć, ani umysłem zachwiać: była to przemijająca słabość, nic więcej. W porze, w której cała natura zmartwychwstaje, jego nadzieje były obumarłe; sprzeczność ta dawała mu się moralnie i fizycznie uczuwać.

Ponieważ zima była ciężka i spadły wielkie masy śniegów więc zewsząd dawały się słyszeć obawy powodzi. Rzeka, przerzynająca Kozłów, co roku występowała z brzegów, zalewając nieszkodliwie łąki i ogrody, a co lat kilka wypędzała ludzi z mieszkań niżej położonych i zabierała im mienie i dobytek. W tym roku obawy były bardzo uzasadnione, bo wylała szerzej, niż zwykle. Całe miasto wyglądało jak wyspa na morzu i mogło współzawodniczyć z Wenecyą — ale dopóki woda nie tknęła przedmieść, a mosty utrzymywały komunikacyę ze światem, nikt się tak bardzo nie trwożył. Aż pod koniec marca, z dalekich stron zaczęły nadchodzić wieści niepokojące. Z Poznania, Krakowa i innych miast, nad rzekami położonych, sygnalizowano magistratowi o przybieraniu wód; jednak Rada miasta Kozłowa nie przedsiębrała nic w celu odwrócenia niebezpieczeństwa, bo i nie wiedziała, co przedsięwziąć. Lat temu kilkanaście zbudowano w jednem miejscu tamę ochronną, ale tama ta wskutek braku konserwacyi psuła się powoli; a choć mieszkańcy

domagali się naprawy, odpowiadano im, że nie ma w kasie miejskiej funduszu, i na tem się skończyło. Sławetni rajcy zdali się z tem, jak z wszelkiemi większemi trudnościami, na Opatrzność Boską — i tak złożywszy z siebie ciężar, czekali spokojnie, co Opatrzność zrobi. Woda tymczasem przybierała ciągle.

Jerzy tego dnia przy śniadaniu wyraził paniom swoje obawy i zapytał pani Wilczkowej, czy ma w domu dostateczne zapasy żywności na wypadek, gdyby najbliżsi mieszkańcy z chat przez wodę wypędzeni, szukali u niej schronienia. Staruszka uspokoiła go pod tym względem; natomiast podniosła inną kwestyę, która ją ciągle zajmowała, kwestyę przyszłości Jerzego i materyalnej podstawy jego bytu. Zadała synowcowi to samo pytanie, co przy pierwszej z nim rozmowie, zaraz po jego do Kozłowa przybyciu: do czego wziąć się zamierza? A on odpowiedział, że zbadawszy miejscowe warunki ekonomiczne, zgadza się na założenie fabryki obuwia maszynowego, która powstrzyma napływ tego towaru z Cesarstwa, miejscowym szewcom da zajęcie i lepszy zarobek, niż teraz mają, prowadząc to rzemiosło na swoją rękę. Aby zaś obudzić ich wiarę we własną znajomość rzeczy i obznajomić się praktycznie z tą robotą, odbędzie krótki termin, zostanie czeladnikiem i zapisze się do cechu, żeby mieć głos w radzie rzemieślników.

Tak więc to, co z początku odpychał z oburzeniem i obrzucał szyderstwem, sam teraz wy-

bierał, bo rozumiał, że każdy zawód jest dobrym, jeżeli tylko daje podstawę bytu i sposobność do pełnienia obowiązków obywatelskich.

Pani Wilczkowa wstała, zbliżyła się do Jerzego i objąwszy głowę młodzieńca, przycisnęła ją do piersi.

— Dzielnym jesteś człowiekiem Jerzy — szepnęła — zdaje mi się, że mój Henryk nie umarł, ale zmartwychwstał w tobie.

I wyszła, żeby ukryć wzruszenie. Jadzia zbliżyła się do Jerzego, chcąc mu dłoń uścisnąć, ale on, żeby tego uniknąć, udał, że się nie domyśla jej intencyi. Wstał i otworzył lufcik, mówiąc:

— Wpuszczę trochę świeżego powietrza. Słońce tak mocno przygrzewa! śnieg topnieje, wiosna prawie puka do drzwi.

I ożywczy chłodny prąd powietrza wpadł do pokoju, ale musiał zmrozić serdeczny poryw Jadwisi, bo cofnęła się i usiadła napowrót. Jerzy stał w oknie i wciągał pełną piersią ten chłód, te tchnienia budzącej się wiosny i chwytał uchem echa dochodzące go z wód, z lasów, te echa niepochwytne, te dźwięki nie dające sie ująć, które zrazu cichym, a potem coraz głośniejszym chórem zwiastują jej przybycie. I wśród tych głosów odróżnił głos jakiś daleki, dawno mu znany i budzący najmilsze wspomnienia. Wytężył słuch i po chwili głos stał się wyraźniejszym, bliższym i można było dokładnie odróżnić śpiew:

„O jakiż ze mnie wielki kiep!
Wszystko przeputałem,
Cała fortuna wzięła w łeb,
Goły jak bicz zostałem!

Cóż poczne, wezmęż stary kord,
Pójdęż zbijać wśród dzikich hord?
Na koniec świata zajdę,
Tam może rewanż znajdę!“

— Edward! to sygnał Edwarda — zawołał Jerzy z uniesieniem radości i wybiegł na dziedziniec, gdzie słychać było turkot, zajeżdżającej bryczki.

— Umie jednak kochać — pomyślała Jadzia, patrząc z ciekawością na drzwi, któremi Jerzy wprowadzał swego gościa.

Był to chłopak piękny jak cherubin: rysy twarzy drobne, ale bardzo regularne, miały jakąś dziewczęcą regularność, z całej jednak postawy wyglądała wielka fantazya, przypominająca rycerza średniowiecznego lub barda. Oczy szafirowe, marzycielskie a ogniste, patrzyły na świat ciekawie i pełne były pragnień. Była to postać jasna, słoneczna, zdolna na pierwszy rzut oka każdego pociągnąć, każdemu uśmiech przyjazny na usta wywołać, a młodość biła od niej łuną jakichś blasków promiennych. Ludzie lgnęli do Edwarda, bo miał dar pociągania do siebie słowem, uśmiechem, spojrzeniem i jakąś szczerą, wesołą swobodą.

Spostrzegłszy w pokoju kobietę, szybkim ruchem zrzucił płaszcz i zerwawszy kapelusz z głowy, szepnął do Jerzego z cichym wyrzutem:

— Nie uprzedziłeś mnie, że w tym zamku panuje taka piękna kasztelanka! przedstawże mnie.

— Kuzynko — przemówił Jerzy — to jest Edward, o którym ci tyle opowiadałem, mój najmilszy kolega i przyjaciel. — I uderzając go poufale po ramieniu, dodał, udając starszego brata: — Wielkie ladaco!

Edward skłonił się głęboko przed piękną panną i jakby ów tytuł za należny sobie prawnie uważał, dodał tonem skromnego objaśnienia:

— Ladaco, to prawda, ale do gruntu zepsuty nie jestem i czuję, że mogłoby jeszcze być ze mnie co dobrego, gdyby mnie tak kto wziął krótko i poprowadził.

— I nie szedłbyś pan już »rozbijać wśród dzikich hord?« — zapytała z uśmiechem, bo jej się wesoły chłopak podobał.

— Nie pani, i na dowód mej szczerości składam u stóp pani mój »stary kord«.

I przyklękłszy na jedno kolano, z rycerską galanteryą położył przy nogach panny Jadwigi swoją laskę góralską z żelaznem okuciem, mającą kształt siekierki.

Ona odparła wesoło.

— Widzę w panu szczerą skruchę i chęć poprawy; zwracam więc panu tę broń i mówię jak do nawróconego grzesznika: »Idź w pokoju i nie grzesz więcej!«

— Jakto! mam sobie już iść? — zawołał żałośnie — mam sobie iść, gdym w swej wędrówce pełnej przygód, znalazł nareszcie cichą przystań, gdzie mogę złożyć skołataną głowę i z występnego stać się dobrym jak anioł? O! pani jesteś okrutną! Jerzy, i ty tego słuchasz spokojnie? Przemówże za mną, stary druhu!

Ale Jerzy, któremu nie bardzo się podobała ta wymiana słów, spojrzeń i uśmiechów, patrzył na oboje z brwią ściągniętą, bo w serce ugryzł go wąż zazdrości. Wmawiał w siebie, że on nigdy nie zdołał rozjaśnić jej twarzy takim miłym, wesołym uśmiechem, że na niego nie spojrzała nigdy tak promiennie... Ha! prawda, że nie mógł z tym pięknym chłopcem wytrzymać porównania. Może jej serce, głuche dotąd na poszepty miłości, uderzy dla Edwarda!

— Ukochany przyjaciel Jerzego będzie zawsze pożądanym gościem — rzekła serdecznie Jadwisia — rozgość się pan proszę, bo musisz być bardzo zmęczony. Każę zaraz podać obiad i powiem babce, jakiego mamy gościa.

To powiedziawszy, wyszła, a gość, spoglądając na drzwi, któremi się oddaliła, rzekł z nieukrywanym zachwytem:

— Cudowna! i ty z nią mieszkasz pod jednym dachem, szczęśliwcze! Teraz pojmuję, dlaczego tak długo ociągasz się z wyjazdem do Paryża. Jabym się wyrzekł całego świata dla Kozłowa i poszedł do niej w służbę za pazia.

— Takim lokajom nie mamy czem płacić — wtrącił Jerzy sucho.

— Ach, jabym darmo służył: uśmiech, spojrzenie, jakieś łaskawe słówko, byłoby dla mnie dostateczną zapłatą.

Może też z czasem dostałbym szewrony i dosłużył się jakiegoś awansu. Ale co tobie mój stary, że patrzysz na mnie tak gniewnie? Czy ubolewasz nad moją lekkomyślnością? Kochałem się już ze sto razy, ale widzę, że to wszystko były tylko żarty i gotówbym tu się zakochać naprawdę.

Edward wypowiedział to z tak wesołą swobodą, że niepodobna było gniewać się na niego ani chwili. Jerzy uśmiechnął się mimowoli.

— Jadziu — rzekł do wchodzącej kuzynki — zawcześnie dałaś temu winowajcy rozgrzeszenie. To tak wielki przestępca, że będzie musiał z Kozłowa iść na kolanach do Rzymu. Wyznał mi tu w tej chwili, że się kochał sto razy: czy cię to nie przejmuje zgrozą?

— Alboż moja w tem wina? — bronił się Edward — chciałem raz tylko a dobrze, ale nie mogłem. Szukałem ciągle ideału i ciągle się myliłem. Sto razy byłem zdradzony, zniechęcony, zwątpiały i mimo to serce moje odradza się ciągle, jak feniks z popiołów, i gotowe jest znowu kochać i wierzyć. Czy to nie dowód mojej niezmiernej czci dla kobiet? Czy to nie mówi o mocy mego charakteru, o wytrwałości?

— Niezawodnie — odrzekła śmiejąc się Jadzia — dla kogóż to znowu otwiera się serce pańskie?

— Pani, co umiesz czytać w sercach ludzkich, nie powinnaś się o to pytać — odparł skromnie młodzieniec, a Jerzy skrzywił się.

— Mój kolega chce cię prosić, żebyś go przyjęła do służby za pazia — odezwał się z lekką ironią.

Jadzia zarumieniła się.

— Nasz zamek zbyt ubogi na to — odrzekła — nie trzymamy paziów.

Gdy to mówiła, weszła do pokoju pani Wilczkowa, uwiadomiona o przybyciu Edwarda. Młodzieniec ucałował ze czcią jej rękę.

— Edward z przydomkiem »ladaco« — rzekł przedstawiając się — jadę do Paryża rzemiennym dyszlem i szukam po drodze służby. Ofiarowałem się pannie Jadwidze za pazia, ale nie chce mnie przyjąć. Może szanowna pani okaże się dla mnie litościwszą. Jeśli w tym zamku nie trzymają paziów, przyda się może parobek: umiem wodę nosić, drwa rąbać, w piecu palić, mało jadam i chłostę znoszę w milczeniu, jeżeli na nią zasłużę.

Pani Wilczkowa roześmiała się.

— My potrzebujemy parobka silnego — odrzekła — bo teraz na wiosnę szykuje się robota w ogrodzie i koło domu; żeby zaś mieć siły, trzeba się odznaczać dobrym apetytem. Niedługo podadzą obiad. Pokaż nam, panie Edwardzie, co

umiesz, a jak zobaczę, żeś zdatny do służby, umówimy się o warunki.

— Zgoda! — zawołał chłopiec wesoło.

I gdy zasiedli do stołu, zwijał się jak mógł, strzelał dowcipem i wszystkich humorem swoim rozweselał. Jerzy zauważył, że jego kolega nie spuszczał przytem oczu z pięknej panny. Przy czarnej kawie Edward zaczął mówić o szerokiem rozlaniu wód, któremu miał sposobność przypatrzeć się, jadąc do Kozłowa. Spostrzegłszy, że na tę wzmiankę wszyscy sposępnieli, a gospodarz głęboko się zamyślił, rzekł nagle:

— Jerzy, czeka cię dzisiaj jeszcze niespodzianka, przyjadą tu Julek z Wacławem i Antek z Feliksem. Zostawiłem ich na stacyi w Próżnej, a sam wziąłem ekstrapocztę i popędziłem naprzód. Jedziemy wszyscy do Paryża i umyślnie zawadziliśmy o Kozłów, żeby ciebie wyciągnąć. Cóż, jedziesz z nami?

— Nie — odrzekł niecierpliwie — zostaję w Kozłowie.

— Na długo jeszcze?

— Na zawsze.

Edward aż podskoczył na krześle. Wpatrzył się badawczo w Jerzego, potem zwrócił oczy na pannę Jadwigę, potem znów na Jerzego i znów na Jadwigę i posmutniał. Po obiedzie odciągnął kolegę pod jakimś pozorem na stronę i zapytał:

— Słuchaj przyjacielu, czy ty ją kochasz?

Jerzy ściągnął brwi, a oczy jego gniewem błysnęły. Miał ochotę ukarać zuchwalca, co śmiał

dotknąć najboleśniejszej, najtajniejszej rany jego serca; ale prawa gościnności są święte. Odwrócił więc tylko głowę i rzekł niechętnie:

— Co za pytanie!

Edward nie spuszczał z niego oka.

— A więc postawię je inaczej. Czy masz zamiar z nią się ożenić?

Jerzy milczał.

— Bo widzisz stary — mówił Edward z jakąś tkliwością w głosie — ona zrobiła na mnie bardzo silne wrażenie.

— Sto pierwsze — wtrącił z ironią Jerzy.

— Tak, ale pierwsze głębokie... To nie jest kobieta zwyczajna i choć jej nie kocham jeszcze, czuję, że mógłbym pokochać do szaleństwa. Ale jeżeli ty ją kochasz, nie chcę ci przeszkadzać.

— Jakże to dałoby się pogodzić z twoim wyjazdem do Paryża?

— Zostałbym w kraju, a nawet w Kozłowie, jeżeliby tego żądała. Założyłbym tu jaką fabrykę.

Jerzy popatrzył w milczeniu na tego chłopca, którego zawsze serdecznie kochał, i rzekł po krótkiej walce wewnętrznej:

— Między mną, a moją kuzynką nie ma nic prócz braterskiego uczucia. Próbuj szczęścia, Edwardzie: jeżeli cię pokocha, żeń się i bądź szczęśliwy.

— Mam na to twoje pozwolenie?

— Masz!

Chłopak poweselał. Przez cały dzień był niedostępnym towarzyszem wnuczki pani Wilcz-

kowej: grał z nią na cztery ręce, śpiewiał duet, bawił ją rozmową, a gdy włóczkę zwijała, służył jej za motowidło. Jerzy patrzył na to i cierpiał, cierpiał straszliwie, choć nikt się tego nie mógł domyśleć z jego spokojnej, obojętnej twarzy. Utwierdzał się teraz coraz więcej w mniemaniu, że Jadzia pokocha Edwarda: towarzystwo jego musiało jej być bardzo miłem, bo uśmiech prawie nie schodził z jej twarzy. Rok temu niespełna, zdawało mu się, że tylko wielkiem poświęceniem, wielkiem jakiemś bohaterstwem zdobyć można to serce. Ona sama powiedziała mu na cmentarzu: »pokochaćbym mogła tylko takiego, który mnie samą dla obowiązku poświęcić potrafi« — a tymczasem ten oto dzieciak przyszedł, uśmiechnął się i zwyciężył. O kobiety! kobiety!

Pod wieczór jednak wesoły chłopak posmutniał, stał się milczący, melancholijny i wyprowadziwszy Jerzego na dziedziniec, rzekł, ciskając cygaro:

— Na nic się zdało wszystko, bo ona ciebie kocha!

Jerzy pobladł.

— A tobie skąd to przyszło do głowy? — zapytał głuchym głosem.

— Ba, przecież to widać ze wszystkiego — odparł, szarpiąc maleńkie wąsiki — tylko taki *simplex* jak ty może tego nie widzieć. Ze mną rozmawia, a o tobie myśli, widzę to z jej oczu; do mnie się uśmiecha, a za tobą się ogląda i żaden twój ruch nie ujdzie jej uwagi. Kocha cię

i widzę, że cierpi. Coś ty jej zrobił, bracie? Oświadcz się do dyabła i żeń!

— Nie — odrzekł Jerzy z ponurym błyskiem oczu — nie. Nie jestem żebrakiem. Dwa razy rzuciłem jej pod nogi moje serce i odepchnęła je. Nie zrobię tego po raz trzeci.

— Ale ona kocha cię i cierpi. Słyszysz? cierpi!

— Niech cierpi. Cierpiałem ja dosyć, teraz kolej na nią.

— O ty okrutny człowieku! — powiedział z jakąś żałością Edward — więc chcesz, żeby ona sama przyszła cię przeprosić i powiedziała: weź mnie!

— Tak jest.

Edward patrzył na niego zdumiony.

— Że zaś kuzynka moja dumną jest bardzo — mówił dalej Jerzy — więc nie powie tego nigdy. Próbuj zatem szczęścia, Edwardzie, może pokocha ciebie.

Piękny chłopak machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie warto i myśleć o tem.

— Zdaje mi się, że to nasi jadą — rzekł, gdy turkot rozległ się w cichej zwykle ulicy.

Jakoż istotnie bryczka wjechała w dziedziniec i dwaj młodzieńcy z niej wysiedli. Jerzy z uniesieniem radości przywitał kolegów i wprowadził do pokoju, gdzie równie serdecznie przywitani zostali przez panią Wilczkową i jej wnuczkę. Obie kobiety cieszyły się, że Jerzy będzie

miał rozrywkę w swojem jednostajnem życiu i odżyje wspomnieniami uniwersyteckiemi.

Młodzieńcy, zaledwie się rozgościli, jęli opowiadać o ciągłem przybieraniu wód i wyrazili wątpliwość, czy Antek i Feliks, którzy za nimi jechali, zdołają się jeszcze lądem przedostać, bo fale dosięgały drogi bitej i szarpały jej brzegi. Kry płynęły obficie, a mosty, które przebywali, jęczały pod ich uderzeniami.

W jaki kwadrans potem druga bryczka zajechała na dziedziniec i przybyli przynieśli wieść, że komunikacya została przerwana, a Kozłów odcięty jest od świata. Oni jeszcze przejechali szczęśliwie, ale wiedzieli, że ci, co za nimi jechali, musieli już siadać na łodzie.

Wieści te wprawiły wszystkich w poważne bardzo usposobienie i choć kolacya była suta i smacznie przyrządzona, choć gospodarz wina nie żałował, choć ich tu z prawdziwie polską podejmowano gościnnością, niewiele jedli, a pili jeszcze mniej, bo wszyscy znajdowali się pod grozą powodzi. Jerzy dla ożywienia humorów zaproponował kolegom odśpiewanie chórem ich ulubionej hulaszczej piosenki, tej samej, z którą na ustach przyjechał Edward. Przyjęto projekt chętnie i zabrzmiał dalszy ciąg śpiewki:

„Fortuny mojej taki stan,
Że choćbym i meble sprzedał,
Za kurzawę z gołych ścian
Niktby mi i grosza nie dał.

Cóż poczne, wezmęż stary kord,
Pójdęż zbijać wśród dzikich hord?
Na koniec świata zajdę,
Tam może rewanż znajdę!“

Jerzy nagle przestał śpiewać i zaczął się czemuś bacznie przesłuchiwać. Chłopcy śpiewali dalej.

„Mróz mi już dokucza srodze,
Śnieg się na ulicach bieli,
A ja bez płaszcza chodzę,
Bo mi go żydzi wzięli.

Cóż poczne, wezmęż stary kord.“

— Przestańcie! — zawołał Jerzy i gdy młodzieńcy ucichli, dał się słyszeć ponury odgłos dzwonu, obwieszczający miastu trwogę.

Wszyscy zerwali się od stołu. Jerzy pochwycił czapkę, chcąc wybiedz na miasto i zasięgnąć wiadomości, gdy wtem wpadł do pokoju zadyszany brandmajster.

— Panie Jerzy! — zawołał — woda przerwała tamę i wylewa się na przedmieścia. Czy nie pójdziemy ratować? Burmistrz mnie do pana przysyła!

Jerzy, umiejący zawsze zachować krew zimną i przytomność umysłu w takich wypadkach, nie okazał żadnego niepokoju po sobie; ani jeden muskuł w jego twarzy nie drgnął. Spojrzał w okno: gwiazdy błyszczały tu i ówdzie, ale było dość ciemno i na dalszą odległość trudno było coś

widzieć, Obrócił się do brandmajstra i rzekł krótko:

— Dać sygnały pożarne, a gdy się straż zbierze, zapalić pochodnie. Ja tam zaraz będę!

— Jerzy! idziemy z tobą! — zawołali chłopcy.

XXXII.

Ponure dźwięki dzwonu całą noc rozlegały się ponad zagrożonem miastem; łączył się do nich długi, przeciągły jęk wody, powtarzający się od czasu ,do czasu z jednostajną regularnością. Był to prawdziwie piekielny duet, przejmujący dreszczem, bo odegrywał się w pośród zupełnej prawie ciemności.

Tam, gdzie fale wody szturmowały w tamę, szarpiąc ją na kawały, przy krwawym blasku pochodni postacie ludzkie uwijały się jak szatany, dokazując cudów wytrwałości, pracy i poświęcenia. Noszono worki z piaskiem, drzewo, gruz, kamienie i zapychano wyłomy, zrobione przez wodę. Koledzy Jerzego pracowali wspólnie ze strażakami, jak prości robotnicy, a piękny Edward stał po pas w błocie z łopatą, zwijając się żwawo i nie zważając na to, że ma ręce do krwi podarte. Jerzy był wszędzie, zachęcał wszystkich, pracował ze wszystkimi, a słowa jego komendy padały krótkie, stanowcze, energiczne — słychać je było wyraźnie na tle duetu, granego przez jęk wody i odgłos dzwonu. Potężnych piersi trzeba

było, by być słyszanym w tym duecie na dość szerokiej przestrzeni; Jerzy je miał.

Nadjechał konno hrabia Reden ze szwadronem żołnierzy i rozmieściwszy ich na najwięcej zagrożonych stanowiskach, znakomicie wzmocnił obronę. Hrabia, sam dzielny i doświadczony żołnierz, umiał ocenić u drugich te przymioty. Patrzył on w milczeniu na działalność Jerzego i w duszy podziwiał jego energię, szybkość determinacyi, stanowczość i trafność rozkazów i pewność siebie bez najmniejszego śladu wahania. Ta szczupła garstka dokazywała cudów.

Pierwszy to raz ci dwaj ludzie, na wrogich dotąd stojący stanowiskach, spotkali się tak blisko, że mogli patrzeć na siebie oko w oko; pierwszy raz szlachetna, śmiała, prawdziwie męska twarz młodzieńca uderzyła hrabiego wielkiem podobieństwem do syna pani Wilczkowej i przestał się dziwić magnetycznemu wpływowi, jaki ten człowiek wywierał na swoich współmieszkańców. Światło pochodni, oświecając tę twarz chwilami krwawym blaskiem, nadawało jej jakiś fantastyczny charakter.

Trzykroć zasypywano szczerby w tamie, trzykroć woda czyniła wyłomy i brała ją szturmem. Ludzie wypowiedzieli walkę groźnemu żywiołowi, walczyli z nim długo i mężnie, walczyli bez wytchnienia, aż pot się z nich lał, a z rąk krew ciekła; nareszcie nad ranem ludzie musieli ustąpić — woda zwyciężyła. Uderzyła z taką gwałtownością, że rozerwała tamę w kilku miejscach

i wylała się szeroko na przedmieścia, o mało nie zmiótłszy jednego strażaka. Krzyki przerażenia dały się słyszeć w powietrzu; hrabia zakomenderował do odwrotu i odesławszy część wojska na obronę mostu, dla odpychania kry, szturmującej do podtrzymujących go filarów, reszcie kazał siąść na łodzie i ratować mienie i dobytek z zalanych na nizinach domów. Jerzy ze swoją strażą pośpieszył tam, gdzie było największe niebezpieczeństwo.

Pierwsze brzaski dnia oświeciły ten obraz pełen grozy. Miasto, będące wczoraj jeszcze wielką, rozległą wyspą, było teraz małą, bardzo małą wysepką, bo wszystkie niżej położone ulice woda zalała. Kozłów bowiem rozpościerał się w kotlinie, której najwyższy punkt wzniesienia wypadał na sam Rynek i wychodzące z niego promienisto najbliższe ulice. Naokoło, jak daleko sięgnąć okiem, rozciągało się olbrzymie jezioro, z którego tu i ówdzie sterczały kępy drzew, wyglądające teraz jak zarośla i krzaki, wioski, jak jakieś drobne wysepki, a pojedyńcze domy, jak ledwie znaczne, małe, ciemne punkciki. Woda nie przestawała przybierać; prądem rzeki niesione, płynęły wielkie kry, piętrzyły się miejscami, zachodząc jedne na drugie i tworzyły zatory, lub wielką ławą szły zdobywać most, którego filary trzeszczały pod ich uderzeniami. Gdzie lód jeszcze trzymał się na powierzchni, tam kra, idąca z góry rzeki, kruszyła przed sobą lodową powłokę; wierzby na łąkach padały od niej jak ścięte toporem; padały też

nadbrzeżne sitowia i trzciny — istna rzeź niewiniątek. Na miejscach, wolnych od lodu, płynęła biała, gęsta, szumiąca piana.

Na zatopionych przedmieściach straszne działy się sceny. Ludzie, pomimo ostrzegających sygnałów, mając nadzieję, że do nich powódź nie dojdzie, ociągali się z opuszczeniem siedzib, toteż zalew zaskoczył ich nieprzygotowanych. Chronili się na dachy, wzywając ratunku, a woda wlewała się oknami, zabierając im odzież, pojedyncze sprzęty i dobytek. Takich właśnie rozbitków ratował Jerzy ze swymi kolegami i strażą, przewożąc ich w bezpieczne miejsca, gdzie mieszkańcy dawali im przytułek. Dom Wilczków napełnił się prędko powodzianami: nie spano tam całą noc, tylko sposobiono posłania, odzież, jedzenie i napój gorący. Pani Wilczkowa, acz słaba, krzątała się jak zdrowa, zapomniawszy o swojej niemocy — a chwilowo podniecona energia zdawała się jej powracać siły młodości. Doktór Jacenty, który także przyjął powodzian do swego mieszkania, zaglądał co parę godzin do Wilczków, niosąc radę, pomoc i otuchę.

Jerzy, przewiózłszy kilka łodzi, napełnionych ludźmi do brzegu, wpadł na chwilę do domu, żeby się orzeźwić szklanką wina. Na dziedzińcu znalazł wielką gromadę ludzi, w domu wielki ruch, ale nigdzie nie spotkał kuzynki. Przeszedł wszystkie pokoje, pytał każdego, ale nikt mu nie umiał powiedzieć, gdzie jest; dopiero stryjenka objaśniła go, że Jadwisia poszła z lekarstwem do

młyna, odwiedzić dawną ich służącą Maciejową, chorą na febrę, i ma ją tu z dziećmi przyprowadzić, jeżeli młynowi grozi jakie niebezpieczeństwo. Jerzy, usłyszawszy to, zbladł.

— Czy dawno poszła? — zapytał.

— Dwie godziny temu.

— Komunikacya z młynem przerwana — rzekł — woda przed godziną popsuła tam groblę i zniosła mostek!

Teraz z kolei pani Wilczkowa pobladła.

— Ach, Jerzy — zawołała, składając ręce — bierz łódź i jedź, ratuj ją!

Ale Jerzego już nie było w pokoju: wybiegł na ulicę i bez tchu prawie dopadł łodzi. Było ich tam dwie, większa i mniejsza: wziął mniejszą, żeby prędzej przebyć przestrzeń, dzielącą go od młyna.

Łódź szybko jak ptak pruła wodne głębiny i ślizgała się niby wąż między krami, a młodzieńcowi serce zamierało od trwogi. Młyn był stary, zrujnowany, nieczynny już oddawna, woda mogła go znieść równie łatwo jak pudełko drewniane. Ale oto już widać wierzby, osłaniające go z jednej strony, a skoro on stoi, to i ona tam jest, żyje! Zdaleka ujrzał jakąś głowę w okienku, to może ona? Ona, jego mała dziewczynka, jego szczęście, jego radość, jego wszystko! O, jakże on ją kochał!

— Bóg cię zesłał, Jerzy! — zawołała na niego przez okno — ten młyn niedługo wytrzyma,

lada chwila może runąć. Chodź, ratuj tych biedaków!

Nie myślała o sobie, tylko o innych. Jerzy zadrżał. Pod wpływem trwogi śmiertelnej o nią, zapomniał, że mogą być w młynie inni jeszcze ludzie, potrzebujący ratunku. Gdyby mu to przyszło do głowy, byłby wziął większą łódź.

— Kogo chcesz, żebym ratował? — zapytał prawie z gniewem — ja przyjechałem po ciebie!

— Musisz ich także ratować — powiedziała stanowczo.

— Ileż ich jest?

— Pięć osób: Maciejowa i czworo dzieci.

Jerzy załamał ręce.

— Ależ siedm osób nie zmieści się w tej łódce! — zawołał.

— Ale zmieści się sześć — odpowiedziała spokojnie. — Zabierz ich, a potem po mnie wrócisz.

Spojrzał na nią błędnym wzrokiem: zanim on wrócić zdoła, tego młyna może już nie być ani śladu. Słyszał, jak pale trzeszczały, jak kry przypuszczały do nich szturm.

— Nie! — zawołał z jakąś dziką energią — ja ciebie chcę ratować, co mnie cały świat obchodzi? Niech ginie kto chce!

Rzucił się ku niej i wyciągnął ramiona, chcąc ją pomimo jej oporu porwać i unieść do łodzi, ale cofnęła się gwałtownie.

— Jerzy! — przemówiła głosem przenikającym — czy ty, coś dał tyle dowodów siły,

męztwa, zaparcia siebie, okażesz się teraz słabym jak dziecko? Czy ty, coś się stał w oczach moich tak wielkim, że miałam ochotę klęknąć przed tobą, pokażesz mi się teraz małym i nędznym? Czyż dlatego, żem ci bliższa od innych, mam żyć, a tamci mają ginąć bez ratunku? Czy jedno życie warte jest życia pięciu ludzkich istot? Bądźże sprawiedliwym!

— Ach! — jęknął — więc niech siadają z nami, a kto się nie zmieści, po tego ja wrócę.

— Nie, Jurku, na nic się nie zdało ratować dzieci bez matki; na nic się nie zdało ratować matkę, żeby pozbawiać jej którejkolwiek z dzieci. Nie, Jerzy, ja tylko jedna pozostać tu powinnam... Ale czas nagli, pale trzeszczą pod naporami kry, czy słyszysz? Śpiesz się!

Ale Jerzy się nie ruszył. Stał jak martwy i martwo patrzył jak Jadzia sprowadziła najprzód dzieci do łodzi i, usadziwszy je, przestrzegała, żeby się nie wychylały, a potem chorą, ledwie trzymającą się na nogach Maciejową, która z płaczem opierała się swej panience, ale musiała jej być posłuszną. Martwo patrzył, jak weszła napowrót do młyna po schodkach, ruszających się jak klawisze i obśliźłych od mułu rzecznego, osadzonego tam przez opłókujące je fale — a gdy mu skinęła głową na pożegnanie, mówiąc: do wiedzenia! — ocknął się jak ze snu, wskoczył do łodzi i odbił szybko od brzegu, bo wiedział, że jeżeli chce tu jeszcze powrócić, to nie ma ani chwili do stracenia. W spojrzeniu, jakie jej rzucił,

odjeżdżając, malowała się tak straszna rozpacz, że aż łzy jej w oczach stanęły. Wiedziała teraz, że nie przestał jej kochać.

Jerzy obejrzał się: stała ciągle w okienku, powiewając białą chustką. Byłby w tej chwili wył z boleści, szarpałby na sobie odzienie, gdyby się nie wstydził. Odwrócił oczy od tego widoku i wytężył wszystkie siły, żeby prędzej dopłynąć do przeciwnego brzegu.

Na samym środku rzeki ujrzał człowieka, płynącego z wysiłkiem w kierunku łodzi i dającego rozpaczliwe znaki. Po błyszczącej, żółtej jak pargamin czaszce, okolonej kępami siwych włosów, po oczach trwożliwych i twarzy zakonnika, Jerzy poznał sędziego śledczego. Kry, uderzając w parkan jego ogrodu, położonego nad samym brzegiem rzeki, potrzaskały go, obaliły, a nieszczęśliwy człowiek, chcący mienie swoje ratować, a więcej może jeszcze osobliwe gatunki róż pod parkanem zadołowanych, został porwany, spłókany i odrzucony na środek rzeki.

Nieumiejący dobrze pływać, nadludzkim tylko wysiłkiem utrzymywał się dotąd na powierzchni, a słabe krzyki, wychodzące z ochrypłego od wołania gardła, były prawie nieludzkie. Przekleństwo wyrwało się z piersi młodzieńca na tę nową przeszkodę, opóźniającą jego powrót. Ten człowiek prawie tonął, ale jeżeli go weźmie do łodzi, to łódź, przepełniona ciężarem, zatonie w jednej chwili, a jego mała dziewczynka napróżno czekać będzie ocalenia. Ogarnął okiem dokoła całą

powierzchnię wód, ale nigdzie nie dojrzał drugiej łodzi... pusto było na widnokręgu. Zawołał więc zdaleka.

— Niema miejsca w łodzi, panie sędzio, nie uniesie więcej ciężaru. Staraj się pan dostać na krę, to gdy przewiozę tych ludzi do brzegu, wrócę po pana.

Ten, który niegdyś wyroki wydawał, usłyszawszy te słowa, będące dla niego wyrokiem śmierci, spojrzał na Jerzego wzrokiem obłąkanym. Dostać się na krę może tylko człowiek, mający sił trochę, a on gonił ostatkiem — nie był już w stanie nawet kilku minut dłużej utrzymać się na powierzchni wody. Nieprzytomny prawie, ostatnim wysiłkiem rzucił się ku łodzi i uczepił się jej konwulsyjnie, a z obłąkanych jego oczu, z drżących członków widać było, że jeżeli go zechcą odtrącić, będzie się trzymał rękami, nogami, nawet zębami. Trwoga śmierci czyniła go szalcnym: nie chciał umierać! Dziś właśnie otrzymał wiadomość o śmierci stryja, który mu zostawił kapitał, pozwalający zrzec się służby i żyć spokojnie wśród ulubionych kwiatów. Nie chciał umierać teraz właśnie, gdy spokój, którego szukał całe życie, zapukał do jego drzwi.

Łódź przechyliła się mocno na tę stronę: Jerzy zrozumiawszy niebezpieczeństwo, podniósł wiosło, chcąc strącić w przepaść tego człowieka, ciągnącego innych na dno dla ocalenia siebie, ale uczucie ludzkości zwyciężyło. Opuścił rękę, spojrzał na przestrzeń, dzielącą go jeszcze od

brzegu: była wolna od lodów, może więc łódź potrafi dopłynąć, zwłaszcza, jeżeli on sam, płynąc w wodzie, będzie ją popychał przed sobą. Zdecydował się w jednej chwili.

— Puść pan łódź — zawołał rozkazująco — ja wprzód wyskoczę.

Słowa te wróciły przytomność sędziemu. Spojrzał na młodzieńca, który w tej chwili patrzył na niego oczami Henryka i tak mu go żywo przypomniał, jak gdyby widmo wstało z grobu: ta sama odwaga i poświęcenie, ta sama pogarda śmierci — bo kto wie, czy nie zginie, gdy mu ustąpi swego miejsca? I ma-ż zezwolić, by drugi już z rzędu Wilczek ginął przez niego? Żyć i zamiast jednego widywać codzień dwa widma przed sobą, wśród długich, bezsennych nocy... O!... I zdało mu się, że słyszy Jerzego, jak mówi do niego w gabinecie: »Występek musi być ukarany« — że on, długoletni sędzia, stoi nareszcie przed swoim własnym sędzią. I zadał sobie pytanie: czy on, co całe życie lękał się wszystkiego, raz choć, raz jeden nie zdobędzie się także na poświęcenie!

Wszystkie te myśli jak błyskawica przemknęły mu przez głowę. Puścił łódź, spojrzał żałosnym wzrokiem na słońce wschodzące w całym blasku i majestacie, na niebo jaśniejące czystym błękitem, na stado ptaków przelatujące w tej chwili nad jego głową z wielkim gwarem; spojrzał, wyraz straszliwego przerażenia odbił się w jego oczach i głowa jego zanurzyła się w fa-

łach. Dwie kry olbrzymie, idące bokiem, połączyły się w tem miejscu i zamknęły świat nad nieszczęśliwym, niby wieko trumny, aby już więcej nie wypłynął.

Jerzy chciał tonącego ratować, ale pierwszym jego obowiązkiem było myśleć o bezpieczeństwie łodzi, na którą teraz szły obie kry. Szybkim, zręcznym manewrem udało mu się odbić łódź od nich, bo jedna chwila opóźnienia, a mogły ją były uderzyć i zatopić. Jeszcze kilka poruszeń wiosła i łódź dobiła do brzegu. Drżącemi z pośpiechu rękami wysadził na ląd matkę i dzieci, i kazawszy im iść do domu Wilczków zawrócił napowrót.

Nadludzkich wysileń dokonał dziś ten człowiek. Całą noc, cały ranek pracował bez spoczynku, bez wytchnienia; a teraz każdy nerw w nim drgał, pot spływał z niego grubemi kroplami, był wyczerpany, a jednak potężna siła pchała go naprzód. Nareszcie, nareszcie, widzi już wierzby młyna; podwaja szybkość i młyn się pokazuje — stoi na miejscu. Chwieje się, ale stoi jeszcze, a na schodkach ona powiewa białą chustką i wita go uśmiechem promiennym. Jerzemu przybyło sił: zanurzył jeszcze kilka razy wiosło, potem zrobił obrót w prawo, obrót w lewo i zarzucił sznur łodzi na pal, występujący z wody.

Jak nieprzytomy wpadł na schodki, a ona, w której oczach był w tej chwili jakimś legendowym olbrzymem, wyciągnęła ramiona i rzucając mu się na piersi, zawołała głosem, w którym

była cała jej dusza i cała miłość, głosem drżącym od radosnego łkania:

— O Jerzy, ja cię kocham!

I ten silny człowiek, co wszystko wytrzymał, nawet obawę śmierci, zachwiał się pod tem uderzeniem niespodzianego szczęścia, jak dąb podcięty. Zachwiał się i musiał oprzeć o ścianę, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Miał ją nareszcie, posiadał ją na własność, tę swoją małą dziewczynkę; tulił jej główkę do piersi, a ona po dawnemu obejmowała rączkami jego szyję, kochała go — i to nie był sen, ale rzeczywistość. Odniósł nad sobą samym wielkie zwycięstwo, bo wyrzekł się jej nawet i przez to ją właśnie pozyskał. O jakże został sowicie wynagrodzony!

Głośny trzask wyrwał ich z upojenia: ściany młyna zatrzęsły się, a łódź oderwana, odpłynęła daleko. Jadwisia spostrzegłszy to zawołała:

— Jesteśmy zgubieni!

— O nie! — zawołał Jerzy — rzucę się wpław i łódź tu napowrót sprowadzę.

I chciał to zaraz zrobić, ale ona wstrzymała go, mówiąc:

— Widzę inną łódkę, zmierzającą tu do nas; zdaje mi się, że to twoi koledzy, Edward z Julianem.

Byli to rzeczywiście oni: pani Wilczkowa wysłała ich na ratunek swoich dzieci. Piękny chłopak robił wiosłem jak dojrzały mężczyzna, a nadzieja ocalenia dwojga osób zdwajała jego siły. Gdy jednak ujrzał, że pomimo grożącego

obojgu niebezpieczeństwa, mieli twarze szczęściem rozpromienione, domyślił się wszystkiego. I chociaż lekka bladość lica jego okryła, przecież szlachetna natura wzięła górę nad egoistycznym smutkiem — i gdy wsiedli do łodzi, uścisnął im ręce i winszował z całego serca, że są ocaleni, ciesząc się, że pierwszy może to uczynić.

Z wieży ratuszowej powiewała nad miastem chorągiew świętego Floryana. Burmistrz kazał ją tam zawiesić, żeby ułagodzić mieszkańców, wielce obruszonych tem, że nie pomyślał na czas o naprawieniu tamy. Dał się też słyszeć, że chętnie zwróciłby sztandar straży ogniowej teraz, gdy Wilczek przestał być naczelnikiem — gdyby tak mieszkańcy poprosili go o to. Lubił on uroczyste występy, a przyjmowanie deputacyj i przemawianie były szczytem jego marzeń. Teraz, spoglądając na chorągiew, przypominającą mu tak żywo jego wielkie i jedyne w życiu zwycięstwo, pokręcał wąsa, a serce jego napełniało błogie uczucie dumy. Cieszył się tembardziej, że wiedział, iż radość ta prędko się skończy. Jak tylko naczelnik zobaczy sztandar na wieży, zaraz go każe zdjąć — że zaś burmistrz był ojcem miasta i nie lubił, żeby kto nim rządził, więc postanowił sobie sam go zdjąć kazać, tak około południa, gdy miarkował, że Gonczarow, po niedospanej z powodu powodzi nocy używający wczasu, wstanie z łóżka. Nie będzie tak, jak się naczelnikowi podoba, tylko jak się podoba jemu, burmistrzowi.

Tymczasem ludzie zadzierali głowy do góry i gapili się na ten sztandar, a jakaś prostoduszna mieszczanka odezwała się, że Kozłów teraz pewnie się nie spali, bo św. Floryan, chcąc go od ognia zabezpieczyć, umyślnie nalał na niego tyle wody.

Rozbitki, których dotąd nie rozlokowano jeszcze dla braku czasu i miejsca, zgromadzili się pod ścianami ratusza i obsiedli ławy, czekając na panów rajców i spodziewając się od nich pomocy pieniężnej na pierwsze potrzeby. W ratuszu też były różne puste komórki i cele, może im tam dadzą przytułek. Bladzi byli, głodni, zziębnięci, a na twarzach ich malowała się cicha rozpacz i rezygnacya, granicząca niemal z martwotą.

W sali radnej na górze zebrani w komplecie ojcowie miasta radzili nad położeniem i obmyślali środki, mogące narazie dać najpierwszą pomoc nieszczęśliwym, których setki były bez dachu i chleba. Mieszkańcy jednak widocznie nie bardzo się oglądali na to, co Rada miejska postanowi, bo niezależnie od niej zawiązał się komitet pomocy dla powodzian, a na czele jego stanęły: pani naczelnikowa, baronowa Stern i te zaprosiły do współudziału znaną z dobroczynności panią Wilczkową.

Rajcy półgłosem rozmawiali o nocnym ratunku i udziale Jerzego w nim, o jego szalonej odwadze, którą nawet pułkownik podziwiał, a ten i ów wsunął słówko, że Wilczek tem jeszcze wię-

kszą zdobędzie sobie popularność — że niezawodnie przy przyszłych wyborach wejdzie do deputacyi, a potem tylko patrzeć jak na ławie rajców zasiądzie. Mieli oni wszyscy niejasne przeczucie, że zbliża się koniec ich panowania i to ich pogrążało w melancholię.

Południe nadeszło; niewiele jeszcze uradzono, a tu żołądki przypominały godzinę obiadową. Hoehne zdecydował się dać kilka korcy mąki dla powodzian, Lebich pewną ilość chleba, ale to było kroplą w morzu, wobec potrzeb biedaków. Pomieszczenia jeszcze nie obmyślono. Jaki taki spojrzał na zegarek, a burmistrz, zauważywszy to, podał wniosek, żeby się wprzód posilić, a potem dopiero obradować — bo człowiek głodny nigdy nic mądrego nie wymyśli. Doświadczył tego nieraz na sobie.

— Jakiś starożytny mędrzec powiedział, że »w małem ciele wielka dusza« — przemówił sentencyonalnie — zgadzam się na to, ale pod tym tylko warunkiem, jeżeli małe ciało będzie dobrze zasilane i dojdzie do przyzwoitej wszerz objętości. Napoleon największym był wtedy, kiedy utył; póki był chudy Francuzi ani myśleli zrobić go cesarzem. A jak jadał, to palce oblizywał! Moi panowie, dajmy temu grzesznemu ciału czego pragnie, a potem pomyślimy o dobru ludzkości. Wzmocnione ciało, wzmocni nasze duchy.

A gdy wszyscy, radzi z takiego rozwiązania, sięgnęli do czapek, przemyśliwając o bocznem wyjściu z ratusza, żeby oczekującej na nich przy

drzwiach frontowych ludności uniknąć, burmistrz zatrzymał ich mówiąc:

— Widziałem, że ci biedacy obsiedli schody, więc się nie wydostaniecie. Dziś u mnie flaki: starczy dla wszystkich, bo ja taki jestem amator flaków, że je każę sobie potem codzień na śniadanie odgrzewać, więc się gotuje odrazu tego multum. Zostańcie panowie, każę tu wszystko przynieść co potrzeba.

Burmistrz mieszkał w ratuszu; wkrótce więc, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, przyniesiono dwa dymiące półmiski flaków i ustawiono na radzieckim stole, a przytem bułki, chleb, masło, ser, talerze, łyżki i wódkę. Burmistrz napił się pierwszy i puścił flaszkę w kolej: łykał on już ślinkę na te flaki — pachniał mu imbier i zrumienione masło z bułeczką. Wszyscy posunęli się do półmisków; jeden Hand usunął się na bok, bo on jadał tylko koszerne. Gryząc paznokcie, patrzył zamyślony na krucyfiks, który postawiono na oknie, żeby na stole nie zawadzał.

Jakieś szybkie kroki zatętniły na schodach: rajcy spojrzeli na siebie z niepokojem. Znali oni te kroki, słyszeli je nieraz — do sali wpadł Jerzy Wilczek:

— Panowie rajcy! — zawołał, rzuciwszy piorunujące na stół spojrzenie — wy tu siedzicie spokojni, a tam na ulicy ludzie drżą z zimna i głodu, mokrymi pookrywani łachmanami! Macie obszerne mieszkania, przyjmijcie ich do swoich domów: macie zasobne śpiżarnie, otwórzcie je.

Oni tu pod murami ratusza czekają na was z trwogą i nadzieją, a wy nie śpieszycie się ich ratować, boście syci i dobrze odziani. Zaprawdę, psy więcej troszczą się o swoje szczenięta, niż wy, ojcowie miasta, o ludzi, nad których dobrem podjęliście się czuwać! A jednak, wasze to niedbalstwo wtrąciło ich w nędzę, tak jest, wasze niedbalstwo! Wołali na was mieszkańcy, żebyście pomyśleli o naprawieniu tamy; wołałem i ostrzegałem ja, aleście byli głusi na te wołania. Wymawialiście się brakiem pieniędzy, choć dałoby się to zrobić małym kosztem i woda, zamiast na przedmieści byłaby się wylała na łąki sąsiednich wiosek. Wyście sprowadzili nieszczęście, wyście wywołali tę nędzę, a teraz nie pilno wam jej zapobiedz. Ojczymami miasta jesteście, nie ojcami! Zasiedliście do suto zastawionego stołu i żaden z was się nie udławił na myśl, że tam czekają na was głodni nędzarze! Obym był złym prorokiem, ale wszyscy jak tu jesteście, doczekacie się jeszcze, że będziecie jak oni drżeć z zimna, jak oni łaknąć, jak oni czekać daremnie miłosierdzia!

Głuche milczenie zapanowało w sali. Głos Jerzego rozlegał się niby trąba archanioła, a jego proroctwo przejęło wszystkich grozą.

Zdawało im się, że widzą w powietrzu jakieś widmo straszliwe, niby owe głoski baltazarowe: „*Mane, Tekel, Phares*“. Wszyscy patrzyli na niego z osłupieniem; zawsze im imponował swoją wyższością i siłą moralną, ale dziś był

jeszcze wyższy, jeszcze potężniejszy. Twarz jego, obok szlachetnego oburzenia i gniewu, z jakim do nich przemawiał, promieniała jakimś blaskiem wewnętrznym, łuna szczęścia biła od niego.

Lebich, mający zawsze urazę do Jerzego, najpierwszy ochłonął z wrażenia i rzekł zjadliwe:

— Pan Wilczek żąda, żebyśmy otworzyli powodzianom nasze mieszkania i śpiżarnie, a sam nic nie mówi, czy otworzy dom Wilczków, obszerny, jak nam wiadomo, i zasobny. Kto chce drugim dawać nauki, niechaj zacznie od siebie; kto innym wyrzuca zatwardziałość, niech da z siebie przykład!

— Tak, tak! — zawtórowano.

— Dom Wilczków cały zapełniony — odezwał się Hand — sam to widziałem i nietylko dom, ale komórki, stajnie, wozownie i dziedziniec. Jest też tam dużo biednych żydków...

Wszyscy zamilkli. Burmistrz, któremu kieliszek wódki, wypity na czczo, a niczem nie zagryziony, straszliwie ściskał kiszki, przesuwał z pewną troską rękami po brzuchu i rzekł żałośnie:

— Kochany panie Jerzy, dalibóg, ciągle tylko o tych biedakach myślimy i dlatego właśnie... tutaj kazałem... widzisz pan, kazałem przygotować...

— Aha — pochwycił Jerzy z ironią — pan prezydent kazał przygotować jedzenie dla głodnych! Przepraszam stokroć pana za moje słowa,

przepraszam. Postąpiłeś pan jak prawdziwy ojciec miasta!

I zanim burmistrz osłupiały zdążył zaprzeczyć, młodzieniec otworzył szeroko drzwi na schody i zawołał:

— Chodźcie tu, obywatele, Rada miejska przygotowała dla was gorące śniadanie!

Na to wezwanie schody o mało się nie załamały pod nogami biegnących. Rajcy usunęli się na bok i patrzyli z osłupiałym ciągle jeszcze burmistrzem, jak zgłodniali biedacy uprzątali flaki, wypijali wódkę i piwo, i jak na rozkaz Jerzego pachołki przynosili ciągle z piekarni Lebicha, znajdującej się naprzeciw ratusza, bochenki chleba, które znikały w oka mgnieniu. Pod koniec uczty Jerzy zwrócił się do czcigodnej korporacyi i rzekł z uśmiechem zadowolenia:

— Przepraszam was panowie, żem was niesłusznie potępił: postąpiliście jak prawdziwi obywatele!

Była to bardzo zabawna krotochwila, ale nikt się z niej nie śmiał.

XXXIII.

Wody opadły, ludzie zajęli napowrót swoje schroniska i wszystko powoli wracało do dawnego porządku. W kościele farnym, w głównej nawie, wśród świec jarzących, na katafalku spoczywał w mundurze galowym sędzia śledczy. Rybacy schwytali jego ciało pod parkanem jego własnego domu, gdzie wypłynął. Twarz sędziego, nacechowana zawsze wyrazem jakiejś skrytej troski i zalęknienia, miała wyraz cichego, łagodnego spokoju, do jakiego wzdychał daremnie za życia. Śmierć była tym dobroczyńcą, co go nim obdarzyła. Lękliwy całe życie, w ostatniej godzinie zdobył się na bohaterstwo, które też wyszlachetniło jego rysy pięknością niebywałą. Jakiś wyraz cichego męczeństwa na nich osiadł. Katafalk otaczał gaj prawdziwy roślin, które pielęgnował z taką miłością i staraniem, a stopnie pokrywały paprocie, hijacynty, tulipany, tacety, narcyzy. Wszystko, co kochał najwięcej, zgromadziło się dokoła niego i napełniało powietrze balsamiczną wonią. Urządziła tak jedyna jego siostra, biedna stara panna, która pozostała teraz sama na świecie i nie miała już kogo pielęgnować.

W domu Wilczków gwarno było i wesoło: obchodzono zaręczyny Jerzego z Jadzią, a koledzy narzeczonego wznosili ciągle toasty na ich zdrowie — tylko toasty Edwarda były nieco melancholiczne. Chłopcy podejmowani gościnnie i zatrzymywani przez panią Wilczkową, która synowcowi przyjemność zrobić pragnęła, chętnie przedłużali swój pobyt w jej domu. Wznowiono kwestyę podróży do Paryża i Jerzy wyłuszczył kolegom wszystkie powody, dla których pozostał w Kozłowie, a w końcu opowiedział treściwie dzieje swej działalności w tem mieście, swoich walk i wysileń. To na nich tak podziałało, że wszyscy porzucili projekt wyjazdu zagranicę i chcieli także pozostać w Kozłowie. Jeden postanowił otworzyć sklep w mieście, dwóch zapragnęło wejść do spółki z Jerzym w założeniu fabryki obuwia maszynowego, a dwaj inni myśleli o otworzeniu księgarni, której w Kozłowie zupełnie brakowało, oraz o kolporteryi książek po okolicy. Jerzy promieniał radością: będzie nakoniec miał towarzystwo ludzi rozumnych, podzielających jego przekonania i dążności. Kielichy zaczęły gęsto krążyć, Edward zanucił ulubioną pieśń studencką, a koledzy mu zawtórowali:

„Gospodarzu, weź kosz próżny,
A inny dać racz!
A tymczasem, com jest dłużny,
Na tablicy znacz.

Ufaj, że się w słowie stawię,
Matrykułę masz w zastawie,
Tra ra ra ra, tra ra ra ra!

A choć trunku pełna głowa,
Jeszcze szklankę daj!
Wiwat praca narodowa,
Wiwat cały kraj!
A w kim czucie to wygaśnie,
Niech go jasny piorun trzaśnie!
Tra ra ra ra, tra ra ra ra!“

Panie, nieobecne podczas ostatniej rozmowy w pokoju, przyszły zwabione śpiewem. Gdy pieśń ucichła, Jerzy wstał, i rzekł do pani Wilczkowej:

— Kochana stryjenko, wszystko się świetnie składa: miasto, które stryjence jest tak drogiem, zyska sześciu dzielnych obywateli. Koledzy moi nie jadą do Paryża; zostają w Kozłowie, a dwóch zakłada ze mną do współki fabrykę. Dotąd byłem tu sam jeden, teraz będzie nas siedmiu: zobaczy stryjenka, jaką wspólnemi siłami wzorową utworzymy gminę.

Ale staruszka nie wydała okrzyku radości, jak się tego synowiec jej spodziewał; wysłuchała go spokojnie i rzekła:

— Gdy synowiec mój przybył do Kozłowa i o wybraniu zawodu dla siebie myślał, mówiłam mu, iż źle się dzieje, że młodzież inteligentna gromadzi się w stolicy; bo bywa z nią to, co

z młodemi płonkami, gęsto posadzonemi w ogrodzie: wyrastają bujne, ale słabe; nie mogą rodzić owoców — podczas gdy zdala od siebie posadzone, nietylkoby owoce rodziły, ale rozwinąwszy szeroko swoje konary, dawałyby strudzonym cień i ochłodę. Gdybyście wszyscy zostali w Kozłowie i utworzyli wzorową, jak powiadacie, gminę, byłoby prawie to samo. Byłby to zbytek dobrego, moje dzieci, a myśmy za ubodzy na takie zbytki. Nie powinniśmy skupiać nadmiaru sił na jednem miejscu, gdy ich w wielu miejscach jednocześnie bardzo potrzeba. Zamiast urządzać jedną wzorową gminę, rozejdźcie się lepiej po innych gminach i niech każdy robi, co może na swoją rękę. Nie gardźcie żadnemi stanowiskami, choćby najmniejszemi, bo wszędzie dla wielkich celów pracować można. Serce ludzkie jest także małe, a cały świat w sobie zmieści! Oddajcie swoje inteligencye i swoje młode siły tej biednej, wzgardzonej prowincyi, a może tam, gdzie były odłogi, piaski i jałowizna, porośnie trawa, drzewa i kwiaty. Klimat naszego kraju bywa często ostry i ciężki: wieją wichry północne, wstrząsają straszliwe burze i z dalekich stron idące zalewy.

Niech każdy z was tam, gdzie osiądzie, stanie się drzewem, dającem ciszę od wiatru i schronienie wsród burzy, a im szerzej rozłoży swoje konary, tem lepiej pojmie swój obowiązek. Niech będzie tamą przeciwko zalewom, taranem rozbijającym mur ciemnoty, żelazem dobywającem skry z kamienia. Dla tych, co mają usta spie-

czone bólem i gorączką, niech będzie czarą orzeźwiającego napoju, a dla zmęczonych i smutnych wezgłowiem... Idźcie budzić poczucie obywatelstwa w tych, co w długiem odrętwieniu niedoli żyjąc, już je byli zatracili w sobie; budźcie godność osobistą i poczucie prawa w tych, co go nie mają, a niewiasty nie będą rodziły apatycznych niewolników, ale obywateli. Jeżeli pójdziecie tą drogą, ostrzegam was, że jest ciężka, wązka i ciernista, Jerzy już wie coś o tem. Ostrzegam was, że nie znajdziecie na niej rozkoszy ni uciech, do jakich młodość daje prawo toteż, kto jej się lęka, niech się cofnie... bo nie można poświęcać jej pół duszy, albo pół istnienia. Ona potrzebuje całego życia!

— Żaden z nas się nie cofnie! — zawołali młodzieńcy chórem — lepiej byłoby nam razem, to prawda, ale rozejdziemy się! — A Edward zawołał:

— Podnieśmy w górę kielichy i wychylmy je za powodzenie dobrej sprawy!

— Nie — rzekła pani Wilczkowa — przysięgi i postanowienia, czynione przy brzęku kielichów, bywały najczęściej pismem, na piasku kreślonem, które zacierał wiatr. Nie przysięgajcie więc! ani wznoście toastów, ale dajcie mi wszyscy wasze ręce, niech je połączę razem i uścisnę!

A gdy wzruszeni wyciągnęli ku niej dłonie, ona objęła je drżącemi rękami i zwróciwszy najprzód oczy ku łąkom, w stronę, gdzie się znaj-

dował grób jej pierworodnego, potem w niebo, szepnęła:

— O Boże! kilka miesięcy temu skarżyłam się przed Tobą, że umieram bezdzietnie, a oto dałeś mi aż siedmiu synów. Bądź błogosławiony!

Siwa głowa staruszki, oblana w tej chwili blaskami słońca, jaśniała cudowną, nieziemską pięknością, a oczy zwilgotniałe promieniały szczęściem. Palił się w niej ogień młodzieńczego zapału — i były one nie jako te lampy, co gasną, ale jak gwiazdy, rozświecające drogę podróżnym.

* * *

Koledzy Jerzego przepędzili jeszcze kilka tygodni w Kozłowie, z którego robili częste wycieczki w okolice i rozjechali się dopiero po ślubie młodej pary. W miasteczku nastała znowu cisza, przerwana najniespodziewaniej w świecie wybuchem miny.

Deputacya kwaternicza złudzona tą ciszą i pozornym spokojem Jerzego, zaczęła broić po dawnemu. Dawano mieszkańcom, których podejrzewano o nieżyczliwe dla deputacyi usposobienie, dla skaptowania ich sobie, kwity na dowolne kwoty pieniężne, należące im jakoby za kwaterę — a ci, zamiast przyjmować je po cichu, zaczęli sarkać i to sarkać tak głośno, że aż to doszło do uszu naczelnika żandarmów. Trwoga opanowała deputacyę; członkowie biegali jak szaleni

po mieście, odbierali kwity i darli je. Ale kilka dostało się w żandarmskie ręce, poszedł raport do gubernatora — a że jednocześnie odkryto tam niedokładności w rachunkach, nadsyłanych przez deputacyę kozłowską, więc książę Czertyszew, tak dawniej pragnący uniknąć drażliwej sprawy, sam nakazał oddać wszystkich członków pod sąd.

Gdy sprawa poszła przed kratki, winni poruszyli wszystkie sprężyny i użyli wszystkich środków dla oczyszczenia się z zarzutów.

Pieniędzmi sypnięto hojnie—i skutkiem starań zręcznych prawników, sprawa już, już za częła przybierać lepszy obrót; ale w stanowczej chwili zjawił się Jerzy z dowodami, i odtąd nie było już dla nich ratunku. Zdawało się, że przynajmniej burmistrz ocalić się zdoła, bo sędziowie przyszli do przekonania, że więcej zawinił przez bezradność i dobroduszność, niż przez złą wolę; ale wyszła na jaw sprawa pieniędzy legatowych dozoru kościelnego, i to go dobiło.

Wszyscy »wszechmocni« runęli jak jeden mąż. Skazani na długoletnie więzienie, mieli czas rozmyślać nad zmiennością losów — a majątki ich tymczasem szły powoli w ruinę. Tak się spełniło proroctwo Jerzego, wyrzeczone przy owem sławnem śniadaniu w dzień powodzi.

Miejsca uwięzionych zajęli w mieście inni ludzie, a Gonczarow, przeciwko któremu nie było żadnych dowodów, ale którego zachowanie się pozwalało przypuszczać, że był świadomy

rzeczy, przeniesiony został do Cesarstwa. Przy wyborach do deputacyi kwaterniczej Jerzy został wybrany nietylko na członka, ale na naczelnika i gubernator zatwierdził jego wybór — a wkrótce potem energiczny młodzieniec doszedł do najwyższego stanowiska, jakie mógł w mieście rodzinnem osiągnąć: zasiadł na ławie rajców.

Założona przez niego fabryka obuwia maszynowego powstrzymała napływ tego artykułu handlu z Cesarstwa, zalewającego rynki krajowe. Pieniądze pozostały w domu, a szewcy znaleźli korzystniejszą pracę w fabryce, niż mieli we własnych warsztatach. Zrazu nieufnie zapatrujący się na przedsiębiorstwo, pozbyli się swoich uprzedzeń, gdy Jerzy, odbywszy krótki termin u jednego z nich, wyzwolił się na czeladnika. Dało mu to prawo wejścia do cechu i głos przeważający na radzie rzemieślniczej.

Nie przeszkodziło mu to puścić w świat książki o »Prawie międzynarodowem« — a że była wydana w języku francuzkim, więc przystępna dla cudzoziemców, przeto wkrótce zwróciła na siebie uwagę świata głębokością rozumowań i oryginalnością poglądów; Akademia francuzka przyznała mu pochwałę. Sława, której nie szukał, sama do niego przyszła. Zachęcony powodzeniem, puścił w świat dwie inne prace filozoficzne i doczekał się dyplomów honorowych od kilku uniwersytetów zagranicznych. Niepozorny partykularz zwrócił na siebie uwagę świata cywilizowanego i znalazł się nagle w bliskiem

sąsiedztwie Europy. Pisma ilustrowane podawały na gwałt portrety Jerzego, a obok tego widoki Kozłowa i monografie sławetnego miasta. Dziwiono się tylko trochę, że doktór filozofii wybrał sobie zawód szewca; ale jeżeli Norymberga w wieku XVI miała sławnego poetę meistersängera Hansa Sachsa, który był szewcem, to Kozłów mógł mieć w wieku XIX doktora filozofii, który był także szewcem.

Gdyby Jerzy poszedł był drogą, jaką sobie wprzód zamierzył i pojechał do Paryża, zrobiłby może świetniejszą karyerę. Postawionoby mu po śmierci pomnik z marmuru, a tablicę grobową zapełniono szumnobrzmiącymi tytułami — ale on przestał już dbać o to. Pragnieniem jego było, aby mu, jak stryjowi, położono napis:

»Dobremu obywatelowi, człowiekowi sprawiedliwemu«.

»Dobrego obywatela« Jerzy szeroko pojmował. Działanie jego nie miało się ograniczać administracyjnemi sprawami miasteczka i pomyślnością ekonomiczną jego mieszkańców: miało bowiem także dźwigać ich ducha wykładem praw człowieka przyrodzonych, tak narodowych, jak i ogólno ludzkich, których świadomość budzi z odrętwienia do wszechstronnego życia.

Niech mu Bóg pomaga i wszystkim ludziom dobrej woli.

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Zb. S.
004-
1623
w Krakowie